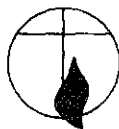


przegląd powszechny

12/844/91

miesięcznik
poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI • Warszawa

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ
Jacek Ambroziak
Henryk Bogacki SJ
Jacek Bolewski SJ
Kazimierz Dziewanowski
Ryszard Otowicz SJ

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Michał Jagiełło
Maria M. Matusiak
Stanisław Opiela SJ (red. naczelny)
Grzegorz Schmidt SJ

ADMINISTRACJA

Andrzej Kiełbowski SJ

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY“

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 211
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-78

PRENUMERATA

za rok 1992 66000 zł
za I półrocze 36000 zł
za II półrocze 30000 zł
cena egzemplarza 6000 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego“.

Skład i druk: Drukarnia Przeglądu Powszechnego
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Numer zamknięto 15 XI 1991 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Spis treści

ks. Henryk Seweryniak

Objawienie Boga w Jezusie Chrystusie 397

Co można dzisiaj stwierdzić z wystarczającą pewnością na temat, czy Jezus wiedział, że jest Zbawicielem i Synem Bożym? Czy można powiedzieć, że takie roszczenie jest dostępne poznaniu historycznemu?

Większość – mniejszość 413

4 X 1991 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja poświęcona relacjom polsko-ukraińskim. W rozmowie uczestniczyli: Bogumiła Berdychowska (dyrektor Departamentu Mniejszości Narodowych w MKiS), Mirosław Czech (red. nac. kwartalnika „Zustriezi”), Michał Jagiełło (wiceminister kultury, red. „PP”), Tomasz Lis (wicedyrektor Departamentu Konsularnego i Wychodźstwa w MSZ) i Jerzy Rejt (prezes Związku Ukraińców w Polsce).

Mychajło Horyń

Marzyliśmy o niepodległym państwie 428

Dysydencki ruch inteligencji z lat 60., skupiający się w Kijowie i we Lwowie, był ukraińskim odrodzeniem narodowym, wyrastającym z poezji i częściowo z publicystyki. Budził wielki entuzjazm, którego zasięg był jednak znacznie mniejszy niż obecnie.

O politykę dobrych sąsiadów 448

Z Mychajłą Kosiwem, pisarzem ukraińskim, zastępcą wojewody lwowskiego oraz deputowanym do Rady Najwyższej Ukrainy, rozmawia Krzysztof Renik.

Aldona Chojnowska

Przesiedlenie ludności ukraińskiej na Ziemię Odzyskane w 1947 r. 461

Ślady przygotowań do akcji „Wisła” rozpoczętej 28 IV 1947 r. dają się odnaleźć już na jesieni 1946 r., co podważa tezę o jej przyczynowym związku ze śmiercią gen. K. Świerczewskiego. Do 31 VII 1947 r. wyekspediowano z woj. rzeszowskiego i lubelskiego na Ziemię Odzyskane 430 transportów kolejowych z ponad 140 tys. osób.

ks. Alfons Skowronek

**Nasi bracia w sektach – konstruktywne
wyzwanie dla Kościoła** 483

Czego ludzie szukają w sektach, względnie czego nie mogą znaleźć w swym własnym Kościele, od którego się odwracają? Na czym polega fenomen atrakcyjności sekt?

Janusz Gazda

Kolos na pijanych nogach (II) 499

Trzy dni sierpniowego puczu były czasem wielkiej przemiany społecznej w ZSRR. Czy atmosfera, zrodzona wówczas, pomoże społeczeństwu w stawieniu czoła przyszłości, która być może będzie o wiele trudniejsza niż trzydniowa wytrwałość pod Białym Domem?

Pamiętnik matki o powołaniu syna 525
(*Bogdan Zakrzewski*)

Oswald von Nell-Breuning SJ 532
(*Wolfgang Schroeder*)

Światło piątego świata 535
(*Zbigniew Florczak*)

**Kino bez granic. Relacja z Warszawskiego
Festiwalu Filmowego** 545
(*Anna Pietrzak*)

Sesje – Sympozja

M. Marczewski: Diakonat stały – „cenny owoc Soboru” 553
(Międzynarodowe spotkanie diakonów stałych, Budapeszt,
3–7 IV 1991 r.)

Książki

A. Szymańska: Trudna ufność 555
(Tadeusz Różewicz, „Płaskorzeźba”)

M. Orski: Zarażona Murti-Bingiem 558
(Zyta Oryszyn, „Czarna iluminacja”)

Z. Niedziela: Sprzysiężenie kijowskie 561
(Stefan Kozak, „Ukraińscy spiskowcy i mesjaniści – Bractwo Cyryla i Metodego”)

M. Karpiński: Żołnierz podziemny 563
(Omelan Pleczeń, „9 lat w bunkrze. Wspomnienia żołnierza UPA”)

K. Renik: Kościół milczący 565
(Adam Hlebowicz, „Kościół w niewoli”)

S. Obirek SJ: Szukanie Boga 568

(„Gottes Nähe. Religiöse Erfahrung in Mystik und Offenbarung. Festschrift zum 65 Geburtstag von Josef Sudbrack SJ“, wyd. Paul Imhof)

M.M. Matusiak: Bohaterowie Bożej poezji 570

(Marek Sokołowski SJ, „Od jesieni do jesieni“)

Teatr

A. Dziurdzikowski: Nie skończona historia 572

(Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, „Szewcy“ Stanisława I. Witkiewicza, reżyseria – Maciej Prus)

K. Zalewska: Zbyt długie czekanie 574

(Teatr Mały w Warszawie, „Czekając na Godota“ Samuela Becketta, reżyseria – Antoni Libera)

Książki nadesłane 577

Sommaire

abbé Henryk Seweryniak

La Révélation de Dieu en Jésus-Christ

397

Est-il possible de nos jours de trancher avec une certitude suffisante la question de savoir si Jésus savait qu'il était Sauveur et Fils de Dieu? Peut-on affirmer avec suffisamment de certitude qu'une telle revendication se justifie au champ des connaissances recouvert par la démarche historique?

Majorité – minorité

413

Le 4 octobre dernier s'est tenu à la rédaction de „Przegląd Powszechny“ un débat consacré aux relations polono-ukrainiennes. Y ont pris part: Mme Bogumiła Berdychowska (directeur du département des Minorités ethniques au Ministère de la Culture et des Arts), M. Mirosław Czech (directeur du trimestriel ukrainien „Zustriechi“), M. Michał Jagiełło (vice-ministre de la Culture et des Arts, rédacteur au „Przegląd Powszechny“), M. Tomasz Lis (sous-directeur du Département consulaire et de l'Emigration au Ministère des Affaires étrangères) et M. Jerzy Rejt (président de l'Union des Ukrainiens en Pologne).

Mychajło Horyń

Notre rêve c'était un Etat indépendant 428

Le mouvement dissident de l'intelligentsia de Kiev et de Lvov dans les années 1960 marqua une renaissance nationale ukrainienne plongeant ses racines dans la poésie et, dans une certaine mesure, dans des écrits publicistes. Il suscitait un vif enthousiasme dont la portée sociale fut cependant beaucoup moindre qu'à l'heure présente.

Pour une politique de bon voisinage 448

Entretien avec Mychajło Kosiv, écrivain ukrainien, sous-voïvode de Lvov et député au Soviet Suprême de l'Ukraine, recueilli par Krzysztof Renik.

Aldona Chojnowska

Le transfert de la population ukrainienne vers les territoires recouverts en 1947 461

C'est à l'automne 1946 que remontent les premiers indices de préparatifs du programme „Wisła” (Vistule), mis en application dès le 28 avril 1947, de transfert forcé de la population ukrainienne des voïvodies de Rzeszów et de Lublin d'alors (sud-est de la Pologne) vers les territoires recouverts de l'Ouest et du Nord; cette date remet en question la thèse des pouvoirs publics communistes de l'époque que ce programme était une conséquence de la mort du général Karol Świerczewski, tué par la querilla ukrainienne. Jusqu'au 31 juillet 1947, 430 convois ferroviaires ont transféré plus de 140 mille personnes.

abbé Alfons Skowronek

Nos frères dans les sectes – un défi constructif pour l'Eglise 483

Les gens, que recherchent-ils dans les sectes ou que n'arrivent-ils pas à trouver dans leur propre Eglise dont ils se séparent? En quoi consiste le phénomène de l'attrait des sectes?

Janusz Gazda

Un Colosse sur des jambes qui vacillent (II) 499

Les trois journées de putsch d'août 1991 ont marqué toute une époque, celle du grand changement social en URSS. Le climat qui en est issu aidera-t-il la société soviétique à faire face à un avenir qui s'annonce plus difficile que la „veillée” de trois jours devant la „Maison Blanche”?

Essais et comptes rendus 525

ks. Henryk Seweryniak

Objawienie Boga w Jezusie Chrystusie

Przekonanie, że Bóg się objawił w Jezusie Chrystusie, należy do fundamentów wiary chrześcijańskiej. O ile dzisiaj nie podważa się już historycznego istnienia Człowieka z Nazaretu, to problem Jego bóstwa jest czasem sprowadzany do zakresu czystej wiary lub traktowany ze sceptycyzmem na płaszczyźnie teologiczno-historycznej. W pierwszym przypadku wszystkie świadectwa chrześcijańskie na ten temat stawia się na tym samym poziomie, czyniąc z nich przedmiot kerygmy do współczesnego człowieka. W drugim mamy do czynienia z przeświadczeniem, że nie można dotrzeć w sposób historycznie udokumentowany do świadomości boskiego posłannictwa Jezusa. Zdarza się też, że cały problem uważa się za niewygodny dla prezentacji „sympatycznego” obrazu Jezusa. Reformator społeczno-religijny, pełny człowiek, etyk i współtwórca cywilizacji europejskiej – tak, ale Bóg–człowiek – po co? Czy nie wystarczy, abyśmy naśladowali program etyczny Jezusa i Jego oddanie sprawie człowieka, aby Bóg nas odnalazł? – takie pytania docierają do teologów i burzą, jak się wydaje, nie jeden stereotyp duszpasterski.

Z kolei tradycyjna teologia, nawet ta najlepsza, w argumentacji na rzecz bóstwa Jezusa stawiała na pierwszym miejscu temat Jego cudów i zmartwychwstania, który jednak domaga się solidniejszych rozróżnień i właściwie może być postawiony u kresu proponowanej drogi jako jej swoista perspektywa. Apologeci odwoływali się też do problemu samoświadomości Jezusa, Jego psychologii i moralności.

Zastrzeżenia i uwagi wstępne

Mają rację ci, którzy uważają, że tworzenie jakiejś „psychologii Boskiej samoświadomości Jezusa” jest wielce ryzykowne. Prawdę o objawieniu Boga w Jezusie Chrystusie można do końca poznać i przeżyć tylko w mistycznym świetle pochodzącym z tej samej sfery, z której pochodzi osoba Jezusa. Wszelkie spekulacje na ten temat mogą budzić podejrzenia o manipulację. Świadom tego faktu teolog jednak wie również, że obok osobistych – modlitewnych i mistycznych – doświadczeń istnieje przekaz o historycznym doświadczeniu spotkań z Jezusem; przekaz dostępny analizie historycznej oraz bardziej powszechnemu doświadczeniu. Na tej drodze będzie się on starał dotrzeć do charakterystycznych i właściwych tylko dla Jezusa słów (*ipsissima verba*) i czynów (*ipsissima facta*), aby w ten sposób określić motywy Jego życia i posłannictwa (*ipsissimae intentiones*) oraz ich wpływ na świadectwa i przekonania, które zostały przekazane w Nowym Testamencie.

Pomocą w naszych dociekaniach i zarazem oddaleniem zbyt daleko posuniętego sceptycyzmu jest uświadomienie sobie, że również Jezusowa świadomość jedynej w swoim rodzaju bliskości z Bogiem miała własną historię. Jezus przecież uczył się, zdobywał nowe doświadczenia, podzielał horyzonty umysłowe i pojęcia swojej epoki. Jego świadomość musiała przechodzić kryzysy samookreślenia, nawet jeśli mieściły się one w przekonaniu, że są zawarte w *woli Ojca*. W tej perspektywie należy widzieć np. stopniowe dochodzenie Jezusa do przekonania o zbawczym uniwersalizmie Jego życia i śmierci (nauka ze spotkania z kobietą kananejską), momenty niewiedzy czy strachu w obliczu męki¹.

Teologia rozważając zagadnienie świadomości mesjańskiej Jezusa nie traktuje wszystkich pism Nowego Testamentu jednakowo pod względem ich wartości historycznej. Liczba tekstów, które mogą być tutaj wykorzystane, jest mniejsza niż liczba tekstów, które po-

świadczają wiarę nowotestamentową i być może zmieni się, gdy badania nad *ipsissima verba* Jesu zostaną uwolnione z więzi pozytywizmu historycznego, zaś Ewangelia Janowa doczeka się jeszcze pełniejszych badań. Chodzi ciągle o odpowiedź na pytanie: Co można dzisiaj stwierdzić z wystarczającą pewnością na temat, czy Jezus wiedział, że jest Zbawicielem i Synem Bożym, i czy można stwierdzić z wystarczającą pewnością, że takie roszczenie jest dostępne poznaniu historycznemu².

Od kilkudziesięciu lat egzegeza wyróżnia rozmaite pokłady tekstów nowotestamentowych. Najprościej rzecz ujmując można stwierdzić, że w jednych jest zawarte nie wprost (*implicite*), inne od obiegowych schematów świadectwo Jezusowe o Jego mesjańskim posłannictwie i synowskim związku z Bogiem. To świadectwo i wyrażona w nim świadomość zostały określone mianem chrystologii *implicite* (nie wprost). Aczkolwiek owe akty i wypowiedzi – tak różne od stereotypów późnego mesjanizmu żydowskiego – rzeczywiście implikowały pewien typ postaw, poglądów i przekonania Jezusa o sobie samym, nazwa wydaje się myląca. Sugeruje ona bowiem, że Jezusowa świadomość i doświadczenie synostwa Bożego nie zostały zrozumiane podczas Jego ziemskiego życia. Sugestia taka byłaby oczywiście nieprawdą, chociaż Mistrz z Nazaretu istotnie przekazywał to doświadczenie w specyficzny sposób i dopiero zmartwychwstanie było rzeczywiście pełnym objawieniem treści Jego osoby i posłannictwa. Z tych racji wolimy używać terminu „chrystologia Jezusa”. Implikowana w niej świadomość znalazła wyraz w wierze uczniów i tytułach Boskich, jakimi zaczęto określać Jezusa, wysławiając Go i rozważając Jego życie w świetle zmartwychwstania (*chrystologie explicite*). Gdy został spisany Nowy Testament, wyraziła się w nim – również w niektórych elementach ewangelicznych opisów narodzin, życia i śmierci Jezusa – chrystologia

¹ Por. K. Rahner, *Podstawowy wykład wiary*, Warszawa 1987, s. 201.

² Tamże.

popaschalna. Nie znaczy to jednak, że nie można z niej wydzielić chrystologii samego Jezusa i że ta pierwsza nie ma znaczenia dla naszej wiary. Ma, bowiem ci, którzy znali Jego lub Jego uczniów, przekazali nam głębokie przekonanie, że w Mistrzu z Nazaretu objawił się Mesjasz, Pan i Syn Boży.

W artykule zostaną zaprezentowane niektóre elementy chrystologii Jezusa.

Autorytet Jezusa w proklamacji królestwa Bożego

Do centralnych idei przepowiadania Jezusa należał, jak wiadomo, temat królestwa Bożego i królowania Jahwe. W nim też należy szukać – głównie – specyficznej świadomości mesjańskiej Jezusa. Jak stwierdza św. Marek opisując początek publicznej działalności Pana, *gdy Jan został uwięziony, Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię. Mówił: Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!* (Mk 1,14–15). Termin streszcza całą różnicę między przepowiadaniem proroków, zwłaszcza Jana Chrzciciela, a słowem Jezusa. O ile Jan roztaczał przed Izraelem wizję sądu i możliwości uniknięcia go, Jezus głosi nową rzeczywistość zbawczą malekut YHWH, która rozpoczyna się wraz z Jego przyjściem. To właśnie było niesłychanym znakiem Jego Boskiej świadomości. Jezus twierdził, że królowanie Boga, które zapowiadali prorocy i psalmiści, przychodzi do człowieka w Nim i przez Niego.

Na temat królestwa Jezus najczęściej wypowiadał się w przypowieściach. Są one nie tylko środkiem pedagogicznym czy formą argumentacji polemicznej, ale przede wszystkim ukazaniem – za pomocą pewnej fabuły poetycko-narracyjnej – spełniającego się panowania Boga: siewca już wyszedł siał, sieć została zarzucona, ciasto pęcznieje itp. Królestwo Boże upodabnia się do dramatu, który rozgrywa się już teraz, od chwili gdy słowo Jezusa pada w ludzkie serca. To On rozpoczyna królo-

wanie Boga w dziejach człowieka. Tam gdzie jest Jezus, tam też objawia się Boże królestwo. *Królestwo Boże nie przyjdzie dostrzegalnie i nie powiedzą: Oto tu jest albo tam. Oto bowiem Boże królestwo pośród was jest* (Łk 17,20–21). Aż do czasów Jana Chrzciciela, stwierdza, *sięgało Prawo i Prorocy; odtąd głosi się Dobrą Nowinę o królestwie Bożym i każdy gwałtem wdziera się do niego* (Łk 16,16)³.

W łączności ze słowem „królestwo“ Jezus pojmował swoje cuda. Np. wyrzucanie demonów interpretował jako znak nadejścia królestwa Bożego: *Jeśli ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło do was królestwo Boże* (Łk 11,20). Odpowiadając na pytanie uczniów Jana Chrzciciela Jezus polecił im przekazać: (...) *niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci doznają oczyszczenia, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim głosi się Ewangelię* (Mt 11,5–6). W ten sposób nawiązywał do proroctwa Izajasza, który w tych właśnie znakach zapowiadał nastanie królestwa Bożego (Iz 29,18; 35,51; 61,1). Wszystkie wreszcie cuda zakładają wiarę we wszechmoc Bożą⁴.

Jezus wiązał zatem swoje przyjście z otwarciem historii szczególnego i ostatecznego królowania Boga. Miał świadomość, że właśnie przez Niego rozpoczynają się dzieje nowej społeczności, której prawem będzie miłość rozumiana jako synowska więź z Ojcem. Nadaje to Jego osobie jedyny w swoim rodzaju autorytet; autorytet tego, który inauguruje królestwo Boże.

Radykalizm Jezusa w powołaniu uczniów

Powołując uczniów, stawiając im niedwuznaczne wymagania i wiążąc ich we wspólnotę zbawczą przez ustanowienie Eucharystii w ich gronie Jezus wskazywał zarazem na niezwykłość swojej osoby. Jak stwierdza

³ Por. P. Ricoeur, *Ermeneutica biblica. Linguaggio e simbolo nelle parabole di Gesù*, Brescia 1978.

⁴ Zob. H. Seweryniak, *Semantyka cudu*, „Communio“, nr 9/1989, s. 93–100.

H.U. von Balthasar, Jezus postawił w ten sposób siebie jako model osiągnięcia prawdziwej relacji z Bogiem. Historie powołań opierają się na kategoriycznym wezwaniu: *Pójdź za mną!* Jezus jest osobą, dla której trzeba porzucić wszystko (Mk 10,17–27; Mt 13,44–46; 19,16–22; Łk 12,16–21; 18,18–23). Stawia pójście za Nim ponad grzebaniem ciał umarłych godząc tym samym w jeden z najbardziej przestrzeganych obowiązków petyzmu (Łk 9,59; Mt 8,22). Wezwanie Jezusa do pójścia za Nim wymaga zerwania więzów rodzinnych (Mt 10,37; Łk 14,26). Kto nie niesie swojego krzyża, nie może być, zdaniem Łukasza, uczniem Jezusa, a według Mateusza nie jest Go godzien (Łk 14,25–35; Mt 10,38). Po Wielkim Piątku logion odczytano w kontekście śmierci krzyżowej: Ten, który poniósł śmierć *za wielu*, mógł się domagać nie tylko wyrzeczenia, ale wręcz męczeństwa. Uczniowie już za czasów Jezusa musieli pojąć, że stawia On tak nadzwyczajne warunki, bo jest świadom swego jedyne go, zbawczego posłannictwa⁵.

Oskarżenie o bluźnierstwo

Wedle najbardziej pierwotnych świadectw ewangelicznych Jezus był oskarżony o bluźnierstwo, bowiem uzurpował sobie prerogatywy Boskie. Zarzut ten został sformułowany podczas przesłuchania przez władze żydowskie (wprost wedle Mk 14,64 i Mt 26,65 oraz nie wprost wedle Łk 22,71 i J 19,7). Oskarżenie tego typu pojawiało się już od początku działalności Jezusa. Np. po odpuszczeniu grzechów paralitykowi i uzdrowieniu go uczeni w Piśmie – jak relacjonuje Marek – *myśleli w sercach swoich: Czemu On tak mówi. On bluźni. Któż może odpuszczać grzechy, prócz jednego Boga?* (Mk 2,7). Echo tych oskarżeń powraca w Ewangelii Janowej. Żydzi usiłowali zabić Jezusa, *bo nie tylko nie zachowywał szabatu, ale nadto Boga nazywał swoim Ojcem, czyniąc się równym Bogu* (J 5,18). A po serii radykalnych roszczeń Jezusa w tej sprawie Żydzi stwierdzają: *Nie*

chcemy cię kamienować za dobry czyn, ale za bluźnierstwo, za to, że ty będąc człowiekiem uważasz siebie za Boga (J 10,3).

Należy zwrócić uwagę, że ani w Biblii, ani w apokryfach, ani w całej literaturze rabinistycznej nikt z członków narodu izraelskiego nie był oskarżony o uzurpowanie sobie prerogatyw Boskich. Domagali się ich wyłącznie niektórzy królowie pogańscy (Dn 3,1-7; 6,7-9; Ez 28,2; 2Mch 9,12). Oskarżenie musiało mieć zatem mocne podstawy w świadomości i postępowaniu samego Jezusa⁶.

Chrystologia wyższości

W Ewangeliach spotykamy również serię świadectw Jezusa o sobie samym, którym teologia nadała wspólne miano tzw. chrystologii wyższości. W wielu opisach akcentuje się wyższość Jezusa nad Janem Chrzcicielem. W Ewangelii Łukasza Jezus powtarza: *Oto tu jest coś więcej niż Salomon (...) coś więcej niż Jonasz* (11,29-32). W wyznaniu Piotra pod Cezareą Filipową Jezus staje ponad Janem Chrzcicielem, Eliaszem czy którymkolwiek z proroków, a w opisach przemienienia zajmuje centralne miejsce wobec Mojżesza i Eliasza, największych figur monoteizmu żydowskiego. Nawet jeśli mamy w tym miejscu do czynienia z chrystologią popaschalną, tego rodzaju świadectwa wpisane w bieg życia Jezusa zachowują swoje niebagatelne znaczenie. W tym kontekście należy też rozumieć ważny logion, który tylko pozornie świadczy o niższości i niewiedzy Jezusa: *O dniu owym lub godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec* (Mk 13,32). Słowa te nie mogłyby pozostać w Ewangeliach (por. Mt 24,36), gdyby rzeczywiście nie zostały wypowiedziane (pomija je Łukasz, a także liczne odpisy Ewangelii Mateuszowej).

⁵ Por. H. Langkammer, *U podstaw chrystologii Nowego Testamentu*, Wrocław 1976, s. 212-243.

⁶ F. Dreyfus, *Gesù sapeva d'essere Dio?* Milano 1985, s. 60-62.

W momencie gdy Jezus wyznaje swoją niewiedzę (wiedza, którą posiadał, dotyczyła istoty relacji z Bogiem oraz misji, którą miał wypełnić), zarazem stawia siebie pośród bytów niebiańskich: aniołów w niebie i Boga, uwypuklając swoją synowską relację z Ojcem.

Jezus prawodawca

Ugruntowało się dość powszechne przekonanie o negatywnym stosunku Jezusa do Prawa Mojżeszowego. Prawdą jest, że Jezus zwalczał rytualizm żydowski, zastępowanie miłości literą prawa i kazualistyczne podejście do szabatu. Swój autorytet wyraził tutaj niezwykłym wprost tytułem: *Syn Człowieczy jest Panem szabatu* (Mk 2,28). Szabat bowiem *został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu* (Mk 2,27). Dla Boga liczy się człowiek, jego godność i dobro ponad literą prawa. Jezus, ostateczny interpretator zamysłu Bożego wobec ludzkości, rozpoznaje tę prawdę i podkreśla ją uzdrawiając w szabat. Dlatego przysługuje mu tytuł Pana nad rzeczywistością, którą w przekonaniu Starożytności sam Bóg określił.

Jak widać, Jezus nie zmieniając w niczym Prawa przełamywał jego panowanie – uczeni w Piśmie bowiem stawiali je na miejscu Boga. Dostrzega się to wyraźnie na przykładzie Kazania na Górze, w którym nowość wymagań etycznych Jezusa wprost zmusza do postawienia pytania o racje Jego autorytetu.

Kazanie na Górze ma dwie różne redakcje: Mt 5,1–7.29 i Łk 6,17–49. Zajmiemy się tutaj pierwszą z nich.

Na wstępie trzeba wyraźnie powtórzyć za J. Kudasiewiczem, że struktura Kazania jest w znacznej mierze tworem literackim autora Ewangelii. Mamy tu jednak zbiór słów Jezusa (logiów), chociaż wypowiedzianych w różnych okolicznościach czasu i miejsca oraz do różnych słuchaczy. Charakterystyczna jest chrystologia samego Mateusza – w Jezusie dostrzega on nowego Mojżesza. Także Jezus staje na górze. Ale nie jest to

Synaj ani żadna góra związana z historią narodu wybranego, lecz nieznana góra, analogiczna w swej anonimowości do tej, z której wywyższony Pan wypowie ostatnie słowa: *Idźcie i nauczajcie wszystkie narody (...) a oto ja jestem z wami (...) aż do skończenia świata* (Mt 28,19-20). Uniwersalizm Nowego Prawa i autorytet Jezusa – Powszechnego Prawodawcy poświadcza jeszcze zakończenie kazania: *Każdego więc, kto tych słów moich słucha i wypełnia je, można porównać z człowiekiem roztroptym, który dom swój zbudował na skale* (Mt 7,24).

Przyjrzyjmy się najbardziej specyficznym elementom architektury Mateuszowej, w której zarysowuje się Jezusowa świadomość nadzwyczajnego autorytetu moralnego.

Błogosławieństwa Jezusa (5,3-12) upodabniają się do apokaliptycznych makaryzmów, ale też różnią się od nich istotnie. Przede wszystkim Jezus, świadom swego autorytetu i zarazem szczególnej łączności ze wszystkimi biednymi, głodnymi, płaczącymi itp., przyznaje im zbawienie w sposób bezwarunkowy (*wielka jest wasza nagroda w niebie*, w. 12), znosząc jednocześnie barierę „przynależności do Prawa”. Izrael, na skutek swoich odstępstw od Boga, nie stanowi już społeczności, przez którą ma się realizować zbawienie. W błogosławieństwach Jezus wyraził przekonanie, że przychodzi ono właśnie teraz, przez Niego, gdy Bóg stwarza zupełnie nową sytuację zbawczą. Sześć antytez Kazania na Górze (Mt 5,31n. 38-42. 43-48) jest jeszcze donioślejszym wyrazem owego przekonania. Formuła: *słyszeliście, że powiedziano...* odsyła słuchaczy Jezusa do Tory, starotestamentowego prawa Bożego. W drugiej części antytez (*a ja wam powiadam*) Jezus – rzecznik woli Bożej – występuje przeciwko jej instrumentalizacji, uzależnieniu od interpretacji legalistycznej. Nowa ekonomia zbawcza dokonuje się przez bliskość człowieka z drugim w jego konkretnej sytuacji wobec Boga. Tym „czymś nowym” jest przede wszystkim sam Mesjasz inaugurujący królestwo Boże oraz dokonana przez Niego

radikalizacja i interioryzacja wymogów Prawa. Uczeń Jezusa nie tylko ma odrzucić zewnętrzne zaborstwo i nieczystość, ale dotrzeć do samego wnętrza swych relacji z bliźnim: do sumienia i serca (antyteza 1-3); ma się starać o pełną szczerość i prawdomówność (antyteza 4); winien ogarnąć miłością wszelkie sytuacje i osoby, aż po miłość nieprzyjaciół (antyteza 5 i 6).

Wszystkie te wskazania – powtórzmy – nie mają na celu podważania autorytetu Prawa. Jezus występuje jedynie przeciw przeciwstawianiu Prawa bezpośredniej synowskiej relacji człowieka z Bogiem. Jawi się jako rzecznik ostatecznej ekonomii zbawczej zakorzenionej w woli Bożej, ekonomii nawrócenia serca i łączności przybranych dzieci z Ojcem bez wyłącznego pośrednictwa Prawa. Uwidaczniają się przy tym Jego nadzwyczajne prerogatywy Pośłańca Bożego i Widzącego, który tę wolę rozpoznaje i obwieszcza słowem: *A ja wam powiadam*. Nie odsyła od własnego słowa do Słowa Bożego, jak to czynili prorocy (*tak mówi Pan*). On ręczy za swoje słowo – Jego autorytet jest większy niż proroków. Widać to również w często powtarzającym się w Kazaniu zwrocie: *Zaprawdę (Amen), powiadam wam* (Mt 5,26; 6,2.5.16). Jezus nie potrzebuje żadnego potwierdzenia dla swych wypowiedzi. „Amen“, które zwykle służy jako afirmacja wypowiedzi kogoś innego, używa w celu potwierdzenia własnego słowa. Dlatego też, stwierdza Mateusz w nocie redakcyjnej na zakończenie kazania, *gdy Jezus dokończył tych mów, tłumy zdumiewały się Jego nauką. Uczył ich bowiem jak ten, który ma władzę, a nie jak uczeni w Piśmie* (Mt 7,28-29)⁷.

Abba!

Charakterystycznym wyrazem autorytetu Jezusa jest Jego sposób zwracania się do Boga *drogi Ojczy* oraz określenia Go tytułem *Ojciec mój*. Na pierwszy rzut oka nie ma w tym nic nowego. Bogowie wielu ludów Bliskiego i Dalekiego Wschodu, bóstwa plemion afrykań-

skich i australijskich, Greków i Rzymian noszą miano ojca. Kosmogoniczny praojciec kształtował ludzi, dawał im w posiadanie ziemię i stanowił symbol jedności narodowej. Wbrew pozorom rzecz nie jawi się z taką oczywistością w tradycji judaistycznej. W dramatycznej epopei Wyjścia Jahwe nie jest ojcem, ale co najwyżej *Bogiem ojców naszych*. Podobnie dzieje się w teologii przymierzy, szczególnie uczulonej na problem antropomorfizacji. Spotykamy się tutaj wprawdzie z obietnicą: *Będę waszym Bogiem*, ale wydarzenie krzewu ognistego broni jej przed wszelką człekokształtnością (a więc także przed figurą ojca). Jeszcze dalej posuwa się kapłańska kosmogonia biblijna: użyte tu słowo „stworzył” wybija wyłom między kosmogonią Genesis a kosmogonijnymi mitami rodzenia. Tutaj Bóg nie rodzi ani nie płodzi, lecz stwarza potęgę swego odwiecznego słowa. Dopiero w tradycji prorockiej jest On określony jako ojciec. Ale i tu przede wszystkim w kontekście wyrzutu (*Myślałem: będziesz mnie nazywał „Mój Ojciec” i nie odwrócisz się ode mnie*, Jr 3,19) lub obietnicy (*Przywiodę ich do strumienia wody (...) Jestem bowiem Ojcem dla Izraela*, Jr 31,9).

W Starym Testamencie zatem bardzo słabo była rozwinięta tradycja nazywania Boga ojcem (około 20 przypadków). Co więcej, jak wskazał J. Jeremias, Izraelici nigdy nie zwracali się ani nie wołali do Boga: Ojciec! W tym kontekście nadzwyczajny jest styl modlitwy Jezusa, który – wedle jednogłośnego stwierdzenia ewangelistów – tak właśnie zwracał się do Boga (21 przypadków na 22 modlitwy). Więcej jeszcze: Jezus używał aramejskiego zwrotu „Abba”, o czym świadczą nie tylko Ewangelie synoptyczne (Mk 14,36), ale także praktyka pierwszych gmin (Rz 8,15; Ga 4,6). Tego rodzaju dziecięcy sposób zwracania się do Boga: „Abba” („mój ojciec”, „tatusiu”), był wprost nie do pomyślenia w judaizmie. Jest więc niewątpliwe, że słowo „Ab-

⁷ Por. J. Kudasiewicz, *Biblia, historia, nauka*, Kraków 1978, s. 364–396; W. Kasper, *Rzeczywistość wiary*, Warszawa 1979, s. 46–49.

ba“ ukazuje najgłębszy sens Jego związku z Bogiem. Jezus musiał być świadom, że z Jego przyjściem rozpoczął się nowy czas. W tym właśnie momencie znika rezerwa, którą poświadcza cała Biblia. Odwaga jest możliwa, bo rozpoczął się czas królestwa Bożego zapoczątkowany przez Syna.

Faktem jest natomiast, że u synoptyków Jezus rzadko posługuje się słowem „ojciec“ na określenie Boga. Czyni to w uroczystych momentach i znowu w sposób charakterystyczny. Przykładem może być rozróżnienie na *Ojciec mój* i *Ojciec wasz* (Mt 5,45.48; 11,27; Mk 11,25; Łk 6,36; 12,32) oraz logion: *Wszystko przekazał mi Ojciec mój i nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić* (Mt 11,27; Łk 10,21). Jezus wyraża tu świadomość swego synostwa i wyłączności posłannictwa mesjańskiego (Ps 2,7): jak ojciec osobiście pokazuje synowi litery Tory, tak Bóg przekazał mu objawienie siebie samego i wobec tego tylko Jezus może w pełni objawiać Boga.

Gdy więc Jezus mówi o Bogu: *mój Ojciec*, to nawiązuje do jedynego objawienia, które On właśnie otrzymał. Gdy zaś mówi: *Ojciec wasz*, gdy uczy uczniów słów Modlitwy Pańskiej (Łk 11,2-4 – wersja krótsza, starsza; Mt 6,9-13), prowadzi ich do uczestnictwa w Jego własnej, synowskiej jedności z Bogiem.

Rozwój refleksji gmin chrześcijańskich nad tym fenomenem obrazuje być może ciekawe zjawisko semantyczne: w Ewangelii św. Marka znajdujemy 4 przypadki użycia słowa „ojciec“ na oznaczenie Boga, w Ewangelii Łukaszowej – 15, u Mateusza – 42, a u Jana – aż 117⁸.

Syn Człowieczy

Spośród 55 tytułów, którymi Nowy Testament określa Jezusa, On sam stosował do siebie prawdopodobnie tylko tytuł Syna Człowieczego. Należy on do figur mesjanizmu apokaliptycznego, o czym świadczy Dn 7,14 i etiopska Księga Henocha (II/Iw. przed Chr.). Syn

Człowieczy występuje w tych wizjach jako byt niebiański, osoba, która otrzymuje od Boga panowanie, ale nie ma cech nacjonalistycznych – w Jego królestwie partycypować będą wszystkie narody. Z tej racji nietrudno zgadnąć, dlaczego Jezus mówił o Synu człowieczym mając na uwadze siebie samego. Objawiła się w tym jego specyficzna świadomość mesjańska. Czynem i postawą Jezus ujawnia, że jest mesjaszem, ale aby uniknąć nacjonalistycznych skojarzeń, które łączono z osobą oczekiwanego mesjasza w późnym judaizmie, wybrał uniwersalistyczne i zarazem pokorne określenie Syna Człowieczego.

Trudno przyjąć, by omawiany tytuł został przeniesiony na Jezusa przez pierwotne gminy chrześcijańskie. Gdyby tak było, musiałby pojawić się w ich pismach teologicznych. Tymczasem nie spotykamy go w Listach św. Pawła, a tylko raz – w *Dziejach Apostolskich* (7,56) i dwa razy w *Apokalipsie* (1,13; 14,4). Występuje natomiast po wielokroć w *Ewangeliach* (80 przypadków) i zawsze jest wypowiedziany przez samego Jezusa.

Używając tytułu Jezus wyrażał z jednej strony pokorę swojej ludzkiej kondycji i zbawcze pośrednictwo przez oddanie Ojcu i służbę ludziom. Mówił: *Lisy mają nory i ptaki powietrzne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł skłonić* (Mt 8,20). *Przyszł Syn Człowieczy: je i pije, a oni mówią: oto żarłok i pijak* (Mt 11,19). *Syn Człowieczy nie przyszedł, aby mu służyło, lecz żeby służyć i dać swoje życie na okup za wielu* (Mk 10,45). *I zaczął ich pouczać, że Syn Człowieczy musi wiele wycierpieć* (Mk 8,31).

Z drugiej strony identyfikując się z Synem Człowieczym Jezus utożsamiał się z Jego wywyższeniem. Do tej grupy należą stwierdzenia, że *Syn Człowieczy ma na ziemi władzę odpuszczania grzechów* (Mk 2,10) oraz: *Syn Człowieczy jest panem szabat* (Mk 2,28). *Syn Człowieczy zmartwychwstanie* (Mk 9,9) i *przyjdzie sądzić świat*

⁸ Por. J. Jeremias, *Abba*, w: J. Kudasiewicz (red.), *Biblia dzisiaj*, Kraków 1969, s. 316–331; H. Langkammer, dz. cyt., s. 182–184.

(Łk 17,24-26). Kto przyzna się do Niego na ziemi, do tego Syn Człowieczy przyzna się w rzeczywistości nieba (Mk 12,8-9).

Są też wypowiedzi, które zawierają oba elementy chrystologii Jezusa. Najbardziej wymowne pod tym względem jest proroctwo o przyjściu Syna Człowieczego i sądzie nad światem (Mt 25,31-46). Syn Człowieczy utożsamia się tutaj ze wszystkimi *najmniejszymi* i zarazem cieszy się pełnią Boskiej władzy sędziowskiej.

Śmierć za wielu

Nadzwyczajna jest także Jezusowa chrystologia zbawczego charakteru Jego śmierci: *Syn Człowieczy nie przyszedł, aby mu służyło, ale aby służyć i życie swoje oddać na okup za wielu* (Mk 10, 45). Deklaracje tego typu byłyby niezrozumiałe, gdyby nie zostały wypowiedziane pod koniec życia, dla którego owo *za wielu* miało fundamentalne znaczenie. We wszystkim, co Jezus czynił, był całkowicie oddany Ojcu i ludziom. To dlatego w Jego przepowiadaniu tak ważną rolę odgrywały zwroty: *przyszedłem, aby...* *trzeba, aby...* przez które wyrażał nie tylko świadomość wypełnienia się w Nim proroctw mesjańskich, lecz przede wszystkim świadomość realizacji ekonomii Bożej.

Przekonanie o zbawczym charakterze życia i śmierci Jezusa przejawia się zwłaszcza w Jego stosunku do grzeszników. W przeciwieństwie do Jana Chrzciciela Jezus jest ciągle w drodze w poszukiwaniu zagubionej owcy i syna marnotrawnego. Przyjmuje prostytutki i celników, dzieli z nimi stół objawiając w ten sposób, że przyszedł przynieść to, czego człowiek najbardziej potrzebuje: przebaczenie, wspólnotę z Bogiem i zbawienie, którego nie można zrealizować przez samo zachowanie Prawa czy dążność do „samoodkupienia“, ale przez miłosierdzie Ojca wychodzącego na spotkanie człowieka w ofierze Syna. W przeciwieństwie do proroków Jezus sam przebacza: *Twoje grzechy są odpuszczone* (Mk 2,5).

Aby mógł wypowiedzieć te słowa, musiał być świadom prerogatyw Bożych, swojej bliskości z Bogiem. Największym tego wyrazem jest uzdrowienie paralityka (Mk 2,1-12). Na słowo Jezusa kaleka zostaje uzdrowiony z grzechu tak, jak zostaje uzdrowiony z choroby. Zgromadzeni zaś, świadomi, że tylko Bóg może przebaczać, stwierdzają zgodnie: *Jeszcze nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego*.

Całą dramaturgię bliskości swojej odkupieńczej śmierci i świadomości jej centralnego miejsca w kontekście dziejów zbawienia Jezus przekazał w przypowieści o przewrotnych dzierżawcach (Mk 12,1-11; Mt 21,33-44; Łk 20,9-18). Zdaniem wielu egzegetów (F. Dreyfus, M. Hubant, X. Leon-Dufour) w przypowieści tej Jezus jedyny raz w toku publicznej działalności określił siebie jako Syna Bożego. Alegoria nawiązująca do biblijnego obrazu winnicy miała niedwuznaczną wymowę: właścicielem jest Bóg, sługami – prorocy, a Syn – *jeden i ukochany* (Mk 12,6), to Jezus, który odda swoje życie dla sprawy Bożego władztwa nad dziejami zbawienia⁹.

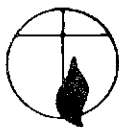
Wszystkie omówione elementy chrystologii Jezusowej uwidoczniły się w kulminacyjnym momencie procesu przed sanhedrynem, gdy w sytuacji największego poniżenia, odwołując się do wielkich wizji Starego Testamentu (Wj 3,14 n.; Dn 7,14 n.), Jezus wyraził przekonanie o swojej chwale: *Czy ty jesteś Mesjasz, Syn Błogosławionego? Ja jestem. Ujrzenie Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego i nadchodzącego z obłokami niebieskimi* (Mk 14,61-62). W wyznaniu tym jest zawarte sedno nauki Jezusa o sobie samym oraz wiary Kościoła w Chrystusa Pana i Syna Bożego.

⁹ Por. J. Kulisz, *Bóg w Jezusie*, Warszawa 1989, s. 59-72.

La Révélation de Dieu en Jésus-Christ

Rappelant que le Nouveau Testament est une expression de la christologie postpascale, l'auteur affirme que cela ne signifie nullement qu'il n'y ait pas lieu d'en dégager une christologie de Jésus lui-même, à valeur d'une transmission-témoignage passible d'analyse historique. Puis, l'auteur étudie des éléments tels de la christologie de Jésus que la

proclamation du royaume de Dieu, le radicalisme de l'appel de disciples, la christologie dite de la prééminence, l'aspect législatif de l'activité de Jésus et autres, pour affirmer qu'ils se sont tous manifestés en ce moment culminant que fut la comparution devant le sanhédrin où Jésus annonça sa gloire (Mc 14,61-62).



Większość – mniejszość

4 X 1991 r. w redakcji „PP” odbyła się dyskusja poświęcona relacjom polsko-ukraińskim. W rozmowie uczestniczyli: Bogumiła Berdychowska (dyrektor Departamentu Mniejszości Narodowych w Ministerstwie Kultury i Sztuki), Mirosław Czech (redaktor naczelny kwartalnika „Zuстріч”), Michał Jagiełło (wiceminister kultury, redaktor „Przeglądu Powszechnego”), Tomasz Lis (wicedyrektor Departamentu Konsularnego i Wychodźstwa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych) i Jerzy Rejt (prezes Związku Ukraińców w Polsce).

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Nowa sytuacja polityczna w naszej części świata upoważnia do zadawania sobie i innym pytań o pożądane stosunki między „mniejszością” a „większością”. Podejmowanie tej tematyki jest dziś nieodzowne co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze mamy do czynienia ze wzrostem – i to skokowym – uczuć narodowych za wschodnią granicą Polski, gdzie osoby identyfikujące się z polskością są w wyraźnej mniejszości wobec Ukraińców, Białorusinów, Litwinów... Po drugie w Rzeczypospolitej, w polskim morzu, są wyspy zamieszkałe przez członków wymienionych przed chwilą narodów. Po trzecie ta swoista podwójność i wymiennność statusów: mniejszość – większość, jest warta stałej intelektualnej obróbki, nie jest to tylko czysto teoretyczne rozpatrywanie wzajemnych relacji między większością a mniejszością, w tym przypadku projektowanie modelowe ściśle się wiąże z praktyką.

Dzisiejsze spotkanie jest poświęcone właśnie relacjom mniejszości z większością, niejako na przykładzie Ukraińców mieszkających w Polsce. Jest zrozumiałe, że w tle naszej rozmowy stale będą obecni Polacy na Ukrainie; głównymi jednak bohaterami są Ukraińcy w Polsce: ich wyobrażenia o miejscu i roli w Rzeczypospolitej i w życiu wolnej Ukrainy.

TOMASZ LIS: Nasza rozmowa odbywa się na początku października, kiedy sytuacja nie jest jeszcze ustabilizowana. Z jed-

nej strony mamy takie wydarzenia, jak ogłoszenie aktu niezależności Ukrainy, z drugiej strony wiemy, że ten akt ma być potwierdzony przez referendum w pierwszych dniach grudnia. Odbyło się kilka rozmów na szczeblu ministerialnym i rządowym władz Ukrainy i Rzeczypospolitej, a nasza dyskusja toczy się w dniu, w którym roboczą wizytę w Warszawie składa premier Ukrainy. Zgodnie z tym, co powiedział min. Skubiszewski na wczorajszej konferencji prasowej, następnym krokiem musi być nawiązanie wzajemnych stosunków dyplomatycznych. Zależy to oczywiście od wyników referendum na Ukrainie i od tego, jakie będą dalsze pociągnięcia władz ukraińskich. W ramach ambasady ZSRR w Warszawie pracuje dyplomata ukraiński, reprezentujący – za zgodą Moskwy – interesy ukraińskie. W najbliższych dniach powinno nastąpić oficjalne ustanowienie pełnomocnika rządu Rzeczypospolitej w Kijowie, który będzie się zajmował kontaktami politycznymi poza pionem konsularnym.

BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA: Najważniejszym wydarzeniem od czasu przejścia rządów w Polsce przez niekomunistów, czyli od czasu utworzenia rządu Mazowieckiego, było stworzenie nowego modelu kontaktów rządu z przedstawicielami wszystkich mniejszości narodowych w Polsce. Do historii należy już sytuacja, w której o Ukraińcach, Niemcach, Litwinach decyduje się bez ich udziału. Przejawem tego nowego modelu było powołanie międzyresortowej Komisji ds. Mniejszości Narodowych w Polsce. Za sprawą tej Komisji, istniejącej formalnie od jesieni 1990 r., udało się przeznaczyć spore fundusze na rozwój kultury mniejszości narodowych. Tymi dodatkowymi funduszami byli w 1990 r. objęci Ukraińcy, Litwini, Słowacy, Białorusini, Żydzi i Cyganie. Jedyną grupą mniejszościową, która nie skorzystała wówczas z tej pomocy, była mniejszość niemiecka. Wynikało to z faktu, że Niemcy najpóźniej nawiązali kontakty z agendami rządowymi zajmującymi się sprawami mniejszościowymi. Kolejnym ważnym elementem była zmiana nastawienia do mniejszości narodowych, która dokonała się w Ministerstwie Edukacji Narodowej. Po raz pierwszy szkolnictwo mniejszościowe przestało być traktowane jako zło konieczne. Dzięki tej

postawie MEN doszło – w przypadku Ukraińców – do powołania dwóch nowych szkół. Powstało liceum z językiem ukraińskim w Górowie Haweckim oraz szkoła podstawowa w Przemyślu. Liczba dzieci uczących się języka ukraińskiego wzrosła w ostatnich 2 latach o około 1000, co jest znakiem zarówno przychyłnej polityki władz oświatowych jak i wyzwalania się społeczności ukraińskiej z pewnych lęków. Innym ważnym wydarzeniem ostatnich tygodni było otwarcie 5. programu Polskiego Radia w języku ukraińskim, który jest odbierany na terenie całego kraju. Dotacje MKiS umożliwiły mniejszości ukraińskiej zakup budynku, w którym będzie się mieścić Ośrodek Kultury Ukraińskiej w Warszawie, a także bazy poligraficznej do działalności wydawniczej.

MICHAŁ JAGIELŁO: Warto w tym miejscu dodać parę zdań o Polakach na Ukrainie. Na Ukrainie działa od niedawna Polski Związek Kulturalno-Oświatowy i Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Ukazuje się „Gazeta Lwowska”, powstaje coraz więcej zespołów regionalnych, chórów, myśli się o powołaniu teatrów. Polacy jeszcze nie korzystają z dotacji rządowych Ukrainy, ale nie jest to wyjątek, bo Ukraina nie dopracowała się jeszcze mechanizmów wspierania towarzystw mniejszości narodowych. Podpisane ostatnio porozumienie o współpracy kulturalnej między Ministerstwami Kultury Polski i Ukrainy poświęca sporo miejsca wzajemnym zobowiązaniom w tym względzie. Jest też uzasadniona nadzieja, że Polacy we Lwowie i Kijowie otrzymają w najbliższym czasie skromne lokale dla swoich organizacji. W ciągu ostatnich dwóch lat oddano około 70 kościołów rzymskokatolickich. Zdarzają się, zwłaszcza na wsiach, przypadki wspólnego remontowania cerkwi i kościołów rzymskokatolickich przez wiernych obydwu wyznań. Lwów jest terenem gorącym, trochę tak jak Przemyśl, ale według mojej oceny nie ma większych napięć ukraińsko-polskich. Im dalej na wschód, tym bardziej natomiast rośnie zapotrzebowanie na kontakt z kulturą polską. Odnoszę wrażenie, że kultura polska jest traktowana przez część Ukraińców trochę jako odtrutka na sowietyzację. W zespołach regionalnych, chórach jest młodzież polska z małżeństw mieszanych,

ale i – co ciekawe – także młodzież ukraińska. Te dzieciaki są w naturalny sposób dwukulturowe i dwujęzyczne. Często zresztą instruktorkami polskich zespołów są Ukrainki. Zdarza się i tak, jak np. w Kijowie, że polskie zespoły mogą korzystać z Domu Nauczyciela. Wydaje się, że jeśli władze Ukrainy wykonają parę gestów w stronę Polaków, np. zapewnią pomieszczenia, dotacje dla stowarzyszeń kulturalnych czy „Gazety Lwowskiej“, jest nadzieja na naturalne, spokojne współzycie. Pod warunkiem, że Ukraińcy nie potraktują Polaków jako zagrożenia dla swej tożsamości, a Polacy nie wpadną w pułapkę postawy skrajnie rewindykacyjnej.

TOMASZ LIS: Jedno słowo uzupełnienia. Od tygodnia działa też Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Wołyńskiej z siedzibą w Łucku.

JERZY REJT: W mojej ocenie mamy za mało informacji dotyczących pracy stowarzyszeń polskich na Ukrainie, a także ukraińskich w Polsce. Myślę, że generalnie powinno się dążyć do lepszej i pełniejszej informacji o sobie.

Jeżeli chodzi o społeczność ukraińską w Polsce, trzeba powiedzieć, że początek rządów solidarnościowych był momentem, który przełamał gromadzoną od wielu dziesięć lat nieufność i strach. Można było o wszystkim powiedzieć, można było przedstawić swoje pretensje, racje, bóle, prawdy, żale. Umożliwia to poznanie i zrozumienie problemów naszej społeczności i podjęcie dyskusji. Z perspektywy dwóch ostatnich lat musimy to wyraźnie podkreślić. Drugim istotnym elementem, który pojawia się wszędzie tam, gdzie społeczności nie funkcjonowały normalnie, jest bagaż spraw nie rozwiązywanych od dziesięcioleci. Trzeba zatem przeprowadzić gradację spraw, które można załatwić stosunkowo szybko, tych, które wymagają funkcjonowania pewnych mechanizmów i czasu, oraz spraw generalnie trudnych, które być może zostaną załatwione dopiero jako konsekwencja ustanowienia stosunków między państwowych między Polską a Ukrainą. W punkcie wyjścia mamy duży bagaż problemów. Został też uruchomiony element nadziei na zrealizowanie tych spraw, ufności. Jest to sprawa bardzo delikatna, niewymierna, której faktycznie nie

było od czasów ostatniej wojny. Wskreszenie tej nadziei jest owocem rządów solidarnościowych. Trzeba jednak zauważyć pojawienie się pewnego elementu niewiary odnośnie do trwałości tego procesu. Jest sprawą otwartą, czy wysuwane propozycje i korekty dotychczasowych rozwiązań umocnią tę nadzieję.

MEN wypracowało – moim zdaniem – pewną generalną propozycję. Dotyczy ona nie tylko tworzenia szkół, ale samego mechanizmu powstawania programów dotyczących naszego szkolnictwa. Jesteśmy zapraszani na konsultacje, do opiniowania tych programów. Często je tworzymy. Mimo trudnej sytuacji ekonomicznej znalazły się fundusze na uruchomienie szkoły w Przemyśle. Oczywiście, nie załatwia to wszystkich spraw, bo jest np. szkoła-widmo w Górowie Iławeckim, ale pozytywne fakty, o których mówiłem, rodzą nadzieję na rozwiązanie także innych problemów.

MICHAŁ JAGIEŁŁO: Dlaczego szkoła-widmo w Górowie?

JERZY REJT: Jest to barak z dobudówką z siporeksu. Są to klasy-klitki w liceum zrobionym gospodarskim sposobem z baraku. Dzisiaj sytuacja jest taka, że nawet wizyta min. Janowskiego i jego rozmowy z władzami lokalnymi nie rozwiązały problemu. Trudności są obiektywne, ale mamy nadzieję, że zostaną przezwyciężone.

W rozmowach prowadzonych z MKiS została przyjęta propozycja, aby Związek korzystał nie tylko z państwowych dotacji, ale i z funduszy wypracowanych własnym sumptem. W ubiegłym roku wypracowaliśmy ze środków własnych 16% naszego budżetu. W trzech kwartałach tego roku blisko 60%, co jednak przy braku wykonania zobowiązań państwa stawia Związek w dramatycznej sytuacji.

Specyfiką mniejszości ukraińskiej w Polsce jest jej rozrzucenie po kraju, co sprawia, że nieodzowne jest sponsorowanie przez Związek działalności blisko 30 ośrodków kultury ukraińskiej. Działalność ośrodków, a w szczególności: zajęcia z dziećmi i młodzieżą, nauka języka ukraińskiego, historii, często religii, spotkania środowiskowe, działalność zespołów artystycznych pozwalają integrować środowisko i zachować poczucie

własnej tożsamości narodowej i kulturalnej. Należy przypomnieć, że opierając się na bazie ośrodków prowadzi swą statutową działalność blisko 10 organizacji ukraińskich będących składową struktur Związku lub jego członkami wspierającymi.

Wstrzymanie działalności ośrodków kultury ukraińskiej lub ich likwidacja, a zaczęły powstawać w 1956 r., musiałoby doprowadzić w konsekwencji do zawieszenia prowadzonej w nich działalności kulturalnej i oświatowej Związku.

MICHAŁ JAGIELLO: To niewypełnienie zobowiązań Ministerstwa Kultury wobec Ukraińców jest pochodną sytuacji budżetowej i kontekst sytuacyjny jest taki, że Teatr Stary w Krakowie znalazł się na skraju upadłości.

JERZY REJT: Chciałbym już tylko zasygnalizować nasze oczekiwania dotyczące rozwiązywania wielu problemów ze sfery społeczno-politycznej: dotyczących likwidacji następstw akcji „Wiśła”, w tym spraw majątkowych, statusu Cerkwi grekokatolickiej, Cerkwi prawosławnej, ustawy mniejszościowej i zapisu konstytucyjnego, naszego udziału w parlamencie. Mieliliśmy nadzieję na większe współdziałanie komisji międzyresortowej z sejmową Komisją d.s. Mniejszości.

MIROSLAW CZECH: Wydaje mi się, że w całym problemie narodowościowym w okresie III Rzeczypospolitej doszło do konfliktu rozwiązań modelowych, które wydawały się proste do zrealizowania, bo wynikały z pewnych ogólnych założeń dotyczących ładu społeczno-politycznego, z praktyką. Problem narodowościowy w państwie polskim nie jest problemem dużego kalibru politycznego. Społeczności mniejszościowe stanowią 3–4% całej populacji. W przypadku Ukraińców jest to społeczność bardzo rozrzucona i o dużym stopniu asymilacji. Wśród Białorusinów, którzy mieszkają na Białostocczyźnie południowej czy wschodniej, z jednej strony występuje niedookreślenie świadomości narodowej, z drugiej zaś jest tam przewaga świadomości wyznaniowej i terytorialnej. Litwini i Słowacy są populacją bardzo małą, Czesi są reliktem historii Rzeczypospolitej, no i jest rzeczywiście wzrastający problem niemiecki. W publicystyce podziemnej problem narodowościowy był podej-

mowany zarówno w kontekście polskim jak i w kontekście stosunków z państwami ościennymi. Wydawało się, że wprowadzenie europejskich norm w zakresie stosunku do mniejszości narodowych będzie stosunkowo proste. Dotyczyło to także stosunkowo niewielkiej społeczności ukraińskiej w Polsce. Chodziło przecież o pomoc w działalności tych 40 amatorskich zespołów artystycznych, przy dobrej sytuacji finansowej państwa być może utworzenie zespołu zawodowego, wejście na antenę radia i telewizji, dotowanie pewnych przeglądów, festiwali kulturalnych, uruchomienie – tam gdzie jest to możliwe – szkół, punktów nauczania języka ukraińskiego, zagwarantowanie możliwości praktyk religijnych czy to w ramach Kościoła prawosławnego, czy katolickiego. Premier Mazowiecki powiedział w jednym ze swoich zagranicznych wystąpień, że nie ma w Polsce politycznego problemu ukraińskiego. Takie było również przeświadczenie samych Ukraińców – dawał temu wyraz m.in. poseł Mokry. Okazało się jednak, że w sferze praktyki mamy do czynienia z komplikacjami dwojakiego rodzaju. Pierwsze dotyczą przeszłości, a konkretnie akcji „Wisła”, drugie – zasady wzajemności w polityce i praktyce międzynarodowej. Sprawa akcji „Wisła”, która ma determinujące znaczenie dla sytuacji Ukraińców w Polsce, i sprawa likwidacji jej skutków mają swoją epopeję. Senat RP potępił akcję jako niehumanitarną, ale postulowana przez społeczność ukraińską likwidacja skutków prawnych i materialnych nie ruszyła dotąd z miejsca. Są pewne projekty, które jednak nie zadowolają w pełni społeczności ukraińskiej w Polsce. Drugi problem – relacje z republikami czy państwami emancypującymi się na Wschodzie. Został uruchomiony następujący mechanizm. Wiadomo, że Polacy na Ukrainie czy na Białorusi mają zupełnie inny punkt startowy niż Białorusini czy Ukraińcy w Polsce. Wobec niezagwarantowania Polakom na Ukrainie takich spraw, jak dotacje, wydawanie gazety itp., została uruchomiona swoista licytacja, że Polacy tego nie mają, a Ukraińcy to w Polsce mają. Zasada wzajemności, która ma działać w pozytywnym kierunku, zaczyna działać w sposób represyjny. Ujawniło się to w przypadku z jednej strony szkolnictwa, działalności kulturalnej, wydawniczej i dotacji Polaków na Ukrainie, z drugiej

strony – sytuacji konfesyjnej, majątku Cerkwi grekokatolickiej w Polsce i podkreślanego przez stronę ukraińską faktu przekazania Polakom 70 kościołów na Ukrainie. Doszło do tego, że każda ze stron przedstawia własne pretensje. Rozwój sytuacji w tym kierunku może prowadzić do stosowania wobec mniejszości zasady zakładnictwa. Będzie to w moim przekonaniu najgorszy kierunek rozwoju sytuacji międzypaństwowej i najgorszy wariant dla samych mniejszości.

MICHAŁ JAGIELLO: Zgadzam się absolutnie z ideą Pana wypowiedzi, natomiast chcę powiedzieć, że ani Ministerstwo Kultury, ani Międzyresortowa Komisja d.s. Polonii nie przyjęły metody parytetowej. Nie stosujemy w praktyce zasady zakładnictwa ani ilościowych rozliczeń. Oczywiście że tego typu myślenie pojawia się i na Ukrainie, i w Polsce, ale nie znajdzie Pan ani jednego przykładu z praktyki Ministerstwa Kultury, który świadczyłby, że np. fakt, iż strona ukraińska nie dotuje wydawania „Gazety Lwowskiej“, odbił się na obciążeniu dotacji dla „Zustriczi“ czy „Naszego Słowa“.

BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA: Myślę, że wypowiedzi p. Czecha i p. Ministra uzupełniają się wzajemnie. Polskie instytucje rządowe nie stosują zasady wzajemności, ale jest prawdą istnienie środowisk w tej chwili jeszcze politycznie marginalnych, których wypowiedzi świadczą, że najchętniej przyjęłyby one taką zasadę restrykcyjnej wzajemności. Przykładem może być środowisko „Głosu“.

Myślę również, że często zapominamy, iż sprawy narodowościowe wymagają bardzo dużej cierpliwości i czasu. Jeśli Pan, Panie Prezesie, mówi, że Ministerstwo Kultury nie wywiązuje się z obowiązku dotacji, to jest to oczywiście prawda. Ale nie wolno zapominać, że dzieje się to w sytuacji, gdy na nic nie ma pieniędzy, i trzeba zapytać, jak dotacje przeznaczone na pomoc dla mniejszości narodowych mają się do dotacji na inne towarzystwa regionalne, biblioteki itp.

MIROSLAW CZECH: Jest to rzeczywiście problem długofalowy i w mojej poprzedniej wypowiedzi starałem się uchwycić tę perspektywę. Ale skoro zeszliśmy już do konkretów, myślę, że

trzeba o nich porozmawiać. Jeżeli problem narodowościowy byłby jedynie problemem między określoną grupą obywateli a władzami państwa, można by go stosunkowo łatwo rozwiązać. Albo dana grupa obywateli ma taką siłę przebicia, że wymusi na rządzie pewne rozwiązania, albo jej nie ma. Jeżeli nie ma, musi szukać tych rozwiązań na własną rękę. Ale problem narodowościowy jest wkomponowany w politykę międzynarodową. Przyjmując całą argumentację odnoszącą się do sfery finansowej, że jest to kwestia trudności przeżywanych przez państwo, trzeba jednak pamiętać, że jeśli my zawiesimy naszą działalność kulturalną z powodu braku funduszy, to z tego zrobi się po prostu problem polityczny, międzynarodowy. Jest to więc problem nieco inny niż działalność towarzystw regionalnych. A przykładem wzajemnej polityki restrykcyjnej jest sprawa Lwowa i Przemyśla. W ubiegłym roku władze miejskie Lwowa i Przemyśla doszły do porozumienia, że we Lwowie zostanie oddany Polakom budynek na siedzibę Towarzystwa oraz kościół Św. Elżbiety, jeżeli Ukraińcom w Przemyśle zostanie oddana katedra grekokatolicka i budynek na siedzibę Towarzystwa. Żadna ze stron, pomimo podpisanej umowy, nie wywiązała się z tego. W konsekwencji doszło do skomplikowania stosunków politycznych, bo sprawy wyznaniowe, sprawy organizacji kościelnej są przecież sprawami politycznymi.

TOMASZ LIS: Przyznam się, że nie do końca wychwytyuję ten element, że konflikty narodowościowe stają się składnikiem polityki międzynarodowej. Na ile konflikty między Przemyślem a Lwowem (pominę już fakt, czy miejscowe władze miały prawo dysponować katedrą, która nie jest ich własnością) znajdują realne odbicie w stosunkach polsko-ukraińskich? Czy mamy przykłady na to, że relacje między Warszawą a Kijowem ucierpiały w ostatnich miesiącach na skutek konfliktu dotyczącego kościoła karmelitów w Przemyśle lub braku siedziby polskiego Towarzystwa we Lwowie?

MIROSŁAW CZECH: Do tego na szczęście nie doszło. Ale ta sprawa została włączona do stosunków ukraińsko-watykańskich i polsko-watykańskich.

JERZY REJT: Wróćmy jeszcze na moment do problemu finansów. Jest przecież jakiś poziom minimalny...

MICHAŁ JAGIELŁO: Nie ma takiego minimum. Jeżeli Teatr Stary zawiesza działalność, to o czym my mówimy. Nie ma żadnych wątpliwości, że stowarzyszenia mniejszościowe są dofinansowywane nieproporcjonalnie, jeśli odniesiemy je do stowarzyszeń polskich. Porównanie wydatków, które Ministerstwo Kultury ponosi na dofinansowywanie prasy mniejszościowej i polskiej, wykazuje dowodnie, że ta pierwsza jest uprzywilejowana. I tak być powinno! P. Berdychowska apelowała tylko o kontekst. Trzeba przecież uwzględniać także element psychologiczny. To Państwo sami musicie rozstrzygnąć, czy czasem wasz sukces, że właśnie teraz, w tej konkretnej sytuacji, uzyskacie wysoką dotację, nie będzie faktycznie pyrrusowym zwycięstwem. Czy takim działaniem nie zniszczymy czegoś, co zaczyna się wreszcie kształtować. Łatwo jest uruchomić w większości mechanizmy obronne, gdy większość poczuje się dyskryminowana. W sytuacji gdy padają polskie czasopisma, gdy musiałem podjąć decyzję o łączonych numerach „Dialogu“, „Odry“ itd., pełne dotowanie organizacji mniejszościowych może wywołać reakcje odwrotne od oczekiwanych.

JERZY REJT: Nie uciekniemy jednak od pewnych faktów. Są dwa elementy, bez których nasza mniejszość nie może funkcjonować: prasa i możliwość spotykania się, a więc ośrodki kultury ukraińskiej. Te elementy mam na myśli mówiąc o finansach. Zamykając z miesiąca na miesiąc ośrodki kultury ukraińskiej w całej Polsce skazujemy się na utratę tożsamości kulturowej i przyspieszoną asymilację.

MICHAŁ JAGIELŁO: Musicie Państwo przetrwać z całym państwem w sytuacji takiej, jaka jest. Być może będziecie Państwo musieli oddać część waszych pomieszczeń, tak jak rezygnujemy z części teatrów czy innych instytucji.

Interesowałoby mnie bardziej, jak wy wyobrażacie sobie waszą rolę, korzystając z przywileju dwujęzyczności, dwukulturowości, przynależenia w pewnym sensie do dwu organizmów: ukraińskiego z racji pochodzenia narodowościowego i polskiego z racji przebywania na terytorium Polski.

TOMASZ LIS: To ostatnie pytanie trochę zmieni kierunek naszej dyskusji, ale pozwolą Państwo, że wrócę jeszcze do tego, o czym już mówiliśmy. W całej tej rozmowie poruszamy się na takiej płaszczyźnie, jakby na jakiejś planecie w kosmosie nastąpiło spotkanie tylko Polaków i Ukraińców. Tymczasem akurat w tym momencie, w którym rozmawiamy, trzeba pamiętać o jeszcze paru innych sprawach. P. Czech zaczął swoją wypowiedź od wymienienia liczących się mniejszości narodowych w Polsce. Nie można mówić jedynie o stosunku społeczeństwa polskiego do Ukraińców, pomijając relacje z innymi mniejszościami. Poza tym wyrażane i tutaj, i w wielu innych miejscach nadzieje, że idziemy do tej wspaniałej, demokratycznej Europy, gdzie w ogóle nie ma problemów mniejszościowych. Chciałem przypomnieć, że rozmawiamy w dniach, kiedy Niemcy tłuką Wietnamczyków, Polaków i kogo się jeszcze da, Serbowie mordują się z Chorwatami, bardzo niepokojące sygnały dochodzą z Francji i Belgii. Wydaje mi się, że musimy pamiętać, iż te wszystkie wydarzenia oddziałują na psychikę i świadomość społeczeństwa. A generalne pytanie dotyczy właśnie stosunku społeczeństwa do mniejszości. Reszta jest już tego pochodną. Wydaje się, że warto się skupić na tej generalnej sprawie: relacja większości do mniejszości różnego typu i rodzaju.

JERZY REJT: Myślę, że jako Związek, jako środowisko ukraińskie podjęliśmy pewne inicjatywy dotyczące ułożenia zasad naszej obecności w społeczeństwie. Najnowszym przykładem jest oczywiście udział w wyborach parlamentarnych, wcześniej – udział w wyborach samorządowych. Wprowadziliśmy około 70 naszych reprezentantów do samorządów terytorialnych. Staramy się również uświadomić naszej społeczności, że włączając się w budowę nowej rzeczywistości w Polsce wykorzystujemy szansę obecności z nazwiskiem, z twarzą, jako Ukraińcy. Pytanie, czy ta nowa postawa obecności zostanie zaakceptowana przez całe środowisko? Takie wydarzenia, jak np. spór o kościół karmelitów mogą te pozytywne procesy hamować, wzmacniać odruch nieufności. Rodzi się pytanie, czy pewnym faktom w zakresie polityki narodowościowej nie można by zapobiegać, wyprzedzać je. Spór o kościół karmelitów

był, ale nie musiał być. Powinien istnieć jakiś element zabezpieczający przed takimi sytuacjami i ja bym tego oczekiwał od działających już zespołów, rządowego czy parlamentarnego. Musi być przecież adresat sygnałów pochodzących od środowisk mniejszościowych.

BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA: Myślę, że to, co p. Prezes powiedział, jest bardzo ważne i sprowadzając to do jednego zdania można zapytać, czy mniejszości narodowe są szansą, czy obciążeniem. To pytanie można skierować zarówno od samych mniejszości jak i do danego państwa. Myślę, że od pewnego czasu w rozmowach o sprawach narodowościowych panuje superoptymizm, a tymczasem praktyka życiowa wskazuje, że środowiska mniejszościowe przeżywają tę sytuację z lękiem, z poczuciem zagrożenia. Podobnie państwa często traktują mniejszości jako potencjalny element konfliktogenny, destabilizujący itd.

TOMASZ LIS: Pytanie: Jakiego państwa? Mamy przecież świetny przykład roli czy też funkcji diaspory ukraińskiej w Kanadzie. Jaka jest jej pozycja w tamtym społeczeństwie obywatelskim? Są więc i przykłady pozytywne. Chciałbym poza tym trochę skomplikować tę ocenę. Jeżeli sytuacja będzie się rozwijała w tym kierunku, o jakim wszyscy marzymy, tzn. większej demokracji i samorządności, obecny tu p. Minister i p. Dyrektor będą mieli coraz mniej do powiedzenia, będą mieli coraz mniejsze kompetencje. Wtedy nie wystarczy centralny ośrodek w Warszawie, który będzie odbierał niepokojące sygnały i reagował na nie, ponieważ będzie to sytuacja do uregulowania na szczeblu samorządowym czy różnego typu instytucji pozarządowych. Jeżeli znowu wracamy do sprawy nieszczęsnego kościoła karmelitów, wypada postawić pytanie, co robiły hierarchie obydwu Kościołów, które podobno kochały się i przyjaźniły od wielu lat. Czy władze państwowe mają być jedynym adresatem tego typu problemów?

JERZY REJT: Zgadzam się z Panem. Wydaje się jednak, że na przejściowym etapie budowania demokracji i mechanizmów porozumienia w Polsce nie można porównywać diaspory ukraińskiej w Kanadzie, USA i w innych krajach zachodnich z na-

szą sytuacją. Pamiętamy, że społeczność ukraińska w Polsce wskutek akcji „Wisła” została pozbawiona swej bazy materialnej i kulturowej tworzonej przez pokolenia i do dzisiaj odczuwa skutki stosowanej przez dziesięciolecia represyjnej polityki państwa w stosunku do niej.

Mówiliśmy, że mniejszości nie chciałyby się stać elementem gry zewnętrznej, ale w sensie przetargowym, bo przecież w pozytywnym znaczeniu takim elementem jesteśmy. W ciągu ostatnich dwóch lat zaprosiliśmy do Polski około 40 parlamentarzystów ukraińskich, pomagaliśmy im nawiązywać kontakty. Chcieliśmy pokazać Polsce liderów demokratycznej Ukrainy w tym czasie, kiedy temat państwa ukraińskiego był jeszcze w sferze marzeń. W Polsce odbyło się I światowe forum diaspory ukraińskiej. Chodzi więc o decyzję włączenia się w charakterze pomostu między sąsiadami, w bardzo ważnym okresie wypracowywania modelu stosunków między Polską a Ukrainą.

MICHAŁ JAGIELLO: Oczywiście że p. red. Czech ma swoją rację mówiąc, iż incydenty mogą działać niekorzystnie i przenosić się nawet na płaszczyznę stosunków międzypaństwowych. Ale przecież dlatego rozmawiamy w redakcji „Przeglądu Powszechnego”, a jednym z naszych gości jest redaktor naczelny „Zustriczi”, że zdajemy sobie sprawę, iż każde działanie, nawet w elitarnym kręgu, ma swój sens. Bo z kolei jeśli się zdarzy zmasowanie incydentów, to, co np. dzieje się aktualnie na Wileńszczyźnie, siłą rzeczy zaczyna ono oddziaływać na stosunki państwowe i staje się sprawą międzynarodową. Wydaje się więc, że każde przełamywanie stereotypów jest niezmiernie cenne. Prawdą jest jednak i to, co nam przypomniał p. Lis, że będzie coraz więcej ośrodków, które będą się np. wypowiadały na temat stosunków ukraińsko-polskich i u nas, i na Ukrainie. Bo nawet jeśli jest pewna wizja rządowa wzajemnych stosunków, to można ją realizować na szczeblu ministrów i wojewodów, i na tym koniec. Już tak istotne sprawy, jak relacje międzywyznaniowe, są całkowicie poza kompetencją rządu.

To, że incydenty typu blokady przemyskiego karmelu przenoszą się na wyższe piętro i są uogólniane, wypływa także z nierównomierności doświadczenia społeczno-politycznego przedstawicieli Polski i Ukrainy. My przyjmujemy już do wiado-

mości, że mogą się zdarzać sytuacje, iż papież i prymas o coś apelują, a wierni nie podporządkowują się temu. Ale będąc na Ukrainie spotkałem się z postawami co najmniej nieufności, bo jest to trudne do zrozumienia dla kogoś, kto dopiero teraz widzi tę kształtującą się demokrację. Wydaje mu się, że jeśli rząd czy prymas naprawdę nie chcieliby takiej sytuacji, to sprawa „byłaby rozwiązana” – wiadomo jak. Sądzę, że za rok już sprawa będzie wyrównana.

MIROSŁAW CZECH: Rozumiem, że w tej dyskusji odgrywam trochę rolę człowieka burzącego pozytywny obraz, ale chodziło mi właśnie o to, co powiedział p. Minister. Środowiska opowiadające się za dialogiem, za normalizacją stosunków polsko-ukraińskich nie odzwierciedlają w pełni nastrojów społecznych, a także – jak się wydaje – nie mają decydującego głosu. Mówiłem dużo o sprawie kościoła w Przemyślu, bo przebywając w kwietniu i maju na Ukrainie widziałem, jak walił się cały dotychczasowy dorobek przełamywania antagonizmów polsko-ukraińskich. Chodzi więc o to, by nie kumulowały się takie incydenty, bo zrobi się z tego duży problem.

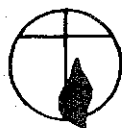
BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA: Chciałabym jednak podkreślić, że poza konfliktem przemysko-lwowskim nie było poważniejszych incydentów. Stosunki polsko-ukraińskie są najbardziej obiecujące w porównaniu z relacjami do innych naszych sąsiadów na Wschodzie. Jeżeli nie będzie innych incydentów tego typu, być może sprawa przemysko-lwowska nie wywrze istotnego wpływu na politykę ukraińską względem Polski, czego dowodem byłby fakt, że minister spraw zagranicznych Ukrainy Zlenko złożył swoją pierwszą zagraniczną wizytę w Polsce, a potwierdzeniem dzisiejsza wizyta premiera Fokina w Warszawie.

MIROSŁAW CZECH: Mniejszości narodowe, ukraińska w Polsce i polska na Ukrainie, mogą odegrać ważną rolę w rozwoju tych stosunków. Dobrym tego przykładem była wizyta p. min. Jagiełły na Ukrainie i fakt, że członkiem polskiej delegacji rządowej był także prezes Związku Ukraińców w Polsce. Związek ze swej strony zaprosił do Polski w czerwcu 1990 r. przedstawicieli mniejszości polskiej na Ukrainie. Problemy mamy podob-

ne chcieliśmy o nich porozmawiać, podzielić się doświadczeniami. Jako Związek chcemy być po prostu współtwórcami polskiej polityki narodowościowej szukając rozwiązań modelowych. Jest oczywiście problem przełamywania stereotypów w rozumieniu tych spraw przez ogół społeczeństwa. Dotyczy to dwóch społeczeństw, dwóch państw; mniejszości mogą w tym tylko pomagać.

MICHAŁ JAGIELLO: W naszej rozmowie dość dużo mówiliśmy o pieniądzach i jest w tym znak czasu, w którym żyjemy. Rozmowa o pieniądzach nie jest niczym wstydliwym, a jednak za każdym razem, gdy jestem zmuszony mówić o pomocy naszego państwa dla mniejszości żyjących w Polsce, czuję zażenowanie; przypominanie bywa bowiem czasem utożsamiane z wypominaniem. Liczę, że nasi goście – obywatele polscy narodowości ukraińskiej – wykażą zrozumienie dla konwencji tej rozmowy, prowadzonej nie tylko na prywatny użytek uczestników dyskusji.

„Przegląd Powszechny“ stara się być miejscem swoistego spotkania Polaków z Białorusinami, Litwinami, Ukraińcami... Będąc pismem polskim jesteśmy zarazem włączeni w katolicyzm. Staramy się też pamiętać o rodzinie chrześcijańskiej, do której należy nasz Kościół, a także o genezie chrześcijaństwa; nie jest przypadkiem częsta obecność na tych łamach tak tematyki biblijnej jak i wątków judaistycznych. Zdajemy sobie również sprawę z delikatności materii, którą próbujemy urabiać. Mniejszość – większość, narodowe – powszechne, indywidualne – zbiorowe; oto przykładowe opozycje nasycone różnorodną treścią. Rolą takich pism, jak „Przegląd Powszechny“ i „Zustrić“, jest poszukiwanie syntezy między opozycjami. W tytule naszego pisma jest nawiązanie do powszechności, w tytule waszego kwartalnika jest spotkanie – jest w tym coś z symbolu. A zatem: Dziękuję za spotkanie! Djakuju za zustrić!



Mychajło Horyń¹

Marzyliśmy o niepodległym państwie

(...) Zwieńczeniem powojennej myśli społeczno-politycznej jest Deklaracja Praw Człowieka ONZ. Jest to jeden z najświatlejszych dokumentów XX w. Jakie były projekcje tego dokumentu na Ukrainie? Zanim przejdę do odpowiedzi na to pytanie, chciałbym zwrócić uwagę na drugą połowę lat pięćdziesiątych. Ruch narodowo-wyzwoleńczy na Ukrainie, walki partyzanckie, ich masowy heroizm zostawiły w świadomości mojego pokolenia niezatarty ślad. W istocie rzeczy przez całe życie funkcjonowałem pod wpływem tamtych wydarzeń. Widziałem je, czytałem o nich. Ten heroizm był dla mnie rodziwy i bliski. Pod wpływem doświadczenia rozumiem dziś pewne słabości ideologiczne i praktyczne ówczesnego ruchu, jednak uważam, że był to ruch narodu ukraińskiego zmierzający do zbudowania własnego państwa.

Ten ruch zakończył się gdzieś w 1951 r., w 1952 r. wysłano do obozów „ostatnich Mohikanów“ spośród tych, którzy 10 lat z bronią w ręku walczyli przeciwko bolszewizmowi. A była to straszna walka. Poczynając od 1953–54 r. do obozów trafiała młodzież, która nie zdążyła wziąć udziału w walkach oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii. Młodzież ta wstępowała do instytutów i uniwersytetów, tam grupowała się w celu kontynuowania walki narodowowyzwoleńczej. To byli prawdziwi bohaterowie. Byli to fanatycy i wielcy romantycy, bo tylko tacy ludzie mogli pomyśleć, że w 1952 r. podziemna organizacja złożona z kilkudziesięciu osób może się przeciwstawić tej straszliwej sile, która tak umocniona wyszła z II wojny światowej. Jed-

nak dla Ukrainy nigdy nie brakowało nam romantyzmu. Zawsze potrafiliśmy umrzeć za ideę ukraińską. Mamy tysiące, setki tysięcy bohaterów, niestety bardzo mało mamy budowniczych. To w jakiejś mierze tłumaczy się naszym doświadczeniem historycznym.

Wspomniana młodzież szła pod sąd, dostawała po 15 lat. Kiedy w 1966 r. trafiłem do łagru, dowiedziałem się, że takich nielegalnych organizacji było na Ukrainie bardzo dużo. Moja żona – Ola Maceljuch – również była w takiej organizacji. W 1952 r. aresztowano ją i skazano na 25 lat obozu. Wszyscy ci młodzi ludzie znajdowali się pod wpływem ideologii i praktyki OUN. Niczego nowego nie stworzyli: organizowali się, pisali artykuły i ulotki, ale marzyli o tym, aby z bronią w ręku walczyć o niezależne państwo ukraińskie.

Za odblask, właśnie odblask, a nie dziedzica wydarzeń lat czterdziestych, uważam dwie lwowskie organizacje, które wykryto na początku lat sześćdziesiątych. Były to: Ukraiński Komitet Narodowy i grupa Łewka Łukianenki – Ukraiński Związek Robotniczo-Chłopski. Ukraiński Komitet Narodowy stawiał sobie za cel stworzenie państwa ukraińskiego na drodze walki zbrojnej. Składał się z kilkudziesięciu członków. Rozprawiono się z nim brutalnie: Kowala i jeszcze jednego rozstrzelano, Romana Hurnoho skazano najpierw na śmierć, a potem zamieniono karę na 15 lat więzienia².

¹ Mychajło Horyń ur. 20 VI 1930 w powiecie żydaczowskim (woj. lwowskie) w rodzinie chłopskiej. Ukończył Uniwersytet Lwowski. Wykształcenie pedagogiczne. Jeden z najbardziej aktywnych uczestników ukraińskiego odrodzenia narodowego w latach 60. (tzw. ruch szestydesiatnykiw). Aresztowany 26 VIII 1965. Skazany w 1966 na 6 lat obozu o zaostrożnym reżymie. Powtórnie aresztowany w 1982. Jeden z współtwórców Ukraińskiego Związku Helsińskiego, pierwszej organizacji opozycyjnej, która działała na Ukrainie od 1988 r. (organizacja ta przekształciła się w 1990 r. w Ukraińską Partię Republikańską). Inicjator powołania i przewodniczący Sekretariatu Ludowego Ruchu Ukrainy na Rzecz Przebudowy. Obecnie pierwszy wiceprzewodniczący ukraińskiego „Ruchu” i szef jego Rady Politycznej, deputowany Rady Najwyższej Ukrainy. Art. z „Zustriczi”, nr 2/1991.

² W 1962 odbył się proces 20 członków Lwowskiego Ukraińskiego Komitetu Narodowego. 4 spośród nich (Kowala, Hrycynę, Hurnego i Hnata) skazano na karę śmierci. Ostatecznie rozstrzelano Kowala i Hrycynę.

W skład organizacji Łewka Łukianenki, co stanowiło o jej swoistości, wchodzili zarówno Ukraińcy z Ukrainy naddnieprzańskiej jak i z Galicji. Sam Łukianenko³ w przeszłości należał do partii komunistycznej. Oczywiście, nie mając możliwości zapoznać się z inną literaturą, Łukianenko starał się transformować idee socjalizmu przekładając je na język walki narodowo-wyzwoleńczej. Dlatego też stworzył organizację pod nazwą Ukraiński Związek Robotniczo-Chłopski, która stawiała sobie za cel zbudowanie niezależnego państwa ukraińskiego, socjalistycznego państwa. Ten cel miano osiągnąć poprzez odwoływanie się do praw, które były zagwarantowane w konstytucji. Chodziło o napełnienie konstytucji rzeczywistą treścią. W 1961 r. ówczesne organizacje podziemne zakończyły swoje istnienie. Ich działalność w państwie totalnej inwigilacji nie mogła trwać długo i przynieść większych rezultatów.

Błędem byłoby sądzić, że tylko Galicja kontynuowała walkę przeciwko totalitarnemu reżymowi. Ta walka była obecna również na Ukrainie naddnieprzańskiej. Tam początkowo nie było organizacji ani nawet wyraźnych liderów. Ale oto przychodzą wydarzenia na Węgrzech i widzimy Ołeksę Tycheho⁴, który występuje z oświadczeniem potępiającym zgniecenie rewolucji węgierskiej. Tychyj wędruje do obozu. Ale nie był już sam. Był Jurko Łytwyn⁵ i jego koledzy. To wszystko byli ludzie, którzy uważali, że Ukraina jest w niewoli i coś trzeba robić. Zawsze intrygowało mnie, jak ci ludzie dochodzili do takich konstatacji, nie mając żadnej literatury, nie mając niczego. Później, kiedy poznałem Dziubę⁶, zapytałem go: *Powiedz mi, od kiedy zacząłeś myśleć, że istniejący reżym jest niesprawiedliwy?* Iwan odpowiedział, że ta świadomość pojawiła się u niego po raz pierwszy, kiedy był doktorantem: *Kiedy ukończyłem Instytut Pedagogiczny i zjawiłem się w Kijowie, zacząłem pisać rozprawę doktorską o Majakowskim. Ale jakoś wpadły mi w ręce „Listy z naddnieprza” Hrinchenki i te listy zaważyły na moim losie.* Okazuje się, że pociąg do prawdy i sprawiedliwości jest silniejszy od głodu i re-

presji. Nawet w najtrudniejszych warunkach znajdują się ludzie, którzy instynktownie odrzucają kłamstwo.

W 1961 r. zaczęła się odwilż. Stalinowskie represje tłamsiły wszystko. Wydawało się, że narodowi nie została nawet kropla krwi, że nie będzie z nim żadnych problemów. Kiedy po śmierci Stalina Chruszczow zaczął prowadzić łagodniejszą politykę, okazało się, że ludzie porażeni przez stalinowskie represje odżywają i pojawiają się z nimi problemy. (...)

W 1961 r. na powierzchnię wypłynęła grupa utalentowanych poetów. Wszyscy oni byli z Kijowa. Ich patriarchą był Iwan Switylczyj⁷, krytyk literacki, czło-

³ Lewko Łukianenko ur. 24 VIII 1927 w obwodzie czernihowskim. Z wykształcenia prawnik. W 1958 był jednym z organizatorów Ukraińskiego Związku Robotniczo-Chłopskiego. Aresztowany w 1961, został skazany na karę śmierci. Wyrok ten zmieniono na 15 lat więzienia. Członek-założyciel (9 XI 1976) Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. W 1978 powtórnie aresztowany i skazany na 10 lat więzienia i 5 lat zesłania. Jeden ze współtwórców i przewodniczący Ukraińskiego Związku Helsińskiego. Obecnie przewodniczący Ukraińskiej Partii Republikańskiej i deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy.

⁴ Ołeksia Tychyj ur. 27 I 1927 w obwodzie donieckim. Aresztowany po raz pierwszy w 1957 za manifestację przeciwko sowieckiej interwencji na Węgrzech, został skazany na 7 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Członek-założyciel Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Aresztowany powtórnie w 1977 i skazany na 10 lat więzienia i 5 lat zesłania. Zmarł w obozie w 1984.

⁵ Jurij Łytwyn ur. w 1934 w obwodzie kijowskim. Aresztowany po raz pierwszy w 1951 pod sfabrykowanym zarzutem kryminalnym. W 1955 uznano go za niewinnego. Aresztowany powtórnie w 1955 pod zarzutem organizowania grup antyradzieckich w obozie. Skazany na 10 lat więzienia. Aresztowany znów w 1974 za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji i skazany na 3 lata więzienia. Członek Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Po raz ostatni aresztowany w grudniu 1979, skazany na 3 lata obozu o zastrzonym reżymie, w kwietniu 1982 dodatkowo skazano go na 5 lat więzienia, w 1984 popełnił w obozie samobójstwo.

⁶ Iwan Dziuba ur. w 1931, krytyk literacki, redaktor czasopisma „Witczyzna”. Jeden z najbardziej aktywnych uczestników ruchu „szestydesiatników”. Jego książka *Internacjonalizm czy rusyfikacja* miała olbrzymie znaczenie dla całej powojennej opozycji ukraińskiej (Dziuba demaskował w niej politykę narodowościową partii komunistycznej).

⁷ Iwan Switylczyj ur. w 1929 w obwodzie ługańskim. W 1952 ukończył Uniwersytet Charkowski, wydział języka i literatury ukraińskiej. Pracownik Instytutu Językoznawstwa im. O. Potebni, poeta, krytyk literacki i tłumacz. Współpracownik pism: „Dnipro”, „Witczyzna” i „Radiańskie Literaturoznawstwo”. Za protesty przeciwko aresztowaniom 1965 został uwieczniony na 8 miesięcy. Aresztowany w 1972 został skazany na 7 lat obozu o zastrzonym reżymie i 5 lat zesłania.

wiek, wokół którego wszystko się wtedy kręciło. Switłyecznyj w pełni poświęcił się pracy na rzecz odrodzenia kultury ukraińskiej. Mieszkanie Switłyecznego w latach 1961–62 zawsze było pełne ludzi: gospodarz coś pisał na maszynie, ktoś spał pod stołem, wszędzie pełno książek. Jednopokojowe mieszkanie było ciągle do dyspozycji ludzi.

Ukraina zjeżdżała się do Switłyecznego, on sam był zaś liderem odrodzenia ukraińskiego. Iwan Dziuba z kolei znajdował czas, aby pisać artykuły, przygotowywać książki. Był ideologicznym przywódcą tego ruchu. Jednakże sprężyną organizacyjną, tym człowiekiem, który poświęcił się w całości wyszukiwaniu i grupowaniu wszystkich „pierwiosnków” odrodzenia ukraińskiego, jednym słowem człowiekiem, który tworzył struktury dysydenckie, był Iwan Switłyecznyj. I kiedy później Stus⁸ w jednym ze swoich wierszy mówi: *Iwanie, Iwanoczku*, to jest w tych słowach wielka miłość i uznanie nie tylko Stusa, ale wszystkich tych, którzy znali Switłyecznego.

I oto grupa kijowskich poetów: Dracz⁹, Winhranowskyj¹⁰, Iwan Dziuba, Iwan Switłyecznyj, do których przyłączył się Pawłyeczko¹¹ (ten ostatni zdążył już napisać kilka oficjalnych wierszy i będąc trochę z boku chciał wejść do tego środowiska), przyjechała do Lwowa. Była wiosna 1961 r., wtedy właśnie poznaliśmy się. Były wieczory w Związku Pisarzy, na uniwersytecie, występy Dracza, Winhranowskiego. Dracz czytał ten swój wiersz, który sprawił niezwykle wrażenie na Lwowie i który do dnia dzisiejszego nigdzie nie był drukowany:

*Gdzie my idziemy,
Jaka w nas wiara,
na kamieniu wyryta,
jakiej przemocy wytwór,
abyśmy z nim ginęli,
a to nie gwoździe,
nie blachy
i filozoficzne manowce*

*i syta morda kostuchy
z krwawym sztandarem w ręce.*

(tłumaczenie filologiczne)

To był rok 1961. Można sobie wyobrazić *syta mordę kostuchy z krwawym sztandarem w ręce*. Dracz miał wtedy tylko 25 lat. Wydaje mi się, że w kategorii wiersza politycznego tym utworem osiągnął wyżyny. Potem był jego wiersz „Bandura“, był Symonenko¹². I było jakieś wielkie zaufanie do ludzi. Kiedy panuje terror, ludzie nie ufają sobie, ale wystarczy, by świat troszkę znormalniał, by znormalniały również stosunki międzyludzkie. Terror wprowadza rozbrat między ludzi, doprowadza do alienacji. Pierwsze zaś demokratyczne działania jednoczą ludzi, budują zaufanie.

Na owym wieczorze siedziałem w drugim rzędzie, przede mną siedział Szmyhel'skyj, członek KPZU, poeta, który pisał radosne wiersze o komunistach. Jakoś

⁸ Wasyl Stus, jeden z najwybitniejszych poetów ukraińskich lat powojennych, ur. 8 I 1938 w obwodzie winnickim. Ukończył Doniecki Instytut Pedagogiczny. W 1964 został doktorantem Instytutu Literatury Akademii Nauk USRR, z którego wyrzucono go we wrześniu 1965. Brał udział w akcjach protestacyjnych wobec fali aresztowań wśród inteligencji ukraińskiej. W styczniu 1972 został aresztowany i skazany na 5 lat obozu o zaostrzonym reżymie i 3 lata zesłania. Za działalność w Ukraińskiej Grupie Helsińskiej został aresztowany po raz drugi i skazany na 10 lat więzienia i 5 lat zesłania. 4 IX 1985 Stus zmarł w obozie o zaostrzonym reżymie w Kuczino.

⁹ Iwan Dracz, jeden z najbardziej utalentowanych poetów ukraińskich lat powojennych. Sztandarowa postać ruchu „szestydesiatnykiw“. Ur. w 1936 w obwodzie kijowskim. Ukończył Uniwersytet Kijowski. Jego poczcie drukowały następujące pisma: „Zmina“, „Literaturna Gazieta“, „Witczyzna“ i in. Pierwszy tom jego poezji (*Soniasznyk*) został wydany w 1962. Jeden ze współtwórców i przewodniczący Ludowego Ruchu Ukrainy na Rzecz Przebudowy. Deputowany Ludowy do Rady Najwyższej Ukrainy.

¹⁰ Mykoła Winhranowskyj, jeden z ciekawszych poetów ukraińskich lat 60., ur. w 1963 w obwodzie mykołajewskim. Debiutował w 1958 r. w lwowskim piśmie „Żowteń“.

¹¹ Dmytro Pawlyczko, jeden z najbardziej popularnych ukraińskich poetów powojennych. Przez wiele lat redaktor naczelny czasopisma „Wseswit“ (ukraiński odpowiednik polskiej „Literatury na Świecie“). Współtwórca Towarzystwa Języka Ojczystego im. Tarasa Szczewcenki (luty 1989), współorganizator Ludowego Ruchu Ukrainy na Rzecz Przebudowy (wrzesień 1989), lider Demokratycznej Partii Ukrainy. Deputowany ludowy do Rady Najwyższej Ukrainy, przewodniczący jej Komisji Spraw Zagranicznych.

¹² Wasyl Symonenko, jeden z wybitniejszych ukraińskich poetów I poł. lat 60. Autor słynnego *Dziennika*, wydane go tylko na emigracji.

powiedział wtedy, że wszystko to jest krótkotrwałe, że poeci jeszcze trochę popiszą, a potem zniechęcą się. To mnie wzburzyło. Podniosłem rękę i zgłosiłem się do głosu. Wstawszy powiedziałem: *Niektórzy tutaj uważają, że poeci, którzy tutaj są obecni, bardzo szybko wejdą w rytm i będą wiernie służyć ideologii, ja zaś uważam, że jest to nowy potok naszej literatury, nowa karta naszej literatury, która nie zejdzie z areny. Minęło to, co było. Otwiera się nowa karta, która tym się różni od tego, co było, że mówi prawdę. To jest poezja prawdy, poezja sprawiedliwości.*

Z tych ludzi jeszcze nikogo nie znałem. Zaocznie znałem tylko Iwana Dziubę. W 1959 r., na dwa lata przed lwowskim spotkaniem, Dziuba drukował jeden mój artykuł w „Witczyźnie”, w której był odpowiedzialny za dział krytyki. Po wieczorze na uniwersytecie poznailiśmy się. Iwan Switłyecznyj, Dziuba, mój brat Bohdan i ja długo spacerowaliśmy i rozmawialiśmy o tym, jak będziemy działać, co będziemy robić. Pierwsze spotkanie i od razu konstatacja: Trzeba coś robić. Mówiłem wtedy, że jest doświadczenie naszego podziemia – można w ten sposób działać. Switłyecznyj uważał, że to niczego nam nie da, trzeba szukać innych dróg działania, trzeba próbować działać oficjalnie, bo takie działanie szybciej przyniesie rezultaty.

Bardzo dużo rozmawialiśmy wtedy z Dziubą. Wokół niego kręcili się tajniacy. Kiedy odprowadziliśmy go do hotelu, jeden z KGB-istów zapytał: *Jaki występ podobał się Panu najbardziej?* Dziuba odpowiedział: *Mychajło wystąpił bardzo dobrze.* Taka była jego pierwsza odpowiedź.

Nazajutrz, pamiętając słowa Switłyecznego, poszedłem do biblioteki Akademii Nauk. Zebrałem wszystkie materiały o ruchu narodnickim i narodnikach XIX w. Uważałem bowiem, że wybieramy drogę narodników. Sprawdziłem, jak długo istniały te organizacje. W którejś z książek przeczytałem, że było ponad 500 procesów narodników. Ich organizacje istniały nie dłużej (to była prawidłowość) niż dwa, trzy lata. Policzyłem, jest

rok 1961, dodałem trzy lata i pomyślałem: *Aha, w 1964 r. będą nas aresztować. KGB nie jest chyba inną instytucją niż trzeci wydział cara Aleksandra*. Ale to wszystko było jeszcze przed nami.

Charakterystyczne na początku lat sześćdziesiątych było to, że zaczęli się jednoczyć przedstawiciele różnych rodzajów sztuki. Do 1961 r. poeci nie znali malarzy, malarze nie znali poetów, kompozytorzy zaś nie spotykali się ani z jednym, ani z drugim. Były, oczywiście, jakieś przypadkowe spotkania, ale wspólnych zebrań z prawdziwego zdarzenia nie było. I raptem wszyscy odczuli potrzebę spotkania się i wspólnej rozmowy o ideach. Wyniknęła potrzeba kontaktów między naukowcami a pisarzami, dziennikarzami, kompozytorami, malarzami. Ostatecznie wyniknęła idea utworzenia Klubów Twórczej Młodzieży. Kluby te na początku były organizowane w Kijowie, potem we Lwowie, Dniepropietrowsku. Ich siłą napędową był znów Switłycznyj. Kluby te mogły istnieć dzięki poparciu Komsomołu. W KC Komsomołu kijowskiego ich zwolenniczką była dziewczyna imieniem Hala. Zresztą wszędzie kluby te powstawały pod egidą KC bądź obwodowych organizacji Komsomołu. Ci z Komsomołu wiedzieli zresztą doskonale, kto przychodzi do tych klubów. Bo chociaż patrząc z zewnątrz inicjatorem klubów był Komsomoł, to wobec opieszałości komsomolców w klubach główną rolę odgrywali dysydenci. Switłycznyj na polecenie KC Komsomołu rozjeżdżał się po Ukrainie sprawdzając, co robią kluby. Faktycznie zaś nawiązywał kontakty. Właśnie te kluby odegrały znaczącą rolę w konsolidacji przedstawicieli różnych dziedzin sztuki. We Lwowie zbieraliśmy się w Domu Aktora. Tam odbywały się nasze dyskusje. Urządzaliśmy różne wieczory, przede wszystkim poezji.

Ówczesny ruch miał dwa wielkie centra. W Kijowie byli Switłycznyj, Dziuba, Jewhen Swerstiuk¹³. Ten

¹³ Jewhen Swerstiuk, poeta, escista, krytyk literacki. Jeden z wybitniejszych przedstawicieli pokolenia „szestydesiatnykiw”. Aresztowany w 1972 i skazany na 12 lat obozu i zesłania, wyszedł na wolność w 1985. Przewodni-

ostatni zaistniał od razu jako niezwykle interesujący eseista. Kiedy jego esej „Kotlarewski się śmieje“ zaczął „chodzić po ludziach“, do Lwowa przyjechał Switłycznyj i powiedział do mnie: *Przeczytaj to*. Zapytałem go wtedy: *Co można napisać o Kotlarewskim, czego bym nie wiedział?* Iwan odpowiedział: *Wiesz, kiedy przeczytałem ten esej, poznałem zupełnie nowego Kotlarewskiego. Jewhen zobaczył tak Kotlarewskiego, jak nikt przed nim. Koniecznie przeczytaj*. To był duży esej, mniej więcej 17 stron na bardzo złym bibułkowym papierze, który utrudniał czytanie. Sam Swerstiuk nie brał udziału w naszych naradach organizacyjnych, ale dawał strażę duchową dla całej naszej dysydenckiej inteligencji.

Po Ukrainie „chodziło“ bardzo dużo wierszy rosyjskich. Nie mieliśmy ostro wyznaczonych granic: to jest rosyjska poezja demokratyczna, a to jest poezja ukraińska. I jedną, i drugą traktowaliśmy jako sposób przeciwstawienia się kłamliwemu i obłudnemu światu oficjalnemu. Czy mieliśmy jakąś ideologię? Myślę, że do pewnego momentu nie było to przedmiotem naszych refleksji. Dopiero gdzieś w 1963 r. Bohdan Horyń¹⁴, Dziuba i ja pojechaliśmy do Briuchowycz rozmawiać o tym, co może być podstawą naszego ruchu. Dziuba wtedy powiedział, że nie ma sensu budować naszego światopoglądu w oderwaniu od już istniejących koncepcji. Według niego powinniśmy budować nasz światopogląd na bazie już istniejących koncepcji krytykując ich słabości, ale zasadniczo był zwolennikiem zachowania marksistowskiego spojrzenia na rzeczywistość. Wtedy też Dziuba powiedział, że chce napisać rzecz o tym, jak wykrzywiono idee socjalizmu i marksizmu na Ukrainie. *Chcę napisać – powiedział – krytykę polityki narodowościowej partii na Ukrainie*. Dziuba uważał, że trzeba bazować na marksizmie-leninizmie. Nie wiem, jak Dziuba zareagowałby dzisiaj na ówczesne swoje poglądy. Osobiście miałem wrażenie, że marksizm-leninizm nie był dla niego wartością, że nie był jego autentycznym zwolennikiem. Kierowały nim po prostu przesłanki taktyczne. Zresztą nikt z ludzi, których zna-

łem: ani Czornowił¹⁵, ani mój brat, ani Hel¹⁶, ani Switłyecznyj czy Swerstiuk, nie byli marksistami. Ale otwarcie nigdyśmy sobie tego nie powiedzieli. Marksizm wykorzystywaliśmy, aby krytykować istniejącą rzeczywistość. Wychodząc z zasad marksizmu-leninizmu krytykowaliśmy działalność partii komunistycznej. Było to w jakiejś mierze obłudne. Niemniej syndrom niewolnika spowodował, że nie byliśmy w stanie jasno postawić sprawy i dlatego znaleźliśmy sobie taki wykręt: *Przeciwko Bogu nic nie mam, ale krytykuję to, co czynią święci*. Dlatego też nasze procesy sądowe zastały nas w dwuznacznej sytuacji.

W latach 1963–64 często bywał u nas, we Lwowie, Wiaczesław Czornowił, który pracował w kijowskiej

czący Ukraińskiego Stowarzyszenia Niezależnej Inteligencji Twórczej, wiceprzewodniczący ukraińskiego PEN-Clubu. Obecnie działacz religijny ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, redaktor pisma „Nasza Wiara”.

¹⁴ Bohdan Horyń ur. 10 II 1936 w województwie lwowskim. W 1959 ukończył Uniwersytet Lwowski. Od 1962 był pracownikiem naukowym Muzeum Lwowskiego Sztuki Ukraińskiej. Przed aresztowaniem pracował nad książką o historii sztuki zachodnioukraińskiej w latach 20–30. XX w. Aresztowany 26 VIII 1965 pod zarzutem działalności antyrządowej, został skazany na 4 lata więzienia (ostatecznie w obozie przebywał 3 lata). W 1988 jeden ze współzałożycieli Ukraińskiego Związku Helsińskiego. Brał aktywny udział w stworzeniu Ludowego Ruchu Ukrainy na Rzecz Przebudowy w 1989. Jeden z liderów Ukraińskiej Partii Republikańskiej. Obecnie deputowany ludowy do Rady Najwyższej Ukrainy.

¹⁵ Wiaczesław Czornowił, dziennikarz, publicysta, autor pierwszej książki o represjach wobec inteligencji ukraińskiej *Łycho z rozumu*. Ur. 24 XII 1937 w obwodzie czerkaskim na wschodniej Ukrainie. Ukończył wydział dziennikarstwa Uniwersytetu Kijowskiego w 1960. Początkowo pracował w redakcji pisma „Kijowskij komсомолец”, później w „Моłodий Гвардія” i lwowskiej telewizji. W 1965 bronił aresztowanych inteligentów ukraińskich. W 1967 został skazany na 3 lata więzienia za przygotowanie książki *Łycho z rozumu*. Dzięki amnestii został zwolniony w 1969. Ponownie aresztowany w styczniu 1972 i skazany za propagandę antyrządową na 6 lat obozu o zastrzyżonym reżymie i 3 lata zesłania. W kwietniu 1980 raz jeszcze aresztowany i skazany na 5 lat więzienia. Członek Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Jeden ze współtwórców Ukraińskiego Związku Helsińskiego, jeden z najbardziej znanych liderów ukraińskiego „Ruchu”. Obecnie deputowany ludowy do Rady Najwyższej Ukrainy, przewodniczący Lwowskiej Obwodowej Rady Deputowanych Ludowych.

¹⁶ Iwan Hel ur. 18 VII 1937 w województwie lwowskim. Aresztowany 24 VIII 1965 i skazany na 3 lata obozu o zastrzyżonym reżymie za propagandę antyrządową. W latach 80. działacz Inicjatywnej Grupy Obrony Praw Wierzących i Cerkwi. Obecnie wiceprzewodniczący Lwowskiej Obwodowej Rady Deputowanych Ludowych.

elektrowni. Czornowił ożenił się w 1963 r. z lwowianką Oleną Antoniów wchodząc do naszej lwowskiej grupy i stając się pomostem między Lwowem a Kijowem. Dzięki swojej energii bardzo wiele zrobił dla popularyzacji literatury niezależnej. W 1964 r. Czornowił przywiozł z Kijowa materiał pod nazwą „Drogi i zadania ukraińskiego ruchu wyzwolenczego“. Ze względu na to, że wtedy byliśmy ciągle śledzeni, aby przeczytać ten materiał i przedyskutować go, pojechaliśmy za Lwów, do miejscowości Krymczyci.

Materiał ten mówił o tym, że powinno być utworzone państwo ukraińskie, oczywiście, socjalistyczne. To była swoista mieszanina idei socjalistycznych z aspiracjami narodowymi. Dokument ten jednak w sposób zasadniczy różnił się od literatury, która wcześniej „chodziła“ po ludziach. Tego dokumentu nie rozpowszechnialiśmy w samwydawie, był on dostępny tylko dla niewielkiego kręgu wtajemniczonych.

W tym czasie wiele artykułów krążyło wśród ludzi. Prawdziwym wydarzeniem był artykuł o procesie Pohrużańskiego, którego oskarżono o podpalenie Centralnej Biblioteki w Kijowie. Artykuł ten zrobił naprawdę wielkie wrażenie. Krążył również artykuł pt. „Oświata ukraińska w szowinistycznym uścisku“. Artykuł ten pozbawił naszych ludzi złudzeń, że Związek Radziecki jest państwem demokracji. Pokazywał, że Związek Radziecki jest państwem imperialnym, państwem, które stawia sobie za cel zniszczenie narodu ukraińskiego i jego kultury.

W miarę jak ruch dysydencki krzepł, zaczęliśmy przechodzić od propagandy za pomocą poezji do propagandy za pomocą publicystyki. Mieliśmy trochę literatury z zagranicy, przychodziły pojedyncze książki, np. „Rodowód praw Ukrainy“, „W hołdzie uczonym ukraińskim, którzy zostali zamordowani przez bolszewicką Moskwę“, czasopisma: „Ukraiński samostijnik“, „Suczasnist“. Literatura, która przedzierała się z Zachodu na Ukrainę, przedstawiała nasze problemy w inny, niż byliśmy przyzwyczajeni, sposób.

W grudniu 1963 r. umarł Wasyl Symonenko. Trzeba było zorganizować jego pogrzeb. Na ten pogrzeb do Czerkasów pojechało około 15–20 ludzi ze Lwowa i Kijowa. Wśród nich byli przedstawiciele oficjalnych władz, ale był też Switłycznyj, Swerstiuk, Dziuba, ze Lwowa pojechałem tylko ja. Ten fakt również charakteryzował w jakiejś mierze naszą aktywność. Symonenko przed swoją śmiercią był w swojej poezji bardzo ostry i ludzie bali się oficjalnie z tą poezją utożsamiać. Opowiadano nam, że gdzieś w 1964 r. rektor kijowskiego Instytutu Artystycznego poszedł do zastępcy naczelnika KGB Ukrainy na rozmowę: *Słuchajcie, wśród studentów szerzy się taka to i taka literatura, trzeba coś zrobić*. Na to zastępca naczelnika KGB odpowiedział: *To nic, niech trawka rośnie, już wkrótce będziemy ją kosić*. O tym wiedzieliśmy jeszcze przed naszym aresztowaniem.

Pochowaliśmy Symonenkę, od jego matki wzięliśmy jego dziennik, wiersze i przerzuciliśmy zagranicę. Wydrukowano to gdzieś na wiosnę 1964 r. Mniej więcej 5–6 miesięcy później matka Symonenki wydrukowała (tzn. „pomogli” jej wydrukować) w „Litwraturnej Ukrainie” artykuł, którego treść sprowadzała się do tego, że na pogrzeb jej syna przyjechali ludzie z Kijowa i ze Lwowa, zabrali wiersze i dziennik, a ona nie dawała nikomu pozwolenia na druk tych rzeczy. Zostały one wydrukowane bez jej zgody.

Po kilku tygodniach przyjechał do Lwowa Iwan Dracz i podczas spotkania powiedział dosłownie tak: *Mam informację o tym, że za kilka tygodni zaczną się aresztowania. Bądźcie przygotowani*. To był środek 1964 r. *No – pomyślałem wtedy – dokładnie tak jak narodnicy*. Powiedziałem już wcześniej chłopcom, że dłużej niż 3 lata nie wytrzymamy, ale wtedy był jeszcze Chruszczow i do aresztowań nie doszło.

Jest cała masa szczegółów, które być może nie mają większego znaczenia z politycznego punktu widzenia, ale dobrze charakteryzują atmosferę, w której przyszło nam działać.

Jest rok 1964. Trwają obchody szewczenkowskie. W Czerkasach jest wielka impreza, zjeżdżają się na nią ludzie z całej Ukrainy. Zdecydowaliśmy, że wyślemy do Czerkasów sporo literatury, ulotki, m.in. artykuł o procesie Pohrużalskiego, dalej „Oświata ukraińska w szowinistycznym uścisku“, „Co to jest imperializm?“ i inne. Zebraliśmy dwie walizki artykułów. Kto jedzie? *Ja* – powiedziałem – *sam pojadę*. W obwodowym Komitecie Komsomołu był taki Wołodia Kwitnewyj – teraz jest pisarzem. Wtedy był drugim sekretarzem i udawał, że absolutnie nic nie wie o tym, co robimy. Był bardzo chytry, bardzo nam pomagał. Zamówilem u niego autobus. Pojechało 40 osób. I właśnie wtedy, kiedy trzeba było jechać, wieczorem 28 maja (wyjeżdżali 29 maja) moją żonę zabrali na porodówkę (urodziła wtedy naszą córkę, Oksanę). Nikogo nie ma, zostawić żony na 3 dni nie mogę – przecież nawet wody nikt jej nie przyniesie. Trzeba znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Spotkałem się wtedy z Myroslawą Zwaryczewską¹⁷ (pracowała w „Lenińskiej Mołodi“) i mówię: *Myroslawo, nie mogę jechać, bo Ola jest w szpitalu, weź walizki i jedź zamiast mnie. Mam zarezerwowane miejsce w autobusie*. Autobus wyjechał z miasta, za Lwowem zatrzymało go 5 samochodów KGB, szukają, kto jedzie. *A gdzie Horyń?* Horynia nie ma. Horyń nie pojechał. Myroslawa, kiedy zobaczyła wchodzących KGB-istów, przesunęła walizki z materiałami obok Romana Iwanyczuka. Walizek nie znaleźli, szczęśliwie dojechały do Kijowa i tam rządził już nimi Switłycznyj. Wychodzi na to, że KGB-iści kontrolowali autobus po to, by sprawdzić, kto jedzie. Mnie nie zobaczyli, a przecież wiedzieli, że mam jechać i co mam przewozić. A tu raptem mnie nie ma. I tu zadziałało następujące rozumowanie: nie ma go, to i nie ma walizek. Zobaczyli wtedy tylko Iwana Heła, więc „zdzjęli“ go z autobusu, wsadzili do samochodu i odwieźli do lwowskiego KGB. Przetrzymali go tam kilka godzin i kiedy nic u niego nie znaleźli – wypuścili. Reszta naszych pojechała bez przeszkód. Później Jew-

hen Swerstiuk opowiadał bardzo ciekawą historię o spotkaniu w Czerkasach z Petrem Krawczukiem. Poznają się. *Petro Krawczuk, redaktor gazety „Za synim okeanom” – A – mówi Jewhen – znaczy redaktor tej gazety, która jest wydawana za pieniądze KGB? Proszę sobie wyobrazić, jest 1964 r., wokół stoi masa ludzi...*

Stwarzaliśmy wrażenie, że absolutnie nie zajmujemy się nielegalną działalnością, że wszystko to, co robimy, mieści się w granicach prawa i nic przed nikim nie ukrywamy. W rzeczywistości tak nie było. Nasza działalność była podobna do góry lodowej tzn. dwie trzecie pod wodą, a jedna trzecia na powierzchni. Taka taktyka, w rzeczywistości totalnej inwigilacji, dawała rezultaty. Nie mieliśmy przecież żadnego doświadczenia w konspiracji. Było bardzo ciężko, ponieważ występując przed ludźmi byliśmy łatwym celem dla operacji KGB, które bardzo dobrze wiedziało, kogo ma śledzić. Gdzieś poczynając od 1964 r. KGB zaczęło nas demonstracyjnie śledzić.

Przyjeżdżała do nas pewna kobieta – to była pierwsza jaskółka z Zachodu. Bardzo szkoda, że nie znam jej nazwiska. W 1965 r. chciała się ze mną spotkać. Przyszedłem do domu – pod oknem stoi tajniak. Brat żony – Sławko – otwiera okno i macha na niego ręką, by się zabierał. On się śmieje i stoi nadal. Ta kobieta, kiedy podchodziła do mojego domu, zauważyła, że ktoś stoi pod domem i ostatecznie nie weszła; w ten sposób nie doszło do naszego spotkania. Kiedy później wsadzili mnie do więzienia, zapytałem: *Odkąd to zajmujecie się demonstracyjnym śledzeniem ludzi?* Był taki major Hałskij (napisał „Światojursku horu”), naczelnik wydziału operacyjnego KGB. I właśnie on odpowiedział na to: *Chcieliśmy panu pokazać, że pana śledzimy, aby nie doszło do pana spotkania z tamtą kobietą.* Ten

¹⁷ Myroslawa Zwaryczewska ur. 28 XII 1936 w województwie tarnopolskim. Ukończyła wydział filologiczny Uniwersytetu Lwowskiego. Aresztowana 24 VIII 1965 pod zarzutem propagandy antyradzieckiej i skazana na 8 miesięcy więzienia.

sposób inwigilacji był równoznaczny z tym, że będą wzywać do KGB.

W październiku 1964 r. do władzy doszedł Breżniew. Po dziesięciu miesiącach od tego momentu, w sierpniu 1965 r., zaczęto nas aresztować. Sytuacja skłaniała do tego, aby dookreślić się ideowo i powiedzieć o tym ludziom. Przygotowaliśmy dokument „Drogi i zadania ukraińskiego ruchu wyzwolenieckiego”. To miała być podwalina naszego światopoglądu, ale z tego nic nie wyszło. Niestety, nie udało się nam spotkać i przygotować ostatecznej wersji tego dokumentu. Kiedy w 1965 r. straszliwie zmęczony zdecydowałem się pojechać z żoną na dwa tygodnie nad morze, to już do Lwowa nie udało mi się powrócić. W drodze powrotnej zostałem aresztowany. 26 sierpnia w Krasnomu „zdzjęli” nas z żoną z pociągu i powieźli bezpośrednio do więzienia. Podczas śledztwa wyjaśniło się, że KGB-iści uważali, że na Krymie była konferencja, która miała te „drogi i zadania” przetworzyć w program (dokument ten znaleźli u Iwana Hela).

A do mojego spotkania na Krymie z Draczem (był wtedy w Kokteblu), Pawłyczką i Iwanyczukiem doszło zupełnie przypadkowo. Geneza tego spotkania była prosta. W Feodozji, gdzie odpoczywaliśmy z żoną, pogoda była wietrzna i ktoś nam powiedział, że w Kokteblu (to jest mniej więcej 30 km od Feodozji) jest ogólnozwiązkowy budynek twórczości i tam zawsze jest zacisznie, bo góry zasłaniają go od wiatru. Zdecydowaliśmy się z żoną kilka razy pojechać do Kokteblu, aby się wykapać. Zawsze z nami jechał pewien człowiek: wiek około 35 lat, wysoki, smukły z plecakiem. Kiedy szliśmy na górę Kardach, zauważyłem, że ten sam człowiek idzie za nami, czasami niemal obok. Wtedy powiedziałem do Dmytra Pawłyczki: *Dmytro, ja tego człowieka widziałem już kilka razy, to, chyba, KGB-ista.* Pawłyczko na to: *Chyba masz manię prześladowczą. Jaki KGB-ista?* Obeszliśmy górę, wracamy. Schodzimy z góry, przed nami zagajnik, a pod krzakami leży ten

sam człowiek, z jego plecaka sterczy antena. Wtedy powiedziałem: *Dmytrze, czyż Tobie nie mówiłem?* Wtedy już bardzo uważnie nas śledzono. Zgodnie, zresztą, z KGB-istowską zasadą: przez ostatni miesiąc przed aresztowaniem KGB nie zaprzestaje obserwacji nawet na godzinę, ponieważ są zbierane materiały do śledztwa.

Wtedy aresztowano nas sporo. Część zwolniono po upływie dwóch – trzech dni. W więzieniu, według mnie, pozostało 28 lub 30 ludzi, później skazali 25 z nas. W czasie śledztwa, w obliczu wielkiej liczby faktów, przyjąłem następującą strategię obrony: nie jestem i nie byłem przeciwko Związkowi Radzieckiemu, działałem zgodnie z prawem. KGB starało się udowodnić, że jesteśmy elementami antyradzieckimi. Nasza postawa nie była konstruktywna, nie była dobra. W czasie procesu było dużo wszelkich pomyłek. Potem, kiedy nas aresztowano po raz drugi, zobaczyłem, jak wolno czuje się człowiek, kiedy jasno mówi: Tak, walczę z wami i będę walczyć, ponieważ jesteście złoczyńcami. Wtedy stajesz na swoim miejscu i nie potrzebujesz żadnych usprawiedliwień. Ale pierwszy etap naszej działalności nie był taki. Nasza polityczna dwuznaczność była w jakiejś mierze podyktowana nie tyle poziomem naszej świadomości, ile taktyką. Nie byliśmy jeszcze przygotowani na to, by w pełni odpowiadać za swoje działanie.

Część z aresztowanych trafiła do łagrów, części udało się pozostać na wolności (był to dopiero początek panowania Breżniewa i co za tym idzie początek terroru). Switylczynj przesiedział 10 miesięcy w kijowskim więzieniu, ale nie miał procesu. Do jego procesu nie doszło dzięki liberalizmowi generał-pułkownika Nikitczenki, naczelnika KGB Ukrainy, który przed rozprawą jeździł do uwięzionych i rozmawiał z nimi. Najcięższym wyrokiem na Ukrainie było 6 lat, proszę sobie wyobrazić, że nikt z nas nie otrzymał maksymalnego wyroku z art. 62: 7 lat więzienia plus 5 lat zesłania, dosłownie nikt.

Wtedy na Ukrainie 6 lat dostałem ja i Teodozjij Masliuk, 5 lat Panas Załywacha¹⁸, 4 lata Walentyn Moroz¹⁹, 3 lata Bohdan Horyń i Iwan Hel; 2 lata Mychajło Osadczyj²⁰ i 1 rok Myrośława Zwaryczewska. To rzeczywiście był najbardziej liberalny wyrok. Już po kilku latach daliby za to samo 12 lat, nie przejmując się niczym. Myrośława Zwaryczewska dostała ten swój rok za to, że usiłowała przemycić całą walizkę z literaturą na studencki obóz w Karpatach. Za taką walizkę literatury w 1972 r. dawali 12 lat.

Ruch szestydesiatnykiw – to był jeden wielki entuzjazm. Padaliśmy ze zmęczenia z nóg. To była robota przez 18 godzin na dobę.

Ja sam pracowałem w pracowni psychologicznej, dodatkowo organizowałem laboratorium na lwowskiej kolei. Mój dzień wyglądał tak: do czwartej godziny pracowałem w mojej pracowni, od czwartej do siódmej przeprowadzałem na kolei badania psychologiczne maszynistów, o siódmej szedłem do Akademii Nauk, aby popracować nad pracą doktorską i przygotować się do egzaminów doktoranckich. Około jedenastej w nocy szedłem do domu i do pierwszej – drugiej nad ranem przyjmowałem ludzi, rozdziałałem zadania, przyjmowałem literaturę. Kiedy dzisiaj mówią: Dajcie nam komputer, dajcie kserokopiarkę, dajcie to i to, bo nic nie możemy zrobić, wtedy tak sobie myślę: *Boże, czyż problem polega rzeczywiście na technice? Czy wszystko można nią załatwić? To przecież ludzie pracują!* Nasze dziewczęta pisały na pięciu maszynach na dwie zmiany, a kilkudziesięciu ludzi dodatkowo ręcznie przepisywało materiały. Fakt – było nam bardzo ciężko. Nie było na czym pisać, byliśmy biedni, maszyna do pisania była marzeniem. Każdy z nas „opodatkowywał” nawet własną żonę. Pamiętam, jak to było. Otrzymywaliśmy pensję, żona miała 70 rubli, ja 140. Jest rodzina. Ale każdego miesiąca mówiłem do swojej żony, Oli, że potrzebne jest 20 rubli na maszynę do pisania i papier. Co miesiąc tak zbieraliśmy i w końcu naskładaliśmy 105

rubli i kupowaliśmy maszynę do pisania. Potem kupowaliśmy kilkadziesiąt kilogramów papieru. W ten sposób przed moim aresztowaniem mieliśmy już 5 maszyn do pisania, na których 5 dziewcząt przepisywało te materiały. Faktem jest i to, że na masową propagandę nie było nas stać. Na wieś te materiały przenikały bardzo rzadko, choć staraliśmy się dotrzeć i do wsi. Organizowaliśmy u siebie we Lwowie zjazdy. Inteligencja bardzo się interesowała ruchem. Np. taka historia: wieczór, urodziny jakiegoś tam docenta, z jakiegoś instytutu. Za stołem siedzą ludzie, a tu przychodzi ktoś, na przykład ja, i robi przegląd wydarzeń i literatury, którą mamy, zostawia kilka egzemplarzy tej literatury, żegna się i wychodzi. Kto miał więcej odwagi, to przychodził do klubu dyskusyjnego, ale to nie było wielkie grono ludzi.

Jakie było to odrodzenie lat sześćdziesiątych? Przede wszystkim był to ruch literacki i inteligencki. Jego

¹⁸ Panas Załywacha, jeden z bardziej znanych malarzy ukraińskich lat powojennych, ur. 26 XI 1925 r. w obwodzie charkowskim na wschodniej Ukrainie. Dzieciństwo i młodość spędził poza Ukrainą (Daleki Wschód, Leningrad). Ukończył Leningradzką Akademię Sztuk Pięknych. W 1957 przyjechał na praktykę do Kosowa w obwodzie iwanofrankowskim, gdzie po raz pierwszy miał okazję zapoznać się z kulturą ukraińską; był to przełomowy moment w jego biografii. W grudniu 1961 Załywacha przyjechał na stałe na Ukrainę, zamieszkał w Iwano-Frankowsku (Stanisławowie). Tam też w 1962 miał swoją pierwszą autorską wystawę na Ukrainie (wystawę po kilku dniach zamknięto na życzenie Obwodowego Komitetu Partii), pretekstem był dekadenccki charakter prac Załywachy). Był jednym z autorów witrażu szewczenkowskiego w Uniwersytecie Kijowskim, który zniszczono na polecenie Obwodowego Komitetu Partii w Kijowie. Aresztowany pod koniec sierpnia 1965 pod zarzutem propagandy antyradyckiej, zostaje skazany na 5 lat obozu o zastrzonym reżymie.

¹⁹ Walentyn Moroz, historyk, dziennikarz, ur. 15 IV 1936 w województwie wołyńskim. Ukończył Uniwersytet Lwowski. Pracownik naukowy Instytutu Pedagogicznego w Iwano-Frankowsku. Aresztowany w sierpniu 1965 pod zarzutem propagandy antyradyckiej, został skazany na 5 lat obozu o zastrzonym reżymie. Obecnie na emigracji.

²⁰ Mychajło Osadczyj, poeta, krytyk literacki, ur. 22 III 1936 w obwodzie sumskim na wschodniej Ukrainie. Ukończył wydział dziennikarstwa Uniwersytetu Lwowskiego. Pracował początkowo w lwowskiej telewizji, a od grudnia 1960 był pracownikiem naukowym Uniwersytetu Lwowskiego. Aresztowany w sierpniu 1965 pod zarzutem propagandy antyradyckiej, został skazany na 2 lata obozu o zastrzonym reżymie.

dźwignią byli pisarze i studenci. Inteligencja techniczna raczej trzymała się z boku. Sympatycy tego ruchu byli również wśród robotników, ale nigdy nie był to ruch masowy. Z rąk do rąk przekazywano sobie przede wszystkim poezję, bo w poezji i w sztuce uchroniła się, w niewielkiej zresztą mierze, wolna myśl. W środowisku inteligencji twórczej wrzało, ale na ulicach i w zakładach wszystko było stłamszone.

Jeżeli pierwsza połowa naszej działalności była „poetycka“, to druga połowa była „publicystyczna“. Przejście od poezji do publicystyki było widoczne od 1964 r. uważam, że gdyby nie przerwano naszej działalności, to już w 1965 r. bardzo szybko zaczęlibyśmy nadawać naszemu ruchowi formy organizacyjne.

Nie wiem, co prawda, w co przekształciłby się nasz ruch, bo przecież do 1965 r. nie zdołaliśmy nadać mu form organizacyjnych i nie zdążyliśmy dookreślić się ideowo. Nie mogę mówić za wszystkich, ale myślę, że w naszym otoczeniu nie było ani jednego marksisty, który wierzyłby w marksizm-leninizm. Gdyby każdego z nas zapytano wtedy o to, na gruncie jakich idei stoi, ostateczna odpowiedź brzmiałaby, że na gruncie idei narodowo-ukraińskiej. Polityczne oblicze szesnastki nie było dostatecznie rozwinięte. Nie stworzyliśmy żadnego dokumentu, w którym przedstawilibyśmy swoje credo polityczne, koncepcję swojego ruchu. Tę koncepcję, w jakiejś mierze, próbował stworzyć Iwan Dziuba pisząc „Internacjonalizm czy rusyfikacja?“ Ale w istocie rzeczy była to krytyka polityki narodowościowej partii bolszewickiej na Ukrainie, nie zaś konstruktywny program polityczny. Wszystko zatrzymało się na poziomie publicystycznej krytyki tego, co jest. Mianem konstruktywnego określiłbym tylko dokument „Drogi i zadania ukraińskiego ruchu wyzwolenczego“. Być może były również inne dokumenty tego typu, ale ich sobie nie przypominam. (...)

Nie utworzyliśmy wyraźnych struktur politycznych, ale idea państwowości zawsze nam towarzyszyła. Dla-

tę uważam, że walka narodowowyzwoleńcza nie była przerwana: najpierw z partyzantki wojennej przetrwała się w podziemne organizacje lat pięćdziesiątych, a później została podchwycona przez grupy dysydenckie lat sześćdziesiątych.

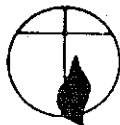
Ruch szestydesiatnykiw był ukraińskim odrodzeniem narodowym wyrastającym z poezji i częściowo z publicystyki. To był również wielki entuzjazm, lecz jego zasięg był znacznie mniejszy niż obecnie.

thum. Bogumiła Berdychowska

Notre rêve c'était un Etat indépendant

Mychajło Horyń, poète et publiciste ukrainien, retrace dans cet article (que nous reproduisons en traduction d'après le trimestriel „Zustri-czi“) l'histoire et l'activité du mouvement dissident ukrainien des années 1960, dont il fut un membre actif. Il affirme notamment que c'était un mouvement littéraire et intellec-

tuel élitiste, sans structures politiques précises, axé sur l'idée d'un Etat ukrainien, critique à l'égard de la politique ethnique du parti bolchévique en Ukraine, mais sans un programme politique positif. Il fut coupé court à son existence en 1964, par des arrestations en série.



O politykę dobrych sąsiadów

Z Mychajłą Kosiwem, pisarzem ukraińskim,
zastępcą wojewody lwowskiego
oraz deputowanym do Rady Najwyższej Ukrainy,
rozmawia Krzysztof Renik

– Jesteśmy teraz świadkami czasów, w których od systemu totalitarnego przechodzimy do demokracji. W naszym społeczeństwie została już przełamana pewna bariera i dzięki temu niemal lawinowo zaczynają powstawać nowe ugrupowania i partie polityczne.

– *W krajach postkomunistycznych obserwuje się jednak pewną niechęć do tworzenia partii, wstępowania do partii. Partyjność została zdyskredytowana w czasach komunizmu. Czy na Ukrainie jest inaczej?*

– Ludzie rzeczywiście nie chcą się organizować w jakieś wielkie i jednorodne ugrupowania polityczne. Pragną raczej tworzyć małe partie i organizacje uważając, że to, co mają do zaproponowania, jest krajowi najbardziej potrzebne. Jak dotąd, w czasach komunizmu, najliczniejsza była oczywiście partia komunistyczna. Liczyła ona do 3 mln członków. Wszakże w sierpniu 1991 r. Rada Najwyższa Ukrainy początkowo zawiesiła działalność tej partii, a następnie, w końcu sierpnia, działalność tej partii na Ukrainie została decyzją naszej Rady Najwyższej zabroniona.

– *Zakaz działalności partii politycznej to jakby niezupełnie demokratyczne posunięcie.*

– Proszę Pana, zasadą działalności każdej partii politycznej jest oczywiście walka o zdobycie i utrzymanie władzy. Jednak w każdej demokratycznej konstytucji znajduje się także zapis, że musi się to odbywać środkami parlamentarnymi i zgodnymi z konstytucją. Komuniści na Ukrainie w czasie antykonstytu-

cyjnego przewrotu 19-22 VIII 1991 r., który miał miejsce w Moskwie, włączyli się do działań nielegalnych, przeciwnych obowiązującemu prawu. Gdy idzie o Ukrainę, to komuniści tutejsi ogłosili, iż mają obowiązywać jedynie zarządzenia tego niekonstytucyjnego komitetu, co było niezgodne z prawami już wówczas obowiązującymi na Ukrainie. Właśnie przez taką postawę i takie posunięcia partia komunistyczna na Ukrainie postawiła się poza prawem, co w konsekwencji doprowadziło do wydania przez Radę Najwyższą Ukrainy zakazu jej działalności w naszym państwie.

– *Jak po delegalizacji partii komunistycznej wygląda polityczna mapa Ukrainy?*

– Jak już wspomniałem, partie, które tworzą się u nas obecnie, nie są specjalnie liczne. Tutaj zgadzam się z tym, co Pan wcześniej powiedział. Ludzie rzeczywiście odnoszą się niechętnie do wszelkiej partyjności. Bycie partyjnym oznaczało przecież jeszcze nie tak dawno coś jednoznacznie negatywnego. Oznaczało po prostu bycie komunistą, było jednoznaczne z przynależeniem do partii komunistycznej, z chęcią robienia kariery za wszelką cenę, z dbaniem wyłącznie o swoje prywatne interesy. Tak więc także na Ukrainie pojęcie partyjności zdewaluowało się.

Największą i – jak sądzę – najważniejszą siłą obecnie jest u nas ukraińska Partia Republikańska. Liczy ona mniej więcej ponad 10 tys. członków. Reprezentowane są w tej partii różne grupy społeczne. Jest w niej inteligencja, są robotnicy i chłopci, są także dawni dysydenci i więźniowie polityczni. To właśnie w szeregach tej partii jest m.in. wielokrotny więzień polityczny Lewko Łukjanienko, jest także Mychajło Horyń...

Ponadto powstała także ostatnio Demokratyczna Partia Ukrainy, oprócz niej zorganizowała się Demokratyczna Partia Odrodzenia Ukrainy. Obie te partie dążą – jak się wydaje – do zjednoczenia i już dzisiaj wspólnie formułują programy polityczne. Szeregi Demokratycznej Partii Ukrainy tworzy głównie inteligencja, w dużej części inteligencja, która wyszła z dawnej partii komunistycznej. Są w tej partii także ludzie, którzy przedtem nie należeli do żadnych ugrupowań politycznych.

Z bardziej znanych postaci można tu wymienić Dmytra Pawłyckę czy Iwana Dracza.

Kolejne poważnie działające ugrupowanie to Ukraińska Chłopsko-Demokratyczna Partia. Jest to w zasadzie partia chłopska, z tym że w jej szeregach tak naprawdę mało jest rzeczywistych chłopów, to znaczy mało jest w niej ludzi pracujących na roli. Jej członkami są raczej przedstawiciele wiejskiej administracji, by nie powiedzieć wiejskiego aparatu. Ale myślę, że partia ta ma wielki wpływ na społeczność wiejską Ukrainy.

Oprócz tych, najważniejszych w moim przekonaniu, partii są jeszcze socjaldemokraci, są chrześcijańscy demokraci, choć ci ostatni nie mogą się poszczycić dużą liczbą członków. To jest dość zaskakujące, bowiem właśnie idee chrześcijańskiej demokracji wydają się u nas najbardziej popularne. Społeczeństwo nasze ma już tak bardzo dosyć wszelkiego totalitaryzmu, że właśnie idee chrześcijańskiej demokracji zdobywają sobie największą popularność. Poza tym jest jeszcze wiele partii o bardzo już niewielkiej liczbie członków. Mam tu na myśli takie choćby ugrupowania, jak Partia Liberalna czy Ukraińska Partia Narodowa.

– O rodzącej się do niepodległości Ukrainie mówi się w Polsce często jako o państwie, w którym idee nacjonalne są najżywotniejsze. Jak by Pan skomentował powyższy pogląd?

– Przede wszystkim chciałbym, abyśmy dokładnie się porozumieli co do znaczenia terminów „nacjonalny” i „nacjonalizm”. W świecie, w Europie nie było rozróżnienia terminów „nacjonalny” i „nacjonalistyczny”. To było to samo, oznaczało to samo. Oznaczało tyle co narodowy. Ale publicystyka i ta tzw. leninowsko-marksistowska filozofia zaczęła rozróżniać te terminy. Nacjonalizm został w ten sposób utożsamiony z szowinizmem, natomiast słowo „nacjonalny” stało się terminem używanym do określania przywiązania człowieka do swojej nacji, do swego narodu. Tak więc, jeżeli posługujemy się terminem „nacjonalizm” w rozumieniu „szowinizm”, to uważam, że takiego zjawiska na Ukrainie nie ma. Oczywiście, życie społeczne jest bardzo różnorodne i zawsze można znaleźć kogoś o takich właśnie, szowinistycznych, poglądach, ale nie jest to jakaś znacząca siła społeczna na współczesnej Ukrainie.

Staramy się bardzo wyraźnie akcentować, że odrodzenie Ukrainy jest niemożliwe w obrębie tylko narodu ukraińskiego. To odrodzenie musi być wieloplanowe. Nie uda się nam zbudować demokratycznego państwa ukraińskiego, jeżeli w tej budowie nie będą brali udziału przedstawiciele wszystkich narodów, które mieszkają na naszej ziemi. Uważamy, że konieczne jest także odrodzenie narodowe dla żyjących w naszym państwie: i dla Polaków, i Rosjan, i Żydów, Ormian, Greków, Bułgarów, Gagauzów, Mołdawian. Tych wszystkich grup narodowościowych, które żyją na Ukrainie i które muszą mieć zagwarantowane wszystkie normalne prawa ujawniania i rozwijania swojej narodowej kultury, duchowości i tradycji.

– Czy ten pogląd jest już poparty jakimiś konkretnymi działaniami władz ukraińskich?

– Przywiązujemy ogromne znaczenie do działalności narodowych towarzystw kulturalnych. We Lwowie jedną z pierwszych takich organizacji społecznych, które rozpoczęły walkę o demokratyzację, o narodowe odrodzenie, było Towarzystwo Języka Ukraińskiego im. Tarasa Szewczenki. Stworzyliśmy to Towarzystwo, aby ratować język ukraiński. W innych krajach tego typu towarzystwa z pewnością nie są niczym nadzwyczajnym. Ich zadaniem jest troska o pogłębianie znajomości konkretnego języka, o jego wzbogacanie. U nas natomiast chodziło przede wszystkim o ratowanie przed wyniszczeniem ojczystego języka, który pod naciskiem moskiewskiego imperium zaczął ginąć. Przecież były całe regiony na Ukrainie, gdzie nie było ukraińskich szkół, gdzie nie było ukraińskich wyższych uczelni, nie było ukraińskich ośrodków naukowych, brakowało ukraińskiej sztuki teatralnej, estradowej. Musieliśmy się temu przeciwstawić i dlatego w 1988 r. stworzyliśmy to Towarzystwo.

Równocześnie ze stworzeniem Towarzystwa zwróciliśmy się do naszych współobywateli – Polaków, Żydów – aby i oni zaczęli tworzyć towarzystwa tego typu. Oczywiście były głosy, które przestrzegały przed powstawaniem tych wszystkich towarzystw. Mówiono, że skoro rozjedziemy się po swoich narodowych podwórkach, to natychmiast zaczniemy skakać sobie do gardeł. Ale tak się nie stało. Skoro bowiem człowiek autentycznie szanuje swoje tradycje, to automatycznie szanuje także

tradycje innych. W ten sposób powstało m.in. Towarzystwo Kultury Polskiej we Lwowie, Towarzystwo Żydowskie, dwa towarzystwa rosyjskie, także węgierskie, ormiańskie, czeskie, niemieckie.

– *Stopień pomocy tym towarzystwom ze strony władz ukraińskich jest jednak taki, że ich członkowie odczuwają pewien niedosyt. Brakuje lokali, brakuje pomocy finansowej.*

– Jasne jest, że chcielibyśmy tym towarzystwom pomagać w jak największym stopniu. Jeżeli nie zawsze pomagamy tym organizacjom na takim poziomie, jakiego oczekują, to nie dlatego, że nie chcemy tego robić, tylko dlatego, iż wciąż wszystkim nam żyje się ciężko. Przecież nasz kraj przeżywa sytuacje kryzysowe, z których jak na razie ciągle jeszcze nie może się wydobyć. To jest przejście do gospodarki rynkowej, do nowego systemu ekonomicznego. Sam Pan dobrze wie, że i dla Polski nie było to łatwe. Dla nas jest to jeszcze trudniejsze, bo przecież Polska jest krajem jednorodnym. Tutaj, na Ukrainie, mamy do czynienia z dyfuzją ekonomii, bankowości, systemu finansowego.

Warto zwrócić uwagę na to zróżnicowanie regionalne Ukrainy. Tu, w Haliczynie, mimo pozbawiania nas przez całe lata państwowości, mimo zależności od Austro-Węgier, a także od Polski, istniały jednak ukraińskie szkoły, mogła się rozwijać ukraińska kultura i sztuka, ukraińska myśl polityczna. Dlatego świadomość Haliczyny jest dzisiaj znacznie wyższa aniżeli Ukrainy środkowej i wschodniej. Tam np. już dawno zniszczono naszą ukraińską, grekokatolicką Cerkiew. Jej miejsce chciała zająć rosyjska Cerkiew prawosławna, która stała się największym rusefikatorem narodu ukraińskiego na wschodniej Ukrainie. Rusefikowała Ukraińców poprzez słowo Boże... To było naprawdę straszne. Gdy mówimy o zróżnicowaniu Ukrainy, trzeba także brać pod uwagę jej zróżnicowanie etniczne. Ono także nie ułatwia wyjścia z naszych kryzysowych sytuacji... Przecież proces konsolidacji narodowej, który w państwach europejskich miał miejsce już dawno, u nas ciągle jeszcze trwa, ponieważ przez całe stulecia byliśmy rozbici jako organizm państwowy.

A wracając do sprawy pomocy mniejszościom, to np. w celu zadośćuczynienia potrzebom Polaków staramy się oddawać wiernym kościoły, w najbliższym czasie postaramy się przekazać Towarzystwu Polskiemu jakieś pomieszczenie, Żydom oddaliśmy już dwie synagogi, daliśmy już lokale Węgom, Czechom. Ormianom oddamy niebawem ich historyczną cerkiew, bo przecież Lwów był miastem, w którym od wieków żyli członkowie różnych wyznań i różnych narodowości.

– *Ta cerkiew należała przed wojną do Ormian pozostających w unii z Rzymem, była katedrą unickiego biskupa ormiańskiego. Który Kościół ormiański stanie się teraz gospodarzem świątyni?*

– Świątynia ma być przekazana Apostolskiej Cerkwi Ormiańskiej ze stolicą w Eczmiadzynie. Jest już we Lwowie zarejestrowana wspólnota wiernych tego Kościoła i im właśnie przekazemy Cerkiew. To jeszcze jakiś czas potrwa, ponieważ bolszewicy zwieźli do tego kościoła starodawne ikony ukraińskie o bezcennej wartości. Przekazaliśmy już dawne Muzeum Lenina władzom Muzeum Narodowego i tam właśnie mają zostać przeniesione te ikony. Będą tam wystawiane.

– *Wspominał Pan o niewielkim zaangażowaniu obywateli Ukrainy w działalność partii i ugrupowań politycznych. Także tych partii, które walczyły i walczą o demokratyzację, o odrodzenie narodowe Ukrainy. Jak zatem ocenia Pan skalę poparcia dla ruchów prodemokratycznych w ukraińskim społeczeństwie?*

– Wie Pan, mówiliśmy o partiach politycznych, o ich małej liczebności, ale nie wspomnieliśmy jak dotąd o jednej masowej organizacji, która przecież istnieje na Ukrainie. Mam tu na myśli „Ruch”. „Ruch” jednoczy wszystkie partie polityczne, a także ludzi bezpartyjnych. Dzięki temu jest organizacją bardzo ważną w naszym życiu politycznym oraz bardzo wpływową. A wracając do Pańskiego pytania o skalę poparcia dla ruchów demokratycznych w naszym społeczeństwie: otóż nas wszystkich, ludzi różnych orientacji, jednoczy przekonanie, że droga, którą komuniści prowadzili społeczeństwo, jest drogą donikąd. Idee komunizmu zbankrutowały, ponieważ były to idee zaprzeczające jakimkolwiek cywilizowanemu rozwojowi ludz-

kości. Przekonanie o tym, że tą drogą iść już dalej nie można, dzielają na Ukrainie niemal wszyscy.

Trzeba oczywiście powiedzieć, że we współczesnym społeczeństwie ukraińskim nie ma jeszcze pełnej konsolidacji w zakresie linii politycznej, w zakresie polityki społecznej. Jednocześnie można stwierdzić, że w kwestiach ekonomicznych znajdujemy już wspólny język ze wszystkimi regionami Ukrainy. Wszyscy doskonale wiedzą, że jeżeli z każdego zarobionego karbowanica zostaje na Ukrainie 20 czy może mniej kopiejek, a resztę zabiera centrum, to w interesie każdego obywatela Ukrainy jest zbudowanie niezależnego i demokratycznego państwa ukraińskiego. Inaczej nikt z nas nie będzie mógł liczyć na poprawę swego położenia materialnego. W tej kwestii wszyscy jesteśmy zgodni. Inne sprawy – te sprawy wymagają jeszcze wielkiej pracy i jeszcze raz pracy.

– *Celem działania „Ruchu” była przede wszystkim walka o ukraińską państwowość. Teraz ta państwowość staje się faktem. Co dalej z „Ruchem”? Czy organizacja ta jest jeszcze potrzebna?*

– Myślę, że przed „Ruchem” są jeszcze perspektywy. Przede wszystkim dlatego, że naszą państwowość trzeba jeszcze ciągle budować. Trzeba budować instytucje demokratyczne, trzeba budować wszystkie trzy poziomy władzy państwowej. A więc władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Przecież w naszych obecnych władzach wciąż jeszcze siedzą te stare kadry, które skostniały w swych poglądach, dogmatach i stereotypach starego myślenia. Zmienić tę sytuację nie jest wcale łatwo. Oprócz tego, nawet jeżeli to się uda zmienić, pozostaje jeszcze sprawa duchowego odrodzenia społeczeństwa. Weźmy dla przykładu choćby tak cywilizowany naród, jak Niemcy, który po zarażeniu się hitleryzmem i nazizmem, czyli orientacjami totalitarnymi, dopiero po kilku dziesięcioleciach powrócił na łono cywilizowanych społeczeństw Europy. Tak samo i my będziemy tę bolszewicką zarzę wyrzucać z siebie bardzo długo. Dlatego uważam, że w sferze odrodzenia duchowego, społecznego, cywilizacyjnego i kulturowego pracy przed nami jeszcze wiele. „Ruch” jest jak najbardziej powołany do tego, by zająć się tą właśnie pracą.

Nie ograniczałbym roli „Ruchu“ tylko do okresu, w którym wiedziliśmy walkę o powstanie niezależnego państwa ukraińskiego. Widzę dla tej siły także miejsce w dalszym procesie budowania naszej państwowości.

– *Czy nie sądzi Pan jednak, że skonsolidowany w okresie walki o niepodległość „Ruch“ teraz zacznie się rozpadać, pękać? Że legenda, która niewątpliwie otacza tę organizację, w nowych warunkach po prostu się rozwieje?*

– No, wie Pan, to jest zupełnie naturalne, to jest właściwe wszelkiej działalności ludzkiej, że takie procesy, o których Pan wspomina, mogą nastąpić. Myślę jednak, że nie będą one tak głębokie, aby rozerwać „Ruch“ na odłamy, które będą ze sobą wiodły jakąś śmiertelną walkę. Walka może istnieć pomiędzy pretendentami do takiego czy innego urzędu. Teraz np. zaczęła się już przedwyborcza walka o urząd prezydenta Ukrainy. I „Ruch“, który wysunął na to stanowisko naszego wojewodę, Wiaczesława Czarnowiła, też nie jest w tej kwestii absolutnie jednomyślny. Bo są i inne kandydatury. Sądzę, że jest to zupełnie normalne w demokratycznym społeczeństwie. Jasne, chciałoby się, abyśmy byli jakoś w pełni zjednoczeni, ale cóż można poradzić... Ludzie są ludźmi, nawet do swojej władzy wybranej w demokratycznych wyborach mogą się odnosić różnie...

Tak, ludzie są ciągle tymi samymi ludźmi, którzy w Niedzielę Palmową krzyczeli przed Jezusem Chrystusem „Hosanna, Synu Dawidów“, a dokładnie za kilka dni, w Wielki Piątek, wydali Go na mękę, na rozpięcie na krzyżu. I byli zupełnie obojętni na Jego los.

Ale powtarzam, przed nami tak wiele jeszcze pracy, że nawet jeżeli w „Ruchu“ będą jakieś podziały, ujawnią się różne orientacje, to wszyscy znajdą w tym „Ruchu“ swoje miejsce.

– *Jak może Pan skomentować obecną sytuację wyznaniową na zachodniej Ukrainie?*

– To jest nasz ból, to jest nasza wielka bieda. Myśmymy bardzo czuwalni nad tym, co się działo w ostatnim okresie na Ukrainie na gruncie politycznym. Odczuwaliśmy bardzo wyraźnie, jak

wrogie siły chcą nas skłócić wewnętrznie rozniecając konflikty narodowościowe i polityczne. Bolszewicy podrzucali nam tu różne pomysły w rodzaju: „Ukraina dla Ukraińców, wyrzniemy Moskali i Żydów, utopimy ich we krwi”. Wszystko to jednak nie przeszło. Społeczeństwa Ukrainy nie udało się podzielić za pomocą takich haseł. Niestety udało się dokonać takiego podziału na gruncie religijnym. To się udało...

W 1946 r. została zniszczona ukraińska Cerkiew grekokatolicka. Ta Cerkiew była narodową, duchową świątynią naszego narodu. Tutaj, na Haliczynie, nasz naród oparł się wszelkim, w tym także polskim i niemieckim, próbom wynarodowienia tylko dzięki temu, że miał swoją narodową Cerkiew. W tej Cerkwi zachowywał swój język, kultywował swoją tradycję, tworzył swoją sztukę. Dla nas, ludzi pozbawionych państwowych form wyjawiania swej narodowej kultury i tradycji, taką możliwość stworzyła Cerkiew grekokatolicka. Stalin doskonale to rozumiał i dlatego postanowił Cerkiew zniszczyć. Duchowieństwo było albo represjonowane, wysyłane do więzień lub syberyjskich łagrów i tam ginęło, albo zostawało odsunięte od wykonywania swoich kapłańskich obowiązków. Ale nasza Cerkiew przechowała się w katakumbach, w podziemiu i dzięki temu zachowała swoją całą strukturę, także hierarchię. I gdy tylko w efekcie procesów demokratyzacyjnych pojawiła się możliwość działania, nasza Cerkiew wyszła z podziemia. Kiedy było absolutnie pewne, że ta Cerkiew zostanie zalegalizowana, że za nią opowie się przeważająca część naszego wierzącego społeczeństwa, wtedy podrzucono na Ukrainę myśl stworzenia Prawosławnej Ukraińskiej Cerkwi, ale autokefalicznej.

– *Ta Cerkiew istniała przecież na emigracji, w Kanadzie.*

– Tak, ale kiedy pojawiła się tutaj, ludzie się podzielili. Kłopot Cerkwi Autokefalicznej polega na tym, że nie ma ona żadnego centrum duchowego. Nie uznaje jej Patriarchat Moskiewski, nie uznaje Konstantynopol. W tej sytuacji i wewnątrz tej Cerkwi dochodzi do podziałów. Na Zachodzie są np. jej cztery odłamy. To także zaczyna się u nas. Staramy się przekonywać jakoś naszych braci i nasze siostry, że Kościół nie może być w pełni niezależny od jakiegoś centrum duchowego,

ponieważ nawet w Credo mówimy, iż wierzymy w jedyną, świętą, apostołską Cerkiew. Taka jedyna, apostołska Cerkiew ma swoje centrum w Rzymie, ponieważ stworzył tę Cerkiew Jezus Chrystus, wyznaczając apostoła Piotra na jej zwierzchnika. Od tamtych czasów zaczyna się historia Kościoła.

Fenomen ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego polega na tym, że Kościół ten skupiając w sobie nasze tradycje religijne, jakie mamy od czasów bizantyjskich, od czasów Włodzimira Wielkiego, administracyjnie podlega Rzymowi. Daje to naszemu Kościołowi możliwość pracy na styku dwóch kultur, na rzecz syntezy dwóch kultur. Kultury Wschodu i kultury Zachodu... Niestety, jak dotąd, na gruncie religijnym brakuje u nas porozumienia.

– *Jaką przyszłość widzi Pan przed Cerkwią Autokefaliczną?*

– Gdy idzie o przyszłość, to mamy nadzieję, że zostanie stworzony jedyny ukraiński patriarchat. Niech on będzie w Kijowie, a nie we Lwowie... Niech będzie... Przecież historyczną stolicą Ukrainy jest Kijów i chociaż obecnie duchowym centrum kraju jest Lwów, to pragniemy, aby patriarchat był w Kijowie.

My szczerze mówiąc nie bardzo rozumiemy politykę Watykanu. Dlaczego np. naszemu kardynałowi, Mirosławowi Iwanowi Lubacziwskiemu, Papież rzymski nie daje tytułu patriarchy ukraińskiej Cerkwi? Gdybyśmy mieli błogosławieństwo Ojca Świętego w tej kwestii, zaczęlibyśmy zbierać wszystkich chrześcijan należących do różnych wyznań. Z pewnością te Kościoły i związki wyznaniowe zachowałyby jakieś swoje odmienności, ale powstałby jeden ośrodek administracyjny i duchowy na Ukrainie – Patriarchat Kijowski. Myślę, że w tym Patriarchacie znalazłoby się miejsce także dla Cerkwi Autokefalicznej.

– *Lwów był od wieków także stolicą arcybiskupstwa łacińskiego. Jaki jest stosunek obecnych władz Lwowa i województwa lwowskiego do wiernych i hierarchii łacińskiej?*

– Od samego początku odnosiliśmy się bardzo przychylnie do odrodzenia religijnego Polaków na Lwowszczyźnie. Z pew-

nością rozumie Pan, że 64 kościoły, które zostały oddane rzymskokatolickim gromadom, są widowym potwierdzeniem i świadectwem naszego pozytywnego stosunku do rzymskich katolików. Rozumiemy jednocześnie, że skoro są kościelne gromady, to musi być i kościelna hierarchia. Byliśmy tylko zdziwieni, że przygotowania do powołania hierarchii były prowadzone poza nami. O wszystkim rozmawiano pomiędzy kierownictwem Watykanu, kierownictwem polskiego Kościoła i władzami w Moskwie. A przecież na Ukrainie już się rozwijały procesy demokratyczne, były już obrane w demokratyczny sposób władze. Można było rozmawiać po prostu z nami.

Jest jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia. Kościół także u nas jest oddzielony od państwa. Ale Kościół jest osobą prawną. Dlatego ma on z państwem również czysto świeckie interesy. Kościół użytkuje przecież świątynie, budynki, które nierzadko są historycznymi pamiątkami. Kościół ma cały sztab swych pracowników. Wszystkie te sprawy muszą być regulowane prawem obowiązującym w państwie. Rzymskokatolickim arcybiskupem archidiecezji lwowskiej został obywatel polski. A zatem jakiemu prawu powinien się podporządkować? Jakiego prawa powinien przestrzegać kierując Kościołem na terytorium naszego kraju? To jest pytanie podstawowe. Przecież jako obywatel państwa polskiego podlega prawu Rzeczypospolitej Polskiej, a kierując sprawami Kościoła na Ukrainie musi się kierować prawem, które istnieje u nas, w naszym państwie. Nie twierdzę, że od razu musi dojść do konfliktów na tle przestrzegania naszego prawa, ale niech zdarzy się, nie daj Boże, jakiś wypadek, który przyniesie przekroczenie naszego prawa. I jak my wtedy mamy rozmawiać?

– *Ale przecież nowo powołany arcybiskup może poprosić o nadanie obywatelstwa Ukrainy. Co wtedy?*

– Myślę, że znormalizowałoby to w pełni nasze stosunki. Przede wszystkim dlatego, że my nie możemy i nie chcemy się wtrącać w to, kto ma kierować archidiecezją. To jest sprawa Kościoła, Watykanu. Watykan nie będzie z nami rozmawiał na temat tego, kto ma zostać arcybiskupem. To jest dla nas zrozumiałe. Ale nie można też nie zauważać tych problemów czy-

sto prawnych, o których już Panu powiedziałem. Zresztą niech się Pan sam zastanowi. U was, w Polsce, jest mniejszość niemiecka. Co by się stało, gdyby Niemcy przysłali do Polski, na kościelnego zwierzchnika tych Niemców, obywatela Republiki Federalnej? Nie sądzę, aby strona polska zareagowała na to spokojnie i pozytywnie.

– Jak w opinii władz demokratycznej Ukrainy wygląda położenie mniejszości ukraińskiej w Polsce?

– Muszę się przyznać, że na ten temat mamy bardzo mało informacji. To jest nasza bieda. Myślę zresztą, że obopólna. I polska, i ukraińska. Chociaż strona polska ma już u nas swoje placówki dyplomatyczne, i dzięki temu macie już większe możliwości bezpośredniego wglądu w sytuację waszej mniejszości na Ukrainie. My takiego wglądu i takich informacji ciągle jeszcze nie mamy. Przede wszystkim właśnie z braku placówek dyplomatycznych. Jak na razie wydaje mi się, że zarówno z jednej jak i z drugiej strony jest bardzo dużo emocji, które opierają się na tych negatywnych wizerunkach naszej wspólnej historii. To nie jest sekret, że w ciągu wieków pomiędzy Ukraińcami a Polakami było wiele wydarzeń negatywnych, że nasze stosunki nie zawsze układały się dobrze...

Osobiście staram się podchodzić do tych spraw następująco: dwa bliskie sobie, sąsiadujące ze sobą narody mają w swojej wspólnej historii takie wydarzenia, na które każdy z narodów będzie patrzył odmiennie. Wy nigdy nas nie przekonacie, że Kozactwo czy ruchy hajdamackie, które przyniosły Polakom dużo złego, były czymś, czego my, Ukraińcy, mamy się wstydzić. Ale my nie będziemy i was przekonywać, jeżeli na pewne wydarzenia z przeszłości patrzeć będziecie inaczej aniżeli my. Każdy naród ma prawo do swojej historycznej pamięci. Ta historyczna pamięć może być różna.

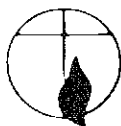
Ale zostawmy historię historykom. Sam jestem zresztą historykiem, ale w tym przypadku występuję jako polityk, jako przedstawiciel ukraińskiego parlamentu. Otóż jeszcze raz powtarzam: historię zostawmy historykom, a naszą politykę budujmy tak, aby była ona polityką dwóch dobrych sąsiadów. Jeżeli nie będziemy umieli ułożyć między sobą dobrych sto-

sunków, to proszę mi wierzyć — przegracie i wy, i my... Jeżeli zamiast myśleć o tych dobrych stosunkach zaczniemy się kłócić i przypominać jeden drugiemu swe historyczne krzywdy, to nie licząc się z niczym skorzysta z tego ktoś trzeci... A my wszystko przegramy!

– *Czy tego typu przekonanie ma na Ukrainie licznych zwolenników?*

– To jest przekonanie absolutnej większości ludzi, którzy mają teraz wpływ na rozwój wydarzeń. Tak myśli absolutna większość — za to mogę ręczyć.

Lwów, wrzesień 1991 r.



Aldona Chojnowska

Przesiedlenie ludności ukraińskiej na Ziemię Odzyskane w 1947 r.*

Spotykałem czasem w życiu Ukraińców, ale bardzo rzadko, tak rzadko, że można rzec, iż w ogóle ich nie spotykałem. I wiem, dlaczego nie mogłem ich często spotykać. Bo oni są i zarazem ich u nas nie ma. Coś się stało między nimi a nami. I to wszystko legło milczkiem niczym góra lodu.

(T. Konwicki, „Kalendarz i klepsydra”)

Idea

Wydaje się, iż w komunistycznych środowiskach programowych nie powstała, a w każdym razie nie została wyartykułowana, spójna koncepcja regulacji kwestii narodowościowych w powojennej Polsce. Jak zauważyła K. Kersten, generalnie kierunek konkretnych poczynań władz wskazuje na konsekwentne dążenie do stworzenia państwa jednolitego narodowo.

Komuniści rozumieli, jak istotne jest dla nich zwiększenie nikłego poparcia społecznego. Do tego celu miało prowadzić m.in. umiejętne wykorzystywanie propagandowe haseł narodowych. Odsuwając na margines *elementy reakcyjne i faszystowskie* uderzająco często odwoływano się do *zdrowej* większości. Apelowano do rozrzuconych po świecie Polaków, by wrócili do ojczyzny i wspólnie z całym narodem zjednoczonym wokół

* Przygotowano na podstawie pracy magisterskiej napisanej pod kierunkiem prof. M. Kuli na Wydz. Historii UW w 1991.

nowego kierownictwa przystąpili do odbudowy zniszczonego kraju.

Konsolidacja pod sztandarami polskości siłą rzeczy pozostawiała poza nawiasem tych, którzy w Polsce żyli, ale nie byli Polakami. Musimy pamiętać, że stosunek do mniejszości narodowych w czasie wojny znacznie się radykalizował. Do pamięci o konfliktach z okresu II Rzeczypospolitej dołączyły świeże, często dramatyczne doświadczenia. Gdy nastał czas płacenia rachunków, „vox populi” strony zwycięskiej nie gubił się w niuansach, nie szukał rzeczywistych winnych. Wielu Polaków różnych orientacji politycznych łączyło przekonanie, że wszyscy Niemcy muszą ponieść karę za okrucieństwa okupacji, wszyscy Ukraińcy za rzezie na Wołyniu, wysiedlanie Zamojszczyzny, działalność Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Zwolennicy zdecydowanych działań mieli ułatwione zadanie. Państwa koalicji uzgadniając wysiedlenie Niemców z niektórych krajów odpowiedzialność za to postanowienie uczyniły sprawą kolektywną. Transporty odchodzące z Polski na zachód były tylko fragmentem szerszej akcji mającej sankcję międzynarodową. Praktycznie nie istniał już *problem żydowski*, tak tragicznie odeszły w przeszłość za sprawą *ostatecznego rozwiązania*. Ci, którzy przeżyli, najczęściej sami chcieli wyjechać, a wątpliwości wahających się przecinały antysemityczne rozruchy. Do rozstrzygnięcia pozostawał jeszcze los Ukraińców, Białorusinów i Litwinów – obywateli polskich.

Komuniści zrzekając się kresów wschodnich zadbali o umotywowanie swej rezygnacji. Z naciskiem podkreślano, iż naród polski dążący do zjednoczenia się we własnym państwie rozumie podobne aspiracje pobratymczych narodów i nie zamierza ich ograniczać. Trojski o przyszłą harmonijną współpracę miało dowodzić ustalenie wzajemnych stosunków na nowych zasadach. Przede wszystkim uznano, że wymiana ludności między Polską a graniczącymi z nią republikami definitywnie

zlikwiduje ogniska zapalne potencjalnych konfliktów. 9 IX 1944 r. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego zawarł umowę z rządami USRR i BSRR o *wzajemnej ewakuacji*. Dawała ona podstawę do wyjazdu osób narodowości ukraińskiej, białoruskiej, rosyjskiej i rusińskiej (Łemkowie) do odnośnych republik oraz powrotu do Polski Polaków i Żydów, którzy 17 IX 1939 r. byli obywatelami polskimi, a obecnie przebywali na Ukrainie bądź Białorusi. Przesiedlanie zamierzano zakończyć do kwietnia 1945 r. Dotrzymanie tego terminu okazało się nierealne, gdyż trudno było zimą organizować akcję na większą skalę, a ponadto nie przypuszczano, że trzeba będzie przetransportować aż 490 tys. osób. Zamknięcie tej fazy przesiedleń nastąpiło w połowie 1946 r.

Według ostatecznych sprawozdań komisji przesiedleńczych w drugiej połowie 1946 r. w Polsce przebywało nadal ponad 14 tys. osób narodowości ukraińskiej. Rychło jednak przekonano się, że ta liczba ma niewielki związek z rzeczywistością. Nikt nie był w stanie na bieżąco weryfikować posiadanych informacji. Próbę zorientowania się podjęto na początku 1947 r., kiedy to jednostki stacjonujące w woj. rzeszowskim otrzymały rozkaz zebrania i nadeśłania dokładnych danych. Liczebność ludności ukraińskiej oceniono wtedy na zaledwie 20 tys. osób. Nieco później ustalenie to skorygowano podnosząc wyliczenie do poziomu 80 tys. osób, czyli mniej niż połowy faktycznej liczby.

Daleko od stabilizacji sytuacja w Polsce południowo-wschodniej nie mogła trwać bez ingerencji ze strony czynników państwowych. Trudno wymagać, by jakkolwiek władza tolerowała działania paraliżujące część kraju. Jest jednak znamienne, jak niewiele uczyniono dla możliwie bezbolesnego wygaszenia sporu.

Na przełomie 1946 i 1947 r. siły zbrojne UPA w Polsce liczyły około 1800–2400 członków (szacunki są rozbieżne) i znajdowały się w wyraźnej defensywie. Grupa Operacyjna „Rzeszów” prowadząca walkę z UPA

w okresie od 5 IV do 31 X 1946 r. odniosła pewne sukcesy spychając przeciwnika w niedostępne rejony i zmuszając go do ograniczenia akcji bojowych. Mel-dunki opracowywane przez wojsko w zimie 1947 r. z reguły optymistycznie przedstawiały przyszły rozwój wydarzeń. Wiele wskazuje na to, że można było wówczas wykorzystać osłabienie podziemia ukraińskiego. Objęcie walczących amnestią i sprawna operacja wojskowa przeciwko nieprzejednanym (mordy UPA nie były niestety jedynie wymysłem komunistycznej propagandy) zapewne przyczyniłyby się do opanowania terenu bez uciekania się do drastycznego środka w postaci nowej fali przesiedleń. Jednak celem władz była nie tylko eliminacja zagrożenia ze strony zorganizowanych oddziałów. Zauważmy, że w zbliżonych okolicznościach nie odwoływano się do tej metody. Jako przykład niech posłuży przypadek „Ognia” – także działającego w niełatwych warunkach terenowych i cieszącego się znacznym poparciem ludności. Rozprawa z „banderowcami” stała się pretekstem do wysiedlenia i rozproszenia Ukraińców, co miało ułatwić ich szybką asymilację.

Decyzja

Przez lata utrzymywano, iż bezpośrednią przyczyną podjęcia decyzji o przeprowadzeniu akcji „Wisła” było zamordowanie gen. K. Świerczewskiego przez UPA w zasadzce 28 III 1947 r. Wersję tę, sugerującą szukanie genezy całego przedsięwzięcia w odruchu spontanicznego, „słusznego” gniewu, niewątpliwie należy zaliczyć do sfery mitycznej, gdyż przeczy jej wiele znanych faktów.

Nie wiemy, kiedy dokładnie postanowiono przeprowadzić przymusowe przesiedlenie, ale ślady przygotowań dają się odnaleźć już na jesieni 1946 r. Wiosną 1947 r. prace musiały być dość zaawansowane. 27 marca (a więc dzień przed starciem pod Baligrodem!)

na posiedzeniu państwowej Komisji Bezpieczeństwa omawiano także tę kwestię. W protokole znalazł się zapis: *Poruszy się odpowiednimi czynnikami sprawy dotyczące wysiedlenia Ukraińców z woj. rzeszowskiego*¹, zaś gen. S. Mossor zaznaczył w dyskusji, iż *jest to aktualna sprawa na dzień dzisiejszy*². Tak więc śmierć wiceministra obrony nie mogła być przyczyną operacji, ale na pewno wpłynęła na jej przyspieszenie. Oprócz zaistnienia faktu ułatwiającego wytłumaczenie opinii publicznej konieczność ostatecznego rozgromienia *faszystów i bandytów ukraińskich* również ogólna sytuacja sprzyjała posunięciom finalizacyjnym.

Jeśli przyjmiemy, iż zamierzano postąpić konsekwentnie, jest chyba oczywiste, to wobec niezgody strony radzieckiej na przedłużenie umowy z września 1944 r. pozostawało tylko przesiedlenie w granicach państwa polskiego. Wiosną 1947 r. sprawujący władzę widocznie wzmocnili swą pozycję. Ogromna mobilizacja sił pozostających w służbie nowego systemu przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego przyniosła oczekiwany rezultat. Władza poczuła się pewniej, a funkcjonowanie jej agend powróciło do normy i mogły one się skupić na realizacji następnych zadań. Znaczenie miało także ustawiczne osłabienie opozycji: w toku walk wiele oddziałów rozbito, zaś ogłoszona w lutym 1947 r. amnestia doprowadziła do ujawnienia się kilkudziesięciu tysięcy osób.

Początkowo problem rozważał jedynie najwyższy organ decyzyjny, czyli Biuro Polityczne KC PPR. Już na posiedzeniu 29 III 1947 r., po omówieniu organizacji pogrzebu gen. K. Świerczewskiego, postanowiono: *W ramach akcji represyjnej wobec ludności ukraińskiej (...) w szybkim tempie przesiedlić Ukraińców i rodziny mieszkane na terenach odzyskanych (przede wszystkim Prusy Północne) nie bliżej niż 100 klm. od granicy i nie tworząc*

¹ Centralne Archiwum Wojskowe, Sztab Gen. IV.III.643, *Protokół nr 19 z posiedzenia PKB w dniu 27 III 1947 r.*, k. 48.

² Tamże.

*zwartych grup*³. Z ramienia Biura Politycznego projektem przesiedlenia i rozpracowaniem ludności ukraińskiej mieli się zająć M. Spychalski i S. Radkiewicz. Na naradach 2 i 11 kwietnia S. Radkiewicz omawiał stan przygotowań. 16 kwietnia Biuro Polityczne w składzie: W. Gomułka, B. Bierut, R. Zambrowski, J. Berman, S. Radkiewicz i M. Spychalski, po wysłuchaniu referatów M. Żymierskiego i W. Wolskiego, przyjęło zaproponowany w nich plan. W wydanym następnego dnia zarządzeniu Państwowej Komisji Bezpieczeństwa powołującym Grupę Operacyjną o kryptonimie „Wisła” oraz w stanowiącej podstawę prawną uchwale Prezydium Rady Ministrów z 24 IV 1947 r. ściśle zastosowano się do ustaleń Biura Politycznego.

Dowódcą Grupy Operacyjnej i specjalnym pełnomocnikiem rządu na czas akcji mianowano gen. bryg. S. Mossora. Do grona jego najbliższych współpracowników zaliczali się: ppłk B. Sidziński odpowiedzialny za pion polityczno-wychowawczy, ppłk G. Korczyński (ds. bezpieczeństwa), ppłk J. Hubner (ds. KBW). Szefem sztabu GO został ppłk M. Chiliński. Do sztabu przydzielono również pełnomocników Ministerstwa Administracji Publicznej (MAP), Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) i Ministerstwa Komunikacji.

W południowo-wschodniej części woj. rzeszowskiego i na południu woj. lubelskiego zgrupowano 5 dywizji piechoty (3. DP w składzie 3., 5. i 14. pułk piechoty; 6. DP – 2., 6. i 12. pp; 7. DP – 7., 10. i 11. pp; 8. DP – 1., 8. i 36. pp; 9. DP – 26., 28. i 30. pp), 1 dywizję KBW (1., 2. i 3. brygada), pułk MO oraz jednostki specjalne: pułk saperów, pułk samochodowy, eskadrę lotniczą. Około 17,5 tys. żołnierzy GO (według danych oficjalnych) postawiono zadania likwidacji UPA i jak najszybszego przesiedlenia ludności (w zarządzeniu PKB pojawił się nawet termin miesięczny).

Dowództwo GO otrzymało bardzo szerokie pełnomocnictwa. Poza jednostkami własnymi podlegały mu wszystkie siły WOP-u, UBP i MO znajdujące się na

obszarze działania. Gen. S. Mossor uzyskał również prawo wydawania dyspozycji terenowym władzom administracyjnym, służbom komunikacyjnym, urzędowi pocztowo-telegraficznemu, oddziałom PUR-u, a także dowódcom okręgów wojskowych (OW V – Kraków i OW VII – Lublin). Aby ułatwić wojsku opanowanie terenu, rozkazano wprowadzić godzinę milicyjną (z reguły od 21.00 do 4.00) oraz roztoczyć ścisły nadzór nad ludnością przez zorganizowanie posterunków sprawdzających dokumenty na rogatkach miast i stacjach kolejowych, patrolowanie poszczególnych miejscowości. Wszystkie osoby budzące podejrzenia miały być zatrzymywane. Tereny objęte akcją podzielono na tzw. rejon odpowiedzialności. W przydzielonej strefie dana jednostka miała wysiedlać ludność i walczyć z oddziałami UPA.

Ostatnie przygotowania i pierwsze trudności

Rozpoczęcie działań przewidywano na 23 lub 24 IV 1947 r. Ponieważ jednak nie wszystkie jednostki zdołały dotrzeć na wyznaczone miejsca postoju, termin musiał być odroczony. Ostatecznie 28 kwietnia o 4.00 nad ranem jednostki znajdujące się w rejonie Cisna–Baligród (dywizja KBW), Komańczy (6. DP), Przemyśla (9. DP), w południowej części powiatu Sanok (7. DP) oraz w północnej części tegoż (8. DP) przystąpiły do akcji wysiedleńczej.

Większość jednostek zajęła pozycje wyjściowe kilka dni wcześniej. Pozostały czas polecono wykorzystać na przeprowadzenie dokładnych spisów ludności w każdym rejonie działania, zapoznanie się z okolicą i zorganizowanie wszystkich ogniw aparatu wysiedlającego. Dowódcy mieli się zorientować, jak liczne oddziały skierować do podległych im miejscowości. Po uprzednim określeniu wielkości każdej wioski, warunków bez-

³ Archiwum Akt Nowych VI Oddz. KC PPR 295.V.3, *Protokół nr 3 z posiedzenia Biura Politycznego, 29 III 1947*, k. 16.

pieczeństwa, odległości od punktów zbornych, stanu dróg itp. wysyłano grupy w sile od plutonu do batalionu.

Aby oddział mógł przystąpić do działania, niezbędne było wcześniejsze zestawienie wykazów ludności. Początkowo spisy sporządzały osoby oddelegowane z jednostek, które w razie potrzeby wspierały się materiałami zgromadzonymi przez władze administracyjne i UB. Takie postępowanie wiązało się z nakazem zachowania wszelkich przygotowań w tajemnicy. Ponieważ jednak poszczególne jednostki wojskowe często były obce w wyznaczonej im strefie, musiały wykorzystywać miejscowe źródła danych. Warto w tym miejscu wspomnieć, że zdawano sobie sprawę, iż brak rozeznania w lokalnych stosunkach może się stać ważną przeszkodą w prawidłowym wykonaniu zadania. Dlatego zalecano sprawdzanie zachowanych książeczek wojskowych, przedwojennych zaświadczeń urzędowych itp. materiałów. W przypadku wątpliwości rozstrzygającą miała być opinia UB. Gdy akcja zaczęła się rozszerzać, a schemat postępowania stał się ogólnie znany, zadanie ułożenia list powierzano zwykle władzom powiatowym. Pierwsza wersja wykazu zazwyczaj wędrowała do UB, gdzie ewentualnie była korygowana i uzupełniana, a następnie zestawienie przekazywano wojsku, które również miało prawo poczynienia w nim zmian.

Już w meldunkach z pierwszych godzin akcji pojawiły się doniesienia o komplikacjach. Jako najistotniejsze wymieniano trudności w ustalaniu rzeczywistej przynależności narodowej i kwestie związane ze sprawliwą oceną zachowania poszczególnych osób i rodzin.

Na wstępie musimy zwrócić uwagę na nieprecyzyjność w określaniu, kto konkretnie podlega przesiedleniu. W wytycznych docierających do oddziałów wysiedlających krąg wyznaczonych bywał różnie zakreślany. Zasadniczo skrzyżowano zasadę etniczną z wymogiem lojalności stwierdzając, iż dotychczasowe miejsca zamieszkania muszą opuścić wszyscy należący do któregoś

z odcieni narodowości ukraińskiej oraz te rodziny polsko-ukraińskie, które współpracowały z UPA. Z terenów położonych na południowy wschód od Baligródu miało wysiedlić także Polaków. Tak sformułowane wskazówki zawierało zarządzenie PKB z 17 kwietnia. Natomiast np. w uchwale PRM z 24 kwietnia, a szczególnie w specjalnej instrukcji Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego obserwujemy tendencję rozszerzającą: zgodnie z literą tego ostatniego dokumentu wystarczającym powodem wpisania na listę jest już tylko domniemanie niewłaściwego ukierunkowania sympatii – prawo pozostania przyznaje się wyłącznie polskim rodzinom, *odnośnie których nie ma najmniejszych poszlak współpracy i sympatyzowania z bandami*⁴. To, że nie zawsze konsekwentnie powtarzano jedną formułę – abstrahując nawet od jej treści – zaciążyło na przebiegu akcji.

Przy przygotowywaniu spisów należało uwzględnić konieczność czasowego pozostawiania na miejscu osób zatrudnionych w przemyśle naftowym, lasach państwowych czy PKP. Z dnia na dzień nie można było zastąpić wszystkich „pewnymi” Polakami, toteż – mimo ciągłego strachu przed atakami sabotażu – osoby te miały pracować do czasu przybycia następców.

Inną, raczej niezbyt liczną grupą, której pozwolono na przedłużenie pobytu, były osoby uznane za przydatne przy rozpracowywaniu podziemia ukraińskiego. Licząc na wydatną pomoc zatrzymywano je i przekazywano pod opiekę powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Politycznego.

Zagrożeni wysiedleniem oczywiście starali się go uniknąć i jeżeli znaleźli się na liście, to wszelkimi sposobami usiłowali dowieść, iż nie powinni być zostać na niej umieszczeni. Dochodziło do wielu niezwykle dramatycznych sytuacji. Ludność wykorzystywała każdą możliwość wpłynięcia na kształt listy: próbowano prze-

⁴ CAW, Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy IV.112.290, *Instrukcja dotycząca zasad przesiedlenia ludności cywilnej*, k. 32.

kupować urzędników, przedstawiano spreparowane dowody polskości. W licznie napływających podaniach z prośbami o zezwolenie na pozostanie natykamy się na ciągle te same argumenty: powoływano się na zamieszkiwanie w danej miejscowości od dziesiątków lat, pozytywny stosunek do polskości, związaną z miejscem pracą, wiekiem czy złym stanem zdrowia. Także z zagranicy nadchodziły petycje od organizacji emigrantów lub poszczególnych osób ujmujących się za krewnymi żyjącymi w Polsce. Jednak władze tylko wyjątkowo odpowiadały pozytywnie. Nawet zaangażowanie po stronie „Odrodzonej Polski” (członkostwo PPR, wysokie odznaczenia państwowe otrzymane po wojnie, opisy wyjątkowych zasług i zaświadczenia lojalności sygnowane nierzadko i przez organa BP) okazywało się niewystarczające. Kiedy już nie można było liczyć na utrzymanie się na ojcowiznie, często zgłaszano się – z kupionymi dowodami polskiego pochodzenia – w charakterze polskich osadników do obejmowania gospodarstw poukraińskich w powiatach nieraz sąsiadujących z zamieszkiwanymi poprzednio. Zdarzały się także przypadki czasowego przesiedlania się. Bywało, że przewidując wysiedlenie formalnie przepisano gospodarstwo zaufanej i „bezpiecznej” rodzinie rdzennych Polaków mając nadzieję, że kiedyś powrót będzie możliwy. Niektórzy wstępowali do stronnictw „demokratycznych” chąc zwrócić uwagę na swoją aktywność i prawomyślność polityczną, jeszcze inni ukrywali się w lasach lub symulowali choroby (ta metoda okazała się zresztą całkowicie nieskuteczna, gdyż nawet poważne dolegliwości bynajmniej nie zwalniały od wyjazdu).

Ze źródeł wyraziście wylania się podstawowa różnica dotycząca nastawienia obu stron. Wysiedlani przez długi czas nie rozumieli, że akcja z założenia dotyczy ogółu ludności ukraińskiej i decydujące są nie postawy konkretnych osób – co miało jeszcze jakieś znaczenie dla losu rodzin „mieszanych” – lecz po prostu fakt bycia Ukraińcem. Troska władz ograniczała się wyłą-

cznie do prób zapobiegania pomyłkom, w wyniku których wysiedlanoby lojalną ludność polską. W rozkazach podkreślano obowiązek dogłębnego badania indywidualnie każdej osoby i rodziny. Jednak nawet przy najlepszych chęciach stosowanie takiej procedury nie było możliwe ze względu na brak czasu.

Przebieg wysiedlania

Władze z dużym niepokojem oczekiwały wiadomości o reakcjach ludności na przystąpienie do wysiedlania. Pierwsze raporty nie wzmiankowały o żadnych demonstracyjnych wystąpieniach, ale obawiano się, że może do nich dojść w każdej chwili. Wszelkie zachowania odbiegające od normy odnotowywano w meldunkach. Dzięki temu dowiadujemy się o barykadowaniu dróg prowadzących do niektórych miejscowości, zapoznajemy się z przejawami – jak to ujmowano – *szowinizmu ukraińskiego*: *We wsi Berezka Ukraińcy usypali dwie mogiły, z których jedna wyobrażała prześladowania Ukraińców, druga Polskę złożoną do grobu. Były tam liczne wypadki, że ludność odchodząc z wiosek całowała ziemię mówiąc: „Żegnaj ukraińska ziemi”⁵. W mieszkaniach i miejscach publicznych są narysowane lub wykonane z drutu kolczastego godła „Trójjaz” oraz kopce z zakopanymi kajdanami i godłem Państwa Polskiego (symbol wyzwolenia się z polskich kajdan)⁶.*

To, że ludność nie próbowała czynnie przeciwdziałać, przypisywano pozytywnym skutkom oddziaływania propagandowego. Wytlumaczenie nie jest jednak aż tak proste. Brak gwałtowniejszych sprzeciwów, apatia i zewnętrzna obojętność spotykane tak często, że aż typowe, w pewnej mierze wynikały ze zmęczenia ciągłą niepewnością i utraty nadziei na unormowanie się sytuacji. Nastroj rezygnacji i poczucie bezradności musiały być

⁵ CAW, GZPW IV.112.243, *Meldunek nr 14 za okres 27 IV – 10 V 1947*, k. 44.

⁶ CAW, zespół 3 DP IV.310.03.51, *Meldunek za dzień 20 V 1947*, k. 48.

dość powszechne, skoro dostrzegło je dowództwo UPA i wyraziło swe zwątpienie co do zdolności ogółu ludności ukraińskiej do oporu. Rozmach akcji oraz wykazywana stanowczość utrwalały przekonanie o nieuchronności przenosin. Rozchodzenie się wieści o wysiedleniu powodowało najczęściej przerwanie wszelkich prac, odmowę płacenia podatków. Choć nikt nie miał pewności co do zamysłów władz, gromadzono zapasy i wyprzedawano dobytek. Wrażenie robią fragmenty niektórych sprawozdań wysyłanych przez oddziały właśnie przybyłe do jakiejś miejscowości: zdarzało się, iż żołnierze po wejściu spostrzegali od razu, że wszystko zostało już spakowane, a ludzie od kilku dni po prostu czekają na swoją kolej. Początkowo jednak odczuwano pewne zagubienie i oszołomienie wobec tempa i sposobu przeprowadzania operacji.

Instrukcja nakazywała, aby grupa wysiedlająca przybywała w nocy w rejon wyznaczonej miejscowości. O świcie, po zablokowaniu możliwych dróg ucieczki, a najlepiej otoczeniu całej osady, należało zebrać ludność i powiadomić ją o wyjeździe. Po przedstawieniu stanowiska władz i pouczeniu, jak wszyscy mają się zachowywać i co mogą zabrać ze sobą, wyznaczano 5 godzin na spakowanie się i opuszczenie domostw. Około godz. 11.00 sformowana kolumna powinna być gotowa do marszu na pułkowy punkt zborny. Faktycznie nie należało do rzadkości wyznaczanie 2-godzinnego limitu czasowego, chociaż bywały także sytuacje odwrotne – kiedy przedłużało się dopełnianie formalności, mieszkańcy otrzymywali więcej czasu, niż przewidywała norma.

Punkty zborne (1–2 na obszar działania jednego pułku) starano się lokalizować zależnie od odległości od stacji załadowczej, sieci dróg oraz położenia względem wysiedlanych wsi. Dystans między rodzinnym osiedlem a pułkowym punktem zbornym przesiedlani mieli przebyć pieszo bądź własnym transportem. Przemieszczająca się ludność była oczywiście konwojowana. Zadanie

eskorty polegało na ochranianiu kolumny przed ewentualnymi atakami UPA i niedopuszczaniu do ucieczek.

Narzucone ograniczenia powodowały, że można było zabierać tylko część dobytku, zaś pośpiech – że w zdenerwowaniu nie zawsze zabierano to, co później okazywało się najpotrzebniejsze. Najczęściej niedostatek miejsca nie pozwalał na załadowanie większych narzędzi, mebli, ziarna i ziemniaków. Czasami z konieczności pozostawiano część posiadanych zwierząt. Każda rodzina, niezależnie od liczebności i zamożności, musiała pomieścić swoje mienie na co najwyżej dwóch wozach. Dodatkowo poszkodowani byli mieszkańcy osad położonych najdalej od stacji kolejowych, którzy musieli rezygnować z wielu rzeczy zabieranych przez innych.

W tej sprawie wizja postulowana szczególnie jaskrawo rozmięła się z praktyką. Pomimo nacisków, by pomagać w przewożeniu zapasów, i podkreślania, że muszą to być ilości pozwalające na przeżycie do następnego roku i na zasiewy, nie następowała żadna znaczniejsza poprawa. Jest to tym bardziej niezrozumiałe, że już w pierwszej połowie maja zaczęły napływać z Ziemi Odzyskanych alarmistyczne informacje o panujących tam trudnych warunkach.

W drodze

Dotarcie z miejscowości wysiedlanej do pułkowego punktu zbornego zajmowało do kilkunastu godzin. Ponieważ plany nie zostały należycie skoordynowane, na punktach gromadzono więcej osób, niż można było dalej przewieźć transportem wojskowym i własnym przesiedleńców w ciągu kilku dni. Punkty nabierały charakteru dużych obozów przejściowych, w których przebywali stłoczeni, nierzadko wystawieni na zimno i deszcz ludzie. Dowódców najbardziej niepokoił fakt pogarszania się warunków bezpieczeństwa; nieliczni żołnierze nie byli w stanie skutecznie zapobiegać uciecz-

kom. Wyciągając wnioski sformułowano postulat takiej regulacji *strumienia przepływu*, aby pobyt nie przedłużał się ponad 1–2, a zupełnie wyjątkowo 3 dni. Dziennie 200–250 osób miało opuszczać punkt zborny i udawać się na stację załadowczą.

Transport między punktem zbornym a stacją załadowczą również nie przebiegał bez zakłóceń. Wcześniej zakładano, że osoby starsze, chore, kobiety z małymi dziećmi oraz mienie będzie się przewozić samochodami wojskowymi. Jednak najczęściej formowano pieszą kolumnę wszystkich przesiedleńców, która pod konwojem udawała się na stację. Niekiedy wymagano, by odległość 30–40 km przebywać bez odpoczynku! Zalecane w instrukcjach tworzenie punktów pośrednich przy tak znacznych dystansach nie zawsze dochodziło do skutku.

Choć formalnie punktem załadowczym kierowała osoba wyznaczona przez PUR, to za wszystkie sprawy związane z bezpieczeństwem wysiedlanych, organizacją zaopatrzenia, transportem kolejowym i jego ochroną odpowiadał wojskowy komendant stacji załadowczej wraz ze swym zastępcą ds. polityczno-wychowawczych. To komendant przyjmował kolejne grupy, kontrolował zgodność imiennego wykazu ze stanem faktycznym i w obecności przedstawiciela PUR-u potwierdzał przybycie partii przesiedleńców. Spisy dostarczane na punkt załadowania miały być zaopatrzone w dokonany na pułkowym punkcie zbornym podział na kategorie. Zaliczenie do kategorii „A” oznaczało, iż zastrzeżenia wysunął Urząd Bezpieczeństwa, do grupy „B” – zwiad wojskowy, do „C” – „aktyw” działający wśród ludności na punkcie zbornym. Jeśli żaden z powyższych „czynników” nie zgłosił negatywnych uwag, daną osobę czy rodzinę traktowano jako „pewną”. Kierując się tymi informacjami ustalano skład rodzin do poszczególnych transportów. Urzędnicy PUR-u wystawiali zaświadczenia zawierające adnotacje na temat mienia zabranego oraz ilości pozostawionej ziemi, budynków i inwenta-

rza ruchomego. Dane te miały posłużyć do późniejszego przyznania gospodarstwa odpowiedniej wielkości na nowym miejscu osiedlenia i wyznaczenia wysokości ekwiwalentu za pozostawione dobra.

Do zadań PUR-u należało zapewnienie pomocy sanitarnej, żywnościowej i prowizorycznego schronienia. Z zachowanych materiałów dowiadujemy się jednak, jak dalece rzeczywistość odbiegała od postulowanego obrazu. Określona dzienna norma żywnościowa w zasadzie nigdzie nie była wydawana. Na większości stacji przesiedlani otrzymywali wyżywienie dopiero w chwili znalezienia się w pociągu, z przeznaczeniem *na drogę*. W rezultacie doniesień inspektorów apelujących o natychmiastowe zwiększanie przydziałów sytuacja zwykle poprawiała się, ale nie osiągnęła trwale stanu zadowalającego. Niektórym kierownikom udawało się zapewnić stosunkowo dobre wyżywienie: gorące posiłki (norma przewidywała po trzy dziennie przez cały czas pobytu na stacji), większe racje na podróż, specjalne dodatki dla dzieci. Miewało to duże znaczenie, bowiem oczekiwanie na wyjazd często się przedłużało i braki żywności stawały się coraz dokuczliwsze. Warunki sanitarne również pozostawiały wiele do życzenia. Co prawda wszędzie powstały punkty medyczne, ale brakowało podstawowych lekarstw i środków higienicznych. A na niedobór pacjentów nie narzekano. Zdarzały się porody, poważne interwencje chirurgiczne, odnotowano przypadki chorób zakaźnych. Poza tym niektórzy od lat cierpieli na poważne schorzenia i forsowna podróż połączona z napięciami emocjonalnymi mogła wpływać na pogarszanie się stanu ich zdrowia. W dokumentach znajdujemy informacje o przypadkach zgonów – głównie dzieci i osób starszych – na różnych etapach wysiedlenia. Przyczyny nie są podawane.

Gdźieniedzie wykazywano pewną troskliwość o przesiedlanych. Oprócz rozlokowania wszystkich w namiotach starano się zapewnić lepsze warunki choćby najbardziej wrażliwym na wszelkie niedogodności. Jeśli

wielkość dostaw na to pozwalała, przydzielano najuboższym rodzinom po kilkadziesiąt kilogramów zboża, ziemniaków, znikome ilości mydła, świec i innych towarów.

Czasami oczekiwanie na pociąg trwało kilka, a nawet kilkanaście dni. Nie odgrywał tu większej roli czas załadowania, gdyż wynosił on z reguły parę godzin. Podstawową przeszkodą okazał się brak wagonów i lokomotyw, a bywało, że i skompletowanie składu nie oznaczało końca kłopotów – defekty techniczne zatrzymywały wysłużone maszyny gdzieś na trasie na kilka dni. Poza tym podróże wydłużały i czyniły ją bardziej uciążliwą zatory w węzłowych punktach. Niektóre pociągi potrzebowały dwóch tygodni na dotarcie do celu! W tych realiach szczególnie istotnego znaczenia nabierały warunki podróży.

Normy przewidywały tworzenie transportów złożonych z około 40 wagonów krytych i 10 platform. Przeciennie miały one pomieścić po mniej więcej 300 osób (dwie rodziny na jeden wagon), 120 sztuk inwentarza i około 30 wozów. Zwykle jednak pociągi odchodziły przeładowane – ludzi umieszczano wraz ze zwierzętami, czasami w nieprawdopodobnym tłoku. I tak np. 4 maja odszedł z Sanoka pociąg z 897 osobami (31 wagonów). W jednym z wagonów ulokowano wyłącznie matki z dziećmi – razem 95 osób!

Do fizycznych niewygód dołączała udręka psychiczna. Nie należały do sporadycznych przypadki rozdzielania rodzin (wytyczne kategorycznie zabraniały podobnych praktyk), zatrzymywanie przez UB tych, którzy wydali się podejrzani.

Do każdego transportu przydzielano co najmniej 18-osobową eskortę. Na wybranych postojach (mniejsze stacje, oddalone tory i bocznice) ludność miała być przez cały czas pilnowana. Nie dopuszczano do kontaktowania się przesiedleńców z osobami z zewnątrz, na noc – po sprawdzeniu list – zamykano wszystkich w wagonach.

Dowódca konwoju zabierał ze sobą dwie zalakowane koperty. Znajdujące się w jednej z nich nazwy punktu przeadresowania i końcowej stacji rozdzielczej rozstrzygały o kierunku jazdy (stacjami rozdzielczymi były Szczecinek i Olsztyn, a od 23 maja także Poznań i Wrocław). W drugiej kopercie umieszczano wskazówki dla kierownika punktu rozdzielczego, dzięki którym dowiadywał się on, czy rodziny z danego transportu można osiedlać w niewielkich grupach czy wyłącznie pojedynczo. Po przybyciu do celu opiekę nad nowo przybyłymi przejmowały władze lokalne. One organizowały rozwożenie osadników do wyznaczonych miejsc osiedlenia i zapoznawały z warunkami, w jakich przyszło im dalej żyć.

Stosunek stron do akcji „W”

Kwestią, której nie sposób pominąć, jest stosunek wysiedlających do wysiedlanych i odwrotnie.

Od początku oficerowie polityczno-wychowawczy pracowali nad ukształtowaniem świadomości przesiedleńców. Indywidualne rozmowy, gawędy i prelekcje na wiecach prowadzono przede wszystkim w miejscu wysiedlenia, ale kontynuowano je aż do chwili przybycia na stację docelową. Usiłowano przekonać ludzi, że wysiedlenie wynika wyłącznie z obawy o ich los i nawet domagano się wdzięczności podkreślając, jak wielkie środki finansowe państwo musi zaangażować chcąc zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom. Podkreślano, że wszyscy zostaną otoczeni opieką zarówno podczas akcji jak i po przybyciu na miejsce osiedlenia. Przyłączone do Polski tereny opisywano niemalże jako ziemię obiecaną, na której od dawna już panuje spokój, a dobrobyt jest łatwy do osiągnięcia. Nie wydaje się, aby te obietnice przekonywały zbyt wielu, ale nad wątpliwościami i nieskorym do podporządkowania się wisiąca groźba uznania za bandytów. Z reguły więc większość postępowała zgodnie z oczekiwaniami władz, ale bez zrozu-

mienia dla deklarowanych przez nie szlachetnych intencji.

Nie szczędzono również wysiłków, by wyrobić odpowiednią postawę polityczno-moralną u żołnierzy biorących udział w akcji. W materiałach przeznaczonych do użytku propagandzistów bez trudu zauważamy jednak pewną ambiwalencję. Z jednej strony w sposób zdecydowany tendencyjny zapoznaje się żołnierzy z historią UPA i w konkluzji domaga bezwzględności wobec *walczących band* i wszystkiego, co jest z nimi związane, z drugiej zaś – ustawicznie się powtarza, że przesiedlani są obywatelami państwa polskiego, a samo wysiedlenie nie ma charakteru pacyfikacji. W efekcie odnosi się wrażenie, iż władze nie potrafią ostatecznie ustalić, czy wszystkich Ukraińców zaliczyć do wrogów, czy nie. Chociaż interes polityczny nakazuje wprowadzenie ostrego podziału na zaangażowaną mniejszość – która zostanie wyklęta – i pozostałych, w stosunku do których najrozsądniejsze jest wyważone i przemyślane postępowanie, to nieufność, wydaje się, przeważa. Ponieważ jest nieprawdopodobne zdemaskowanie każdego współdziałającego z UPA, podejrzanymi, niepewnymi i kłopotliwymi stają się automatycznie wszyscy. Żołnierze – pomimo wyjaśnień – nie zawsze widzieli bądź chcieli widzieć różnicę między UPA a pozostałą ludnością ukraińską. Takie postrzeganie nie odpowiadało władzom, które dążyły do sprawnego, szybkiego i bezkonfliktowego przeprowadzenia akcji. Zmiana niechętnego nastawienia bezpośrednich wykonawców była niezbędna: to oni mieli dbać, by wysiedlani zabierali jak najwięcej ze swego dobytku, zapewniać im bezpieczeństwo, udzielać pomocy i dobrych rad. Praca propagandowa nie przyniosła rewelacyjnych rezultatów. Mnożyły się doniesienia o grabieżach, dewastacjach, pobićciach, grubiańskim zachowaniu. Czasami ofiarami chciwości i brutalności żołnierzy padali także Polacy.

Daleki od poprawności stosunek do ludności, choć rzecz jasna naganny etycznie, staje się w pewnej mierze

wytlumaczalny w kategoriach psychologicznych. Żołnierze działali w atmosferze permanentnego zagrożenia, ustawicznie uczulano ich na możliwość pojawienia się niebezpieczeństwa w miejscu i momencie najmniej przez nich oczekiwanym. Ostrożność, podejrzliwość i czujność zwiększały szanse przetrwania. Z napiętą uwagą przysłuchiwano się rozmowom, obserwowano, kto z kim utrzymuje kontakt, czy aby nikt nie spiskuje. Punkty zborne i stacje ogradzano, wystawiano posterunki. Miało to ułatwić ewentualną obronę, ale również izolację przesiedlanych, po których – jak się sugeruje – nie należy się spodziewać niczego dobrego.

Sprawozdawcy z satysfakcją pisali, że – przy pozorach obojętności – ludność polska solidaryzuje się ze stanowiskiem władz, co więcej – krytykuje je jako zbyt umiarkowane i niewspółmiernie łagodne w zestawieniu z krzywdami wyrządzonymi przez Ukraińców. Postawy jednoznacznie wysiedlanym nieprzyjacielem możemy umieścić na jednym biegunie dość szerokiej skali. Wyznacznikiem drugiego niech będą protesty Polaków sprzeciwiających się przesiedleńczemu aspektowi akcji. Generalnie niekorzystnie – z punktu widzenia władz – odnosiła się do przemieszczenia miejscowa inteligencja polska. Większość ludzi reagowała instynktownie, nie obejmowała całej złożoności sytuacji. Dla *kleru i nauczycielstwa* sprawa miewała szerszy wymiar polityczny i głębszy moralny. Niewykluczone, że właśnie dlatego wciąż powracają skargi na *polskich reakcjonistów*, którzy wspomagają podziemie, ukrywają znajomych i przyjaciół Ukraińców, wykazują szczególną niechęć do opowiedzenia się po „właściwej” stronie.

Nastawienie ogółu Polaków zależało od kształtu wzajemnych odniesień w każdej z osobna miejscowości. Osobiste przeżycia, pamięć o konkretnych wydarzeniach z przeszłości rzutowały na globalną ocenę. Nawet poparcie zasadniczo udzielane władzom nie musiało stać w sprzeczności ze współczuciem dla sąsiadów. Ci żyjący obok mogli być postrzegani jako – przynajmniej

w jakimś stopniu – „swoi”; jednakowo znużeni i wpłątani w wydarzenia dziejące się ponad i poza zwykłymi ludźmi. Strach, poczucie bezsiły, wspólnota w zagrożeniu zbliżają, chociaż nie wiemy, jak często zwyciężały wtedy nad podziałami.

W porównaniu ze wstępnymi założeniami akcja „W” nadmiernie się przedłużała. 8 VI 1947 r. Biuro Polityczne podjęło decyzję o prowadzeniu działań aż do całkowitego wysiedlenia ludności ukraińskiej i współpracującej z UPA oraz rozgromienia „band”. Przekonanie, iż nie można dopuścić, aby operację wymagającą ogromnego wysiłku organizacyjnego i kosztów trzeba było powtarzać, zaowocowało wydaniem 6 lipca przez sztab GO rozkazu polecającego tworzenie wszędzie tam, gdzie akcję zakończono lub gdzie dobiegała ona końca, tzw. Grup Kontrolnych sprawdzających, czy wszyscy podlegający wysiedleniu faktycznie wyjechali. W przypadku wykrycia osób pominiętych w spisach albo ukrywających się oddział miał je dostarczyć na najbliższą stację załadowczą. Natomiast w rozkazie z 16 lipca zajęto się falą samowolnych powrotów podejmowanych zazwyczaj w celu zebrania pługów. Uznano, iż tolerowanie tego typu zachowań umożliwi Ukraińcom odnawianie dawnych struktur konspiracyjnych. Powracających traktowano bez wyjątku jako potencjalnych agentów i przekazywano UB, które z kolei odsyłało ich do obozu w Jaworznie.

Mimo oficjalnego oznajmienia, że *raz na zawsze oczyszczono tereny południowo-wschodnie z elementu wrogiego demokratycznej rzeczywistości Polski i ostatecznie usunięto bazę społeczno-gospodarczą, na której mogły się rozwijać faszystowskie bandy UPA*¹, nie zaprzestano penetracji terenu wiedząc, iż jakiejś części ludności ukraińskiej udało się pozostać. Po rozwiązaniu 31 VII 1947 r. GO „Wisła” jej zadania w pomniejszonym wymiarze przejęły niewielkie grupy operacyjne wyłaniane z jednostek stale stacjonujących w tym regionie kraju.

Mniej więcej do połowy czerwca akcję zakończono w powiatach: Lesko, Sanok, Przemyśl, Jarosław, Lubaczów, Jasło, Krosno, Gorlice (woj. rzeszowskie). Następnie operacyjny środek ciężkości przemieścił się na Lubelszczyznę (głównie powiaty Tomaszów Lubelski i Hrubieszów) i skrawek woj. krakowskiego (powiaty Nowy Sącz i Nowy Targ). Ponadto przesiedlenie przeprowadzano w powiatach: Rzeszów, Łańcut, Przeworsk (rzeszowskie), a także Włodawa, Chełm, Zamość, Białogoraj, Krasnystaw, Lubartów i Biała Podlaska (lubelskie). Do 31 lipca wyekspediowano ponad 430 transportów z nieco ponad 140 tys. osób. Rzeszowszczyznę opuściło około 96 tys. osób, lubelskie – około 45 tys. Mniejsze grupy wyjeżdżały na Ziemie Odzyskane do października 1947 r., a pojedyncze osoby do stycznia 1948, dlatego też powyższy szacunek nie może być ostateczny. Końcowym akordem akcji „W” stało się wysiedlenie 32 rodzin z powiatu Nowy Targ jeszcze między styczniem a kwietniem 1950 r.

Polemika na temat politycznego sensu akcji „Wisła” jest utrudniona z tej prostej przyczyny, że realizacja jednego z możliwych wariantów nie daje już szansy sprawdzenia pozostałych. Nie ulega natomiast wątpliwości, iż akcja stanowiła pogwałcenie ogólnie obowiązujących norm moralnych. Odmówienie komukolwiek prawa do stosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej – tak zrozumiałe w świetle wojennych doświadczeń – zdarzyło się z kolejnym jej wykorzystaniem: w Polsce, w 2 lata po zakończeniu wojny. Niezależnie od intencji przesiedleniu towarzyszyła przemoc, poniżanie godności ludzkiej. O losach tysięcy ludzi zdecydowano wbrew ich woli, rozbito lokalne społeczności, pokolenia Ukraińców pozbawiono „małej ojczyzny”, zaś nas wszystkich zubożono o oryginalną i ubogającą kulturę pogranicza.

⁷ CAW, zespół 9 DP IV.310.09.79, *Rozkaz operacyjny nr 0011, 22 VII 1947*, k. 263.

Le transfert de la population ukrainienne vers les territoires recouvrés en 1947

Des documents d'archives à l'appui (archives des forces armées), l'auteur décrit le programme „Wisła” (Vistule), soit le transfert par les pouvoirs publics polonais communistes, des Ukrainiens du sud-est de la Pologne, vers les territoires de l'ouest et du nord, sous le prétexte de démantèlement de l'Armée Ukrainienne Insurrectionnelle. Il est hors de doute que l'application de ce pro-

gramme fut un acte d'arbitraire en violation des normes morales universellement admises: c'est contre le gré d'une communauté qu'on a décidé de son sort, en privant par ailleurs la Pologne d'une culture populaire originale et féconde de la zone frontalière. Ce texte est l'un des premiers à évoquer en Pologne le programme en question.

ks. Alfons Skowronek

Nasi bracia w sektach – konstruktywne wyzwanie dla Kościoła*

Nie ulega wątpliwości fakt, że sekty stanowią dla Kościoła – i to nie tylko katolickiego – jedną z najpoważniejszych „prowokacji” naszych dni. „Wyzwanie duszpasterskie” – to podtytuł raportu Stolicy Apostolskiej ogłoszonego 30 X 1958 r. na podstawie 75 wypowiedzi krajowych konferencji episkopatów świata¹.

Wstępnie można sformułować alternatywne pytanie: Czego ludzie szukają w sektach, względnie czego nie potrafią znaleźć w swym własnym Kościele, od którego się odwracają? Pytanie to spróbujemy oświetlić w trzech podejściach, analizując wpierw treść pojęcia sekty, następnie fenomen „atrakcyjności” sekt oraz niektóre z duszpasterskich zadań stojących przed Kościołem w obliczu prężnych sekt.

Sekta – co to jest?

Z góry pragniemy zaznaczyć, iż daleka jest nam myśl nazywania po imieniu jakiegoś konkretnego związku religijnego sektą. Uważny czytelnik niniejszych spostrzeżeń niechby w tej kwestii wyrobił sobie swe własne zdanie. Z sektami katolik nie tyle bowiem będzie polemizował, ile dążył do nawiązania z nimi jakże trud-

* Tekst odczytu wygłoszonego 5 XI 1991 r. wobec grona nauczycieli w Poznaniu.

¹ Pełna nazwa tego dokumentu: *Sekty albo nowe ruchy religijne. Wyzwanie duszpasterskie*, „Wiadomości Diecezjalne”, Katowice 1986, nr 10, s. 13–28. Raport ten został wspólnie opublikowany przez cztery watykańskie dykasterie: Sekretariat ds. Jedności Chrześcijan, Sekretariat dla Niechrześcijan, Sekretariat dla Niewierzących oraz Papieską Radę ds. Kultury.

nego dialogu. Zaczniemy więc od pozytywów związanych z samym słowem „sekta”.

Członek sekty to przecież, w większości przypadków, chrześcijanin, brat w Chrystusie. W związku z katastrofalnym potępieniem przez Kościół katolicki i spalaniem na stosie Jana Husa pisałem był: *Nasze Kościoły chrześcijańskie również i niekatolickie – nazbyt często ulegały pokuse zapominania o tym, że osoba głosząca częstokroć tylko pozornie sprzeczne z wiarą poglądy jest chrześcijaninem. Często zbyt pochopnie koncentrowano się na samym błędzie nie dostrzegając, że heretyk ogromną wagę przywiązuje do swej egzystencji chrześcijanina. Niejeden heretyk uważa, iż jakiejś prawdzie Kościoła katolickiego musi przeczyć z nakazu swego sumienia, a nieraz nawet z miłości do Chrystusa. Heretycy w żadnym wypadku nie muszą być ludźmi bezbożnymi. Przeciwnie, odznaczają się płomienną miłością do Chrystusa, czego „prawowierni” tak często próbowali im odmawiać².*

Niezmierznie interesująca jest sama etymologia słowa „sekta”. Zwolennicy jego źródłosłowu od łacińskiego „secare”: „odcinać”, „odrąbywać”, tak wyjaśniają to słowo: *sekta to grupa religijna, która oderwała się od któregoś z wielkich Kościołów panujących (...) ODLAM wyznaniowy jakiejś religii; grupa społeczna IZOLUJĄCA SIĘ od reszty społeczeństwa (...) silnie akcentująca rolę przywódcy³.* Język kościelny i teologiczny na określenie „oderwania się” i „odłamu” używa tymczasem terminu „schizma”⁴, nie sekta. W znaczeniu na wskroś pozytywnym słowo „sekta” wywodzi się od czasownika łacińskiego „sequi”: „pójść za kimś”, „naśladować”, czyli pielęgnować wspólnotę z jakimś „mistrzem”. Już w tym miejscu nasuwa się ostrzeżenie, ażeby przed pomówieniem konkretnej sekty o nietolerancję lojalnie postawić sobie pytanie, czy aby wymienione znaczenie pozytywne nie odnosi się także do samego Kościoła katolickiego.

I rzeczywiście, fenomen sekty chrześcijaństwu bynajmniej nie jest obcy. Św. Paweł został postawiony

w stan oskarżenia przed prokuratorem Feliksem, gdyż *jest przywódcą sekty nazarejczyków, szerzy zarazę i wzbudza niepokoje wśród wszystkich Żydów na świecie* (Dz 24,5; por. 24,14 i 28,22). Teolog francuski Jean Duchesne powie bez ogródek: *Wspólnotę wiary cechuje paradoksalny charakter. Może ona wykazywać podobieństwo do sekty lub, jeszcze gorzej, do istniejącej akumulacji sekt, której nie sposób sprowadzić do wspólnego mianownika. Różnica staje się widoczna najpierw w relacjach między Żydami a chrześcijanami*⁵. Autor posuwa się jeszcze dalej, gdy twierdzi, że podobna różnorodność panuje wśród samych chrześcijan łączących się w jedno z Chrystusem za pośrednictwem najprzeróżniejszych rodzajów modlitwy. Barwne to zróżnicowanie sięga niezliczonych szkół teologicznych, specyficznych, a nawet odrębnych duchowości, zakonów i zgromadzeń zakonnych; wymienione rozwarstwienie idzie wreszcie w poprzek bogatego życia diecezji, których biskupi łączą się w następcy Piotra jako w swym punkcie zworNIKOWYM. Ostatnio mówi się nawet coraz częściej o ekumenii między „sektami“ katolickimi⁶.

Ten w zasadzie pozytywny rzut oka na sekty jest raczej spojrzeniem z ubocza na zagadnienie. Trudno bowiem nie zgodzić się z faktem, iż słowo „sekte“ ma dzisiaj znaczenie wybitnie negatywne, a nawet jest przyjmowane jako określenie obraźliwe, o czym świadczą szczególnie takie pochodne tego terminu, jak „sek-

² A. Skowronek, *Jan Hus. Rehabilitacja reformatora czy reforma Kościoła?* „Jednota“ 1991, nr 4, s. 15.

³ M. Szymczak (red.), *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1989, t. III, s. 193.

⁴ Precyzyjnie oddaje rzecz nowy *Kodeks prawa kanonicznego*; „HEREZJA nazywa się uporczywe, po przyjęciu chrztu, zaprzeczanie jakiegokolwiek prawdziwego, w którą należy wierzyć wiarą boską i katolicką, albo uporczywe powątpiewanie o niej; APOSTAZJA – całkowite porzucenie wiary chrześcijańskiej, SCHIZMA – odmowę uznania zwierzchnictwa Biskupa Rzymskiego lub utrzymywania wspólnoty z członkami Kościoła, uznającymi to zwierzchnictwo“ (kan. 751).

⁵ *Eine Kirche der Sekten?* „Internationale katholische Zeitschrift“ 1991, s. 129.

⁶ Dz. cyt., s. 129, 133.

ciarz“, „sekcjarstwo“ czy „sekcjarski“. Ze względu na te właśnie pejoratywne treści wymieniony dokument watykański zauważa, iż *być może lepsze byłyby określenia neutralne, takie jak „nowe ruchy religijne“, „nowe grupy religijne“* (1,1). W dalszym swym wykładzie jednak i Rzym posługuje się terminem „sekty“. Przyjrzyjmy się zatem potocznemu i w świadomości wielu ludzi zakodowanemu znaczeniu pojęcia sekty, a tradycyjnie kojarzącemu się z kacerstwem, herezją, nowinkarstwem itp.

Ścisła definicja sekty nie istnieje. W jej skład wchodzi obydwa wskazane wyżej elementy: „oddzielenie się“ („secare“) od jednego z trzech wielkich Kościołów (katolicyzmu, prawosławia lub protestantyzmu), jak i „pójście za“ („sequi“) określonym nauczycielem. Operatywny opis sekty mógłby brzmieć następująco: Wspólnota, która z chrześcijańskim przekazem wiary łączy istotne dla siebie pozabiblijne źródła prawdy i Objawienia i z reguły odrzuca wszelki ekumeniczny dialog⁷.

Jako cechy dla sekt najbardziej typowe wymienia się przede wszystkim: a) wybujałą świadomość wybraństwa, w myśl której tylko członkowie danej sekty osiągnąć mogą wieczne zbawienie, z tego wynika radykalizm i fanatyzm sekt; b) indywidualistyczne i fundamentalistyczne rozumienie Biblii, izolujące poszczególne passusy Biblii z kontekstu i odrzucające wszelki urząd nauczycielski Kościoła; obok Pisma Świętego, często nawet ponad nie, jest stawiane piśmiennictwo założyciela sekty; c) radykalne dystansowanie się od Kościołów, szczególnie od Kościoła katolickiego i zapiekła wręcz wrogość w stosunku do papieżstwa⁸.

Sekty to wspólnoty bardzo młode. Liczą sobie niewiele ponad sto lat, większość z nich setki jeszcze nie przekroczyła. Z czego powstaje ich niemała popularność, a nawet sukcesy w pozyskiwaniu członków? – oto pytanie, jakie zadają sobie Kościoły macierzyste tracące wielu wiernych zaczynających zasilać szeregi sekt.

Co oferują sekty?

Tak sformułowaniem pytaniem instrukcja rzymska otwiera spory rozdział poświęcony analizie rozprzestrzeniania się tych ruchów i grup. Zwróćmy uwagę na niektóre z nich.

Osoby, które odeszły, względnie przeszły do którejś z owych grup, często wyznają spontanicznie i z ulgą, że tam znalazły schronienie. Oto centralny aspekt sekt – oferują ludziom ciepło domu rodzinnego. W społeczeństwie ery przedprzemysłowej przytulne gniazdo rodzinne z większym lub mniejszym powodzeniem wiązało rodzinę, kiedy to pod jednym dachem mieszkali i współżyli z sobą nieraz i trzy pokolenia. Bywało nierzadko, iż rodzina stanowiła maleńkie samowystarczalne państwo o ściśle wyznaczonej roli dla każdego z jej członków. Tę funkcję przejmują dziś, jak się zdaje, sekty. Nawet Kościół nie jest w stanie zaoferować swoim wiernym tak niezmałowanej oazy. Członkowie „wspólnoty” parafialnej zwykli identyfikować się z nią tylko częściowo i funkcjonalnie i tak też są traktowani przez duszpasterzy: jako przychodzący (lub nie) w niedzielę na mszę św., jako przynoszący swe dzieci do chrztu, przyjmujący sakramenty, jako pogrążeni w żałobie i proszący o religijną posługę; prawie nigdy nie są natomiast przygarniani i akceptowani w całościowym wymiarze ich osobowości. Z głęboko ludzką akceptacją i afirmacją spotykają się nasi wierni częstokroć dopiero z chwilą przystąpienia do sekty. Bez osłonek i z zadziwiającym realizmem szkicuje sytuację raport rzymski: *Struktury wielu wspólnot uległy zniszczeniu, tradycyjne sposoby życia załamały się, rozpadły się środowiska domowe. Ludzie czują się wykorzenieni i samotni; stąd potrzeba przynależności (...) Sekty zdają się oferować; ludzkie ciepło, opiekę i wsparcie w niewielkich i silnych wspólno-*

⁷ Por. *Ökumene-Lexikon*, Frankfurt a. M. 1983, s. 1082.

⁸ Por. Z. Renker, *Unsere Brüder in den Sekten. Die Zeugen Jehovas*, Limburg 1963, s. 11.

tach; wspólny cel i koleżeństwo; uwagę okazywaną każdej jednostce; ochronę i bezpieczeństwo, zwłaszcza w sytuacjach krytycznych; resocjalizację jednostek wyrzuconych na margines (na przykład rozwiedzionych lub imigrantów), grupę, która często zastępuje jednostkę w myśleniu (nr 2).

Inny element przyciągania sekt to żarliwe przeżywanie religijności w głębi serca członka danej grupy, a także religijności przeżywanej przez współbraci tejże grupy. Nowi adepci sekt podnoszą nietradycyjalność i bezszablonowość odprawianych w ich środowisku nabożeństw. Są ujęci grzecznościowymi formami obcowania z sobą, współbrata o wszystko można zapytać, tematy tabu nie istnieją i – co najważniejsze – pytający, jak się zdaje, otrzymują konkretne, nie budzące wątpliwości odpowiedzi. Ta okoliczność szczególnie ujmuje ludzi młodych, szamoczących się z sobą i poszukujących życiowego ideału; w sekcie wystarczy wyciągnąć dłoń po rozwiązania gotowe, nośne i stabilne. Wszystko to żywo i jaskrawo kontrastuje z tym, co rozgrywa się w dzisiejszym społeczeństwie. Albowiem tutaj liczy się już tylko człowiek mogący zaoferować określone uzdolnienia i stawiający je do dyspozycji w zamian za odpowiednie wynagrodzenie. W sprawnie funkcjonującym przedsiębiorstwie nawet do dobrego tonu należy nieporuszanie problemów z zakresu życia osobistego, rodzinnego czy religijnego⁹. I znów celna diagnostyczna uwaga Rzymu: *Sekty zdają się tutaj oferować; proste, gotowe odpowiedzi na skomplikowane pytania i sytuacje; uproszczone i częściowe wersje tradycyjnych prawd i wartości; pragmatyczną teologię, teologię sukcesu, synkretyczną teologię proponowaną jako nowe „objawienie”, „nowa prawda” ludziom często mającym niewielkie pojęcie o „starej” prawdzie; wyraźne dyrektywy postępowania; przekonanie o swej moralnej wyższości; dowody o charakterze nadnaturalnym; glossolalia, trans, mediumizm, prorokowanie, opętanie itp. (nr 2,1,2).*

Pozytywnym aspektem sekt jest oprócz tego szczerze zatroskanie o autentyczną prawdość życia, wypowiedze-

nie zdecydowanej walki rozziewowi między nauczaniem a codziennym życiem. Do pozytywów należy także zaliczyć postawę, iż w kwestii osobistego stylu życia członkowie sekt nie idą na żadne kompromisy, nie pakują też z żadną władzą świecką, np. celem uzyskania ze strony państwa ewentualnych korzyści. Trudno tać, że właśnie wielkie Kościoły nieraz zawierały porozumienia i kompromisy ze skompromitowaną władzą świecką – sławetne przymierze tronu i ołtarza. Owo radykalne osobiste zaangażowanie połączone z silną więzią i oddaniem się sekcie – to elementy, które powinny wprawić Kościół katolicki w głęboką zadumę. Jednostki, które w swoich parafiach były nie zauważane i ginęły w bezkształtnej masie wielotysięcznej parafii, ci sami ludzie – po przejściu do sekty – jednym rzutem czują się przemieszczeni w samo epicentrum życia nowej grupy: stają się apostołami, misjonarzami ewangelizującymi po domach i w obliczu nowej wspólnoty zdającymi sprawę ze swej systematycznie prowadzonej akcji misyjnej.

Pora jednak stwierdzić, iż nie wszystko, co dzieje się w sektach, zasługuje na ocenę pozytywną. Cytowany tu już kilkakrotnie raport watykański podkreśla, iż zjawisko sekt *należy traktować nie tyle jako zagrożenie dla Kościoła (aczkolwiek wielu respondentów za problem dużej wagi uważa agresywny prozelityzm niektórych sekt), lecz raczej jako wyzwanie duszpasterskie* rzucone Kościołowi (nr 1,6). O rzeczonym wyzwaniu *duszpasterskim* sekt wypadnie jeszcze mówić osobno. Tutaj chcemy jednak wskazać na kilka wcale nieiluzorycznych niebezpieczeństw związanych z niezwykle ożywioną aktywnością sekt; napomyka o tym zresztą, w nawiasie, cytowane właśnie zdanie dokumentu rzymskiego.

Główne niebezpieczeństwo sekt kryje się w ich sekciarskim nastawieniu – zamykają się mianowicie wobec wydarzeń świata zewnętrznego. Izolacja taka daje wpraw-

⁹ Por. S. van Calster, *Menschen ohne Zuhause*, „Internationale katholische Zeitschrift“ 1991, s. 159.

dzie członkom sekty poczucie, iż znajdują schronienie i azyl, mieści jednak w sobie jednocześnie cały pakiet nie rozwiązanych problemów, które wcześniej lub później ze wzmożoną siłą boleśnie dają o sobie znać. I tak członkowie danej grupy religijnej w podwójny sposób zostają hermetycznie odizolowani od aktualnej rzeczywistości; z jednej strony zrywają wszelką więź z rodziną zakłócając równocześnie sieć stosunków z ludźmi, którzy nie dzielą ich przekonań. Można by tu relacjonować wypowiedzi rodziców, którzy utracili swe dzieci zaanektowane przez określoną sektę. Na dodatek członkom sekty zostaje zabroniona wszelka forma uczestniczenia w badaniach naukowych i w rozwoju kultury. Centrum zainteresowania i elitarnego nastawienia nie jest zbiorowość i wspólnota międzyludzkiego „my“, cała uwaga skupia się na własnym subiektywnym „ja“. W ten sposób społeczna integracja sekt z góry staje się przedsięwzięciem skazanym na fiasko. Nie biorąc udziału w wartkim prądzie przemian społecznych, nie mogą tym samym wywierać wpływu na kształtowanie tegoż społeczeństwa¹⁰.

Inne zagrożenie dla zdrowego życia religijnego sprrowadza się do istnej nieraz żądzy i pogoni za religijnym przeżyciem. Sam brałem niedawno udział w tzw. misji namiotowej w Niemczech („Zeltmission“) zorganizowanej przez pewną sektę na obrzeżach wielkiego miasta. Przez dwa tygodnie prowadzono szeroko zakrojoną misję. W wielkim namiocie zgromadziła się o godz. 20 garstka ludzi, około 20 osób, prawdopodobnie członków owej grupy. Powiedziano nam, iż zazwyczaj namiot jest pełny. Zaraz u wejścia zostaliśmy (byłem w towarzystwie osoby świeckiej, której zapronowałem, by mi towarzyszyła) nad wyraz serdecznie przywitani, wręczono nam Biblię, śpiewnik i stos ulotek. Dość niepewnym krokiem zmierzaliśmy po karmazynowym dywanie, by usiąść raczej w tylnej partii krzeseł. Wzrok przyciągała scena z pulpitem dla kaznodziei, obok imponujący zestaw mikrofonów i urządzeń nagłaśnia-

jących, z instrumentów w oczy rzucały się pomoce perkusyjne, gitara i nowoczesny keyboard. Po długich a głośnych przygrywkach i songach „brat kaznodzieja” wygłosił płomienną mowę naszpikowaną wersetami z Biblii zawieszonymi w próżni, z której wynikało, iż ludzie żyją w królestwie szatana i muszą swe życie przekazać Bogu, by wejść do królestwa Bożego. Ważne przy tym są nie uczynki, lecz określony styl życia. Od tradycyjnego Kościoła kaznodzieja się odzegnał. Piekło wyobrażał sobie w obrazach właściwych średniowieczu. W czasie tej wstrząsającej filipiki obecni bezustannie wertowali swe Biblie, ścigając każdy cytat padający z ust mówcy i podkreślając go. Pod koniec zaś wcale nie złotousty kaznodzieja powiedział mniej więcej tak: *Mam jeszcze coś na sercu, czego chciałbym się pozbyć. Jeżeli dzisiaj znajduje się wśród nas ktoś, kto jest tutaj po raz pierwszy (tu mógł mieć na myśli tylko nas) i który czuje, iż te słowa odnoszą się do niego, niech teraz powstanie, niech podojdzie do przodu i odda się Bogu. Gmina będzie się za niego modliła. Wiem, że to sprawa trudna, ale człowiek ma w swoim życiu tylko dwa lub trzy razy taką szansę.*

Ciągle od nowa zapraszał do wejścia na proscenium, nigdy jednak bezpośrednio do nas się nie zwracając. Gdy opuszczaliśmy namiot, zapanowało między mną i moim towarzyszem zrazu długie milczenie, które wreszcie przerwałem pytaniem: *No i co ty na to?* Bezustannie i do granic wytrzymałości krzesane iskry, mające w słuchaczach rozplomienić żar emocji i przeżyć, zrobiły swoje i wprawiły także mnie w sytuację zastanowienia. Indagowany odpowiedział: *Mimo iż całość zrobiła na mnie wrażenie raczej niekorzystne, w pewnym momencie odczułem potrzebę, by rzeczywiście powstać. Obawiałem się, że moje nogi bezwolnie zostaną wprawione w ruch.* Nieznużone naleganie kaznodziei trwało około pięciu minut, aż wreszcie zrezygnował rzucając uwagę, iż ten,

¹⁰ Por. tamże, s. 162.

którego ma na myśli, do tego kroku prawdopodobnie jeszcze nie dojrzał. Mój towarzysz dorzucił: *Muszę wyznać, iż w tym momencie ogarnął mnie prawdziwy lęk. W duchu jąłem zapytywać siebie, czy aby Bóg rzeczywiście dziś do mnie nie przemówił, a ja Mu się oparłem.*

Temat naszej rozmowy się zmienił, przekształcając się w katolicki, wewnątrzkościelny, rachunek sumienia. Ale o tym później. Tutaj jeszcze raz sięgnijmy obficie do naszego rzymskiego vademecum po sektach, które technikę i metody stosowane przez sekty nazywa *bombardowaniem miłością*, połączeniem serdeczności i podstępem: *Wymienić tu należy następujące elementy:*

- *delikatny proces wprowadzania konwertyty i stopniowe uświadamianie sobie przez niego, kto jest prawdziwym gospodarzem,*

- *technika nacisku: „bombardowanie miłością“, oferta „bezpłatnego posiłku w międzynarodowym centrum przyjaźni“, technika flirtu (prostytucja jako metoda werbowania),*

- *wmuszanie niemal przemocą gotowych odpowiedzi i decyzji w nowo zwerbowanych (...)*

- *pochlebstwo,*

- *rozdawanie pieniędzy, leków (...)*

- *utrzymywanie nowo zwerbowanych w ciągłej aktywności, niepozostawianie ich nigdy samych: ciągłe napominanie i szkolenie mające doprowadzić ich do stanu duchowej egzaltacji, zmienionej świadomości i automatycznego podporządkowania się poleceniom, likwidowanie oporu i negacji, reagowanie na strach w taki sposób, że rodzi to jeszcze większy strach,*

- *silne skoncentrowanie się na osobie przywódcy; niektóre sekty mogą nawet degradować rolę Chrystusa na korzyść swego założyciela (w wypadku kilku „sekt chrześcijańskich“) (2,2).*

Niepokojem musi napawać wyspecjalizowana technika zdobywania członków. Na ulicach miast i na dworcach często rzucają się w oczy afisze o prelekcjach, których tytuły umiejętnie celują w jakieś bardzo kon-

kretnie egzystencjalne zapotrzebowanie przechodnia: z reguły brak jednak wizytówki zapraszającej na wykład grupy. Nie wiadomo, kto zaprasza, a temat jest ciekawy. Haczyk do połknięcia zostaje rzucony dopiero na własnych terytorialnych wodach sekty.

Decydujące zagrożenie sekt ogniskuje się jednak w tym, iż ostatecznie pozostawiają człowieka sobie samemu, ponieważ w rzeczywistości liczy się tylko sukces. Niejednokrotnie dzieje się to na skutek rozbicia się sekty na nowe odłamy, ponieważ powiększona liczba członków prowadzi do walki o przywództwo nad ugrupowaniem. Nie uleczony, w dalszym ciągu zdepresjonowany, nie pocieszony brat zostaje po prostu wyproszony („Ty nie masz prawdziwej wiary“), lub odchodzi sam w osamotnienie i w rozpacz. Wcale przy tym nie bywa tak, iż w następstwie przeżytego w sekcie nieszczęścia samorzutnie kieruje swe kroki prosto do Kościoła, który przed laty opuścił; w wielu przypadkach nie powraca w ogóle – do tego stopnia wypalone i zniszczone bez reszty zostało jego życie religijne. Ex-członkowie sekty żyją ponadto pod ciśnieniem strachu, iż po powrocie do Kościoła czeka ich tam potępienie przez prawowierną gminę.

Kościół w krzywym zwierciadle sekt

Stanowisko Kościoła wobec fenomenu sekt najogólniej będzie się koncentrować wokół tego wszystkiego, co – jak wyżej w skrócie ukazaliśmy – czyni sekty ugrupowaniami atrakcyjnymi. Wierni przechodzą do tych zrzeszeń religijnych najczęściej dlatego, iż we własnym Kościele nie znajdują tego, co przyobiecują im sekty. Wymieńmy – znów li tylko wrywkowo – aktywności, jakie powinny być rozbudzane w naszych Kościołach.

Zagrożenie dla naszych parafii sprowadza się nie tylko do wykruszania się członków z tzw. prawego, czyli konserwatywnego skrzydła, ponieważ wspólnota

parafialna nie ma im niczego do zaoferowania. W ilu polskich parafiach funkcjonują wzorcowe kręgi biblijne lub przynajmniej okresowa oferta aktywnego pochylenia się nad Biblią (np. doroczna niedziela biblijna)? Za taką pracę w zespole biblijnym rozglądają się m.in. wymienieni sfrustrowani członkowie sekt biblijnych, wśród ogromnych obciążeń psychologicznych usiłujący nawiązać utracony kontakt ze swym Kościołem macierzystym.

Z drugiej strony sekty biblijne bezlitośnie obnażają deficyty życia religijnego naszych parafii. Wymieńmy przykładowo kilka z nich. Poza pracę w zespołach biblijnych i swobodnie kształtowanym nabożeństwem sekty umiejętnie próbują zaspokajać wiele innych potrzeb człowieka, i to takich, o jakie nasze parafie najczęściej w ogóle nie zabiegają.

Na pierwszym miejscu należy wymienić MAŁE GRUPY. My tymczasem ciągle jeszcze stawiamy na wielkie liczby. Nasze wielkomiejskie parafie-giganty ze wznoszonymi na naszych oczach kościołami-monumentami, w których poza odprawianiem mszy św. w trybie non-stop często nie dzieje się właściwie nic. Energii księży bez reszty pochłania nauczanie religii w szkole. Prężność życia parafialnego zwykliśmy mierzyć przeciętną uczestniczących w niedzielnej mszy św. Jednostka i jej osobiste potrzeby nie wchodzi w rachubę. Wierni bardzo często nie znają nawet nazwiska swego proboszcza – rzecz w sektach nie do pomyślenia!

BLISKOŚĆ I ATMOSFERA ZAUFANIA. Trzeba przyznać, iż nasze nabożeństwa cechuje raczej atmosfera wyobcowania i ciężąca jak ołów rutyna. Dla ilustracji wskażmy bodaj tylko na bezprzykładowy upadek śpiewu w naszych kościołach: rozpanoszył się dysonans rażący wszelki zmysł religijny – intonowane pieśni, najczęściej nie mają żadnego związku z liturgiczną myślą przewodnią niedzieli. Towarzyszyłem pewnego razu gościowi z zagranicy w mszy św. w jednej z naszych świątyń. Po opuszczeniu domu Bożego nie znająca języka polskiego osoba oświadczyła, iż czuje się jakoś zawie-

dziona brakiem komunikacji między ołtarzem a wiernymi wypełniającymi wielką świątynię: książki-śpiewnika nie dzierżył w ręku nikt, śpiew nieproporcjonalnie słaby do liczby wiernych, na pozdrowienia i wezwania celebransa lud nieomal nie reagował. Nic dziwnego, iż wobec ziejącej w naszych kościołach nudy wielu bezszelstnie przestaje do nich uczęszczać.

SERDECZNOŚĆ I CIEPŁO. Uczestniczący w niedzielnym nabożeństwie z reguły się nie znają. Uniemożliwia to z góry masowość naszego duszpasterstwa. Problemem staje się już sama wymiana znaku pokoju w czasie mszy św.: rzekomo nie licujące z powagą liturgii podanie sobie ręki zastąpiono nijakim skinieniem głowy pod kątem nachylenia tak minimalnym, iż spojrzenie drugiemu w oczy jest zgoła niemożliwe. Cóż stałoby na przeszkodzie, by wymienić prawdziwy „pocałunek pokoju“, nawet w policzek! Po mszy św. wierni szybko i w pojedynkę rozchodzą się do swych domów; na postanie chwilę przed kościołem nie ma nawet czasu ni miejsca, gdyż uformowała się tam tymczasem kolejna fala parafian oczekujących na następną mszę św.

DUCHOWOŚĆ I MISTYKA. Trudno nie zauważyć, iż w wielu parafiach nabożeństwa przebiegają w reżyserii nieomal doskonałej. Bywają lepiej przygotowane niż dawniej; przyczyniają się do tego wyszkoleni lektorzy, dobry organista i wokalna schola. A jednak daje się zauważyć brak określonych treści wewnętrznych. Prawdziwe i żywe przepowiadanie Ewangelii albo nie ma miejsca (któż zliczy czytane w polskich kościołach listy, odezwy i komunikaty – z reguły wypierające homilię celebransa!) albo też kazanie rzeczywiście głoszone nie dociera do słuchaczy. Ryt pozostaje chłodny, niezrozumiały, powierzchowny. Aklamacja: *W górę serca!*, zawisa w powietrzu, „doświadczenie Boga“ pozostaje pustą łuską. Znane i ciągle cytowane jest zdanie wielkiego Karla Rahnera o sytuacji dzisiejszego chrześcijaństwa: *Chrześcijaństwo stanęło się mistykami albo chrześcijaństwa nie będzie w ogóle.*

KLAROWNE ŻĄDANIA. Wbrew wszelkim moralizującym apelom, jakie w naszych Kościołach ciągle jeszcze mają przewagę nad wyzwajającą siłą Dobrej Nowiny, chrześcijanie czują się w twardej rzeczywistości swego życia pozostawieni sobie samym. Topnieje nie tylko siła kościelnych autorytetów, z ambony udziela się nie tylko „odpowiedzi na pytania, jakich nikt nie formułuje“; nasze wskazania moralne obracają się gdzieś po peryferiach prawdziwego życia, zdecydowane i niedwuznaczne żądania, jako owoce Kazania na Górze, należą raczej do wielkiej rzadkości albo też zostają tak podmyte i rozcieńczone, iż w najlepszym przypadku służyć mogą jedynie pobożnemu zbudowaniu. Jak ocenić sprawowanie niedzielnej mszy św. dla dzieci w godzinie tzw. szczytu, gdy kościół w 90% wypełniają dorośli, wątle kazanie kierowane jest tymczasem do znikomej grupki dziatwy? Czyż należy się dziwić dorosłym, że na te kazania uczęszczają raczej chętnie, bo nie zobowiązują ich one przecież do niczego?

Powie ktoś, iż malowany jest tutaj obraz w kolorach nazbyt przyćmionych. Wrywkowo zartykułowane spostrzeżenia są jednak zaledwie lekkim wstępem i komentarzem do znanego nam już raportu watykańskiego na temat sekt. Jest to dokument wnikliwy i operujący językiem raczej niewyszlifowanym. W swej części trzeciej postuluję ni mniej, ni więcej:

- **POSZUKIWANIE W KOŚCIELE NOWYCH STRUKTUR WSPÓLNOT PARAFIALNYCH;** należy po prostu gruntownie zrewidować tradycyjne formy duszpasterzowania;

- **USTAWICZNE SZKOLENIE** osób odpowiedzialnych za głoszenie słowa Bożego i pracujących w katechizacji;

- **CIĄGŁE WSPARCIE** udzielane ludziom tej grupy w zakresie pogłębiania ich własnej wiary; „stara prawda“ wiary dla wielu dopiero ma się stać „prawdą nową“; Biblia musi być na nowo odkryta jako element budowania kościelnej wspólnoty;

- **KAZANIE I MODLITWA** nie mają się ograniczać do tradycyjnie przeznaczonych dla nich miejsc;

– a także wskazuje na DOTKLIWY BRAK KSIĘŻY względnie mężczyzn i kobiet mogących we wspólnocie kościelnej przejmować ważne funkcje przywódcze.

Mocna w swym wyrazie relacja Rzymu zasługuje na przedyskutowanie w gremiach złożonych z duszpastery i świeckich. Pod adresem tego otwartego dokumentu można bowiem wysunąć zastrzegające się pytanie, czy aby nie nazbyt pochopnie wyrusza on na poszukiwanie możliwych odpowiedzi duszpasterskich. Watykański raport w dużych partiach stanowi bowiem nie tyle prezentację fenomenu sekt i nowych ruchów religijnych, ile opisuje zapotrzebowania i życzenia, z którymi Kościół ma przecież do czynienia w swym własnym duszpasterskim dniu powszednim. Deficyty te w sumie mogą wprawdzie stanowić znaczący przyczynek do powstawania sekt, ale ostatecznie nie tłumaczą w sposób wystarczający religijnej subkultury pleniącej się na marginesie Kościoła i poza nim. Deficyty te są raczej WYRAZEM OGÓLNYCH A GŁĘBOKICH ZMIAN ZACHODZĄCYCH W SPOŁECZEŃSTWIE. Dlatego poszukiwanie przyczyn i ich analiza sięgają (także) obszarów pozakościelnych. Dzisiaj przeważa, zdaje się, raczej pewna bezradność w tej dziedzinie niż pewność, iż Kościół dysponuje w tej kwestii skutecznymi środkami zaradczymi.

Czego więc koniec końców niedostaje naszemu dzisiejszemu Kościołowi? Manko pewnie najważniejsze to zasadniczy brak wewnątrzkościelnego dialogu na te tematy. Zastanawia zjawisko, iż w naszej rzeczywistości tematem wręcz politycznym stała się aborcja, podczas gdy właściwie mało kto przejmuje się zagrożeniem na skalę nieproporcjonalnie większą, jakim jest „kolektywna aborcja” całej ludzkości na skutek nagromadzenia horrendalnych zapasów nuklearnej, biologicznej i chemicznej broni masowej zagłady. W pamiętnych trzech dniach sierpniowej grozy w Związku Radzieckim pułczyści wszelkimi sposobami usiłowali zawładnąć arsenałem broni masowego rażenia. Biskup brazylijski

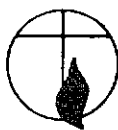
Aloisio Lorscheider rzuca retoryczne pytanie: *Dlaczego to chrześcijaństwo do głębi oburza się na pornografię w sferze seksualnej, głusi pozostając natomiast w obliczu najbardziej odrażającej „pornografii zinstytucjonalizowanej niesprawiedliwości”?*¹¹ Spytajmy raz jeszcze: Gdzie pozostaje szczerza i otwarta dyskusja na temat nękającego nasze Kościoły problemu sekt?!

¹¹ Por. K. Koch, *Sanfte oder harte Verschwörung?* „Diakonia“ 1987, s. 223.

Nos frères dans les sectes – un défi constructif pour l'Eglise

C'est dans le contexte du document vatican de 1985 sous le titre „Les sectes ou mouvements religieux nouveaux“ que l'auteur analyse ce phénomène si propre à notre temps qu'est l'épanouissement de différentes sectes, en rapportant l'ensemble du problème à la situation en Pologne. Il affirme que les insuffisances des Eglises chrétiennes (p.ex. des structures paroissiales périmées, le manque de prêtres et l'absence

d'une éducation permanente à l'intention de ceux-ci) peuvent favoriser la multiplication de sectes, sans pour autant expliquer suffisamment la floraison d'une subculture religieuse en périphérie de l'Eglise ou entièrement hors d'elle. C'est plutôt l'expression des changements généraux et profonds qui interviennent dans le corps social, et face auxquels l'Eglise est à court de remèdes efficaces.



Rzut oka na Wschód

Janusz Gazda

Kolos na pijanych nogach (II)

Ludowe powiedzonko głosi, że historia jest jak walec, który miażdży wszystko pod sobą. Ale wielkie wstrząsy historyczne są także rodzajem papierka lakmusowego, stwarzają okoliczności, w których człowiek musi dokonać trudnych wyborów. Dopiero suma tych wyborów i postaw daje pojęcie o stanie społeczeństwa.

Nie mylił się Zbigniew Podgórzec, tłumacz „Dzienników” Dostojewskiego, gdy w poniedziałek, pierwszego dnia puczu, żartował, że jego organizatorzy podejmowali decyzje, które miały wstrząsnąć wielkim Imperium, dobrze sobie wprzód wypiwszy. Gdybyż pili monopolową gorzałkę rosyjską albo samogon doniesiony z meliny przez partyjnego gońca, miałyby to koloryt lokalny, ale oni raczyli pić whisky. Mówił o tym marszałek Jazow podczas przesłuchania w areszcie śledczym, a zapis magnetowidowy zeznań jego, Kriuczkowa i Pawłowa, sporządzony wyłącznie do użytku organów sprawiedliwości, zdobyła w tajemniczy sposób redakcja niemieckiego tygodnika „Der Spiegel” i opublikowała w początkach października jego treść. Odkrywanie jednych tajemnic oznacza pojawianie się nowych, nie wiadomo bowiem, czy ten „przeciek” był prywatnym i ryzykanckim przedsięwzięciem jakiegoś urzędnika, który postanowił zarobić niezłą sumkę pieniędzy i to w dewizach, czy został dokonany z inspiracji, np. służb podległych prezydentowi ZSRR, aby zdementować ewentualne przypuszczenia o jego współpracy z puczystami, podkreślić jego męstwo, zaś ujawnieniem jednych „sekreto” ukryć istnienie sekretów najważ-

niejszych. Ponieważ śledztwo prowadzi prokuratura rosyjska, być może chodziło o jej skompromitowanie, aby można było jej to śledztwo odebrać. W każdym razie w pomieszczeniach, gdzie prowadzono przesłuchania, odkryto aparaty podsłuchowe założone przez KGB.

Zeznawał więc marszałek Jazow, że wieczorem w niedzielę, gdy zastanawiali się, co robić, *Janajew był już dość mocno pijany i w związku z tym dosyć wesoły. A Kriuczkow?* – chce wiedzieć sędzia śledczy – *czy on też był pijany?* – *I Pugo, i ja, i Kriuczkow* – mówi były minister obrony ZSRR, a zapytany o przyczynę choroby premiera Pawłowa wyjaśnia, że było to *nadużycie alkoholu*, że widział go kilka razy, zawsze *kompletnie zalanego*. Być może akcentowanie tych szczegółów miało na celu zbagatelizowanie całego zdarzenia nazywanego puczem i zasugerowanie, że to tylko taka pijacka *awantura* (tego właśnie słowa używa Jazow). Mimo tych intencji zeznania dają trafny wizerunek przywódców państwa radzieckiego, które poeta Josip Brodski określił jako *wytwór mentalności dydaktycznej i mściwej*. Pucz był łabędzim śpiewem tego państwa.

Kiedy wyprowadzili czołgi na ulice Moskwy, kiedy zorganizowali popis siły, aby stworzyć atmosferę strachu i w ten sposób zdusić w ludziach wszelką chęć buntu, pojawił się wielki problem-pytanie: Jak na to wszystko zareaguje społeczeństwo? Czy łabędziego śpiewu nie weźmie za ryk lwa? Przez ostatnich 70 lat (a w większości przypadków także dawniej, w Rosji rządzonej przez carów) zmiany na górze, przesunięcia w elicie władzy, zmiany kursu politycznego odbywały się bez udziału narodu, który w milczeniu przyjmował rezultaty przewrotów pałacowych. Jak zareaguje to społeczeństwo, które ciągle jeszcze było określane jako radzieckie (sowieckie), a przymiotnik ten nieodłącznie kojarzył się z nazwą *Homo sovieticus*, spopularyzowaną przez Aleksandra Zinowiewa? Jego napisana w 1982 r. powieść „*Homo sovieticus*” miała początkowo nosić podtytuł „Człowiek, który się boi”.

Oczywiście, nie było to już społeczeństwo Wielkiego Strachu lat trzydziestych, nie było to społeczeństwo Wielkiej Mobilizacji i sztucznego wywoływania entuzjazmu lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych ani społeczeństwo lat sześćdziesiątych, zadowolone z tego, że jest, jak jest, bo mogło być o wiele gorzej. Martwy był już także ideał głoszony przez jednego z bohaterów „Baśni o okręcie” Władimira Wojnowicza: *...nie dojść, lecz iść, nie zbudować, lecz ciągle budować, nie dopłynąć do końca, lecz płynąć i płynąć bez końca*. W 1989 r. nawet puczyści w swych manifestach nie odwoływali się do ideologii, która ich ukształtowała. Ale w społeczeństwie była jeszcze żywa pamięć i o Wielkim Strachu, i o Wielkim Entuzjazmie, którego owocem była jedynie gorycz. Takie społeczeństwo mogło mieć naturalną skłonność jedynie do inercji.

Niektórzy komentatorzy zwracali uwagę, że społeczeństwo nie krzyczało zbyt głośno w sprawach demokracji i wolności, najgłośniej domagało się *towarów i porządku*. Ludzie byli tak zmęczeni rozkładem państwa i chaosem, że mogli dać się skusić tym, którzy obiecywali, że porządek zaprowadzą. Mentalność imperialna była jeszcze żywa i nie przypadkiem pisarz Anatolij Strielanij rankiem pierwszego dnia puczu przypominał na falach radia „Swoboda”: *Mówilem wcześniej: groźny nie jest sam rozpad Imperium, groźne może być to, że naród zdecyduje się zbierać rozpadające się Imperium i bronić go*.

Na krótko przed puczem, z majowego numeru moskiewskiego miesięcznika „Tieatr”, z artykułu emigracyjnego pisarza Zinowija Zinika, wynotowałem uwagę na temat mentalności obywatela ZSRR: *Człowiek radziecki jest fatalistą: ciąży nad nim stale jakieś złe fatum, ponieważ nigdy nie potrafi niczego zmienić w swym życiu i uważa, że istniejący porządek jest wieczny. (...) Człowiek radziecki zawsze czuje się winny wobec doktryny partyjnej: albo dlatego, że nie popierał jej do ostatniej kropli krwi, albo dlatego, że nie przeciwstawiał*

się jej rodzeniu, w rezultacie czego została przelana krew niewinnych dzieci.

Tu nie się nie kończy

Zazwyczaj przy przewrotach i wprowadzaniu stanu wyjątkowego wojsko pojawia się na ulicach i zajmuje pozycje nocą lub o świcie, kiedy mrok nocny łagodniejsze szarością zbliżającego się poranku i sceneria nabiera miękkości, staje się trochę nierzeczywista, co ułatwia żołnierzom adaptowanie się do nowej dla nich sytuacji. Tym razem główne oddziały czołgów, wozów pancernych i ciężarówek z żołnierzami pojawiły się na ulicach Moskwy około godziny dziewiątej rano, wkraczały więc do normalnie już funkcjonującego miasta, czołgiści przez wizjery patrzyli na tłumy przechodniów, na kawalkady samochodów, na kursujące po głównych arteriach autobusy i trolejbusy. Musieli się czuć intruzami, jeśli nie byli na tyle pewni siebie, by z zadowoleniem odgrywać rolę zdobywców.

A trzeba sobie jeszcze uzmysłwić, że Moskwa wytwarza osobliwą aurę, której nie mają (przynajmniej w tym stopniu) inne stolice świata. Wjeżdżając do Paryża, Amsterdamu czy Rzymu nigdy nie myślałem o tym, że wjeżdżam do stolicy kraju, zawsze miałem poczucie, że wkraczam w jakiś świat niepowtarzalny sam w sobie, do miasta, które żyje przede wszystkim dla siebie. Podobno w czasach imperialnej potęgi Anglii najbardziej rzucającą się w oczy oznaką tego, że Londyn jest stolicą imperium, była nieprawdopodobnie duża liczba sklepów z towarami kolonialnymi. Stołeczność swego miasta londyńczycy odczuwali przez korzyści, jakie mogli z tego czerpać.

Moskwa jest bardziej ideą niż miastem. Zawsze gdy wjeżdżałem do Moskwy przez Leningradzkoje Szosse, gdy puste pole raptownie przechodziło w gigantyczne blokowiska mieszkalne (brak typowych dla innych miast dzielnic willowych), gdy przemierzałem później

taksówką moskiewskie dzielnice od Chimki-Chowrino po Nowyje Czeriomuszki, gdy mieszkając w hotelu „Rossija“ mijalem czerwone mury i czerwone gwiazdy Kremla i tłum przyjezdnych stojących w ponad kilometrowej kolejce do mauzoleum Lenina, gdy z oddali musiałem patrzeć na rozkraczone niby-wieżowce, siostrzane wizerunki warszawskiego Pałacu Kultury przypominające ozdobny tort urodzinowy na stole wielkoluda, czulem, że oglądam częśćkę lub symbol dziwnego, sztucznie spreparowanego organizmu, że jestem w stolicy czegoś bezkresnego i nie do pojęcia przez normalny rozum.

Nie wiem, czy wrażenie to stwarzał widok gigantycznych kamiennych wawozów-ulic, które nie powstały z myślą o wygodzie człowieka i w których nawet sklepy były jakby głęboko ukryte przed okiem przechodniów? Czy może mnogość archaicznych w kształcie, brudnych i rozklekotanych, warczących i brzęczących ciężarówek, które pędziły na złamanie karku przez Sadowoje Kolco lub nadrzecznymi bulwarami? A może wszystkie samochody, których kierowcy zasiadając za kierownicą nabierali poczucia, że nareszcie i oni mają trochę władzy i mogą okazać przewagę i siłę szczególnie na pasach dla pieszych? Bowiem dość powszechna tu była potrzeba sprawowania władzy nad kimś, chociażby najmniejszej, chociażby takiej, jaką przy stałym niedoborze towarów ma nad klientem sprzedawczyni sklepowa, która w kontakcie z kupującym rekompensuje sobie własne podporządkowanie komuś innemu. Może był to widok ciągle trwających ulicznych wykopów i płotów ogradzających jakieś budowy, co dawało wrażenie, że tu ciągle coś się zaczyna, ale nic się nigdy nie kończy? A może dysproporcja między tymi rozległymi przestrzeniami a ową kobieciną, umęczoną stanem w kolejkach, dźwigającą w obu rękach siatki z zakupami (awośki – od słowa „awoś“ czyli „a nuż“: a nuż coś się trafi w jakimś sklepie), kobieciną, która zapomniała słowa „przepraszam“ i przepycha się w tłumie pomagając sobie brzu-

chem niby dodatkową kończyną, co by świadczyło o pojawieniu się jakiejś nowej biologicznej mutacji Homo sapiens? A może jest to sprawa obecności Kremla, którego architektura zawsze będzie dla mnie symbolem niepodzielnej władzy panującej nad przestrzenią nie do ogarnięcia?

Inne skojarzenia niż cudzoziemiec mógł mieć żołnierz armii radzieckiej jadący w czołgu, ale jedno było na pewno wspólne. Jego także ani przez chwilę nie opuszczała świadomość, że znajduje się w samym sercu ogromnego kraju, w stolicy Imperium. Można by nawet zaryzykować powiedzenie, że za swymi plecami czuł ciśnienie tego ogromnego państwa imperialnego. Wjeżdżał do Moskwy w blasku białego dnia. To zupełnie co innego niż zająć pozycję nocą i czuć się już „zadomowionym“, „gospodarzem placówki“, zanim pojawia się pierwsi przechodnie.

Pora dnia jeszcze bardziej zwiększała obciążenie psychiczne żołnierzy. A byli to wszystko młodzi chłopcy i ich młodość, a nawet dziecięcość bijąca z ich twarzy kontrastowała z ciężarem, jaki zwalili na ich barki starcy ze szlifami generałów i marszałków. Operator telewizyjny zanotował pierwszego dnia puczu charakterystyczną scenkę o randze symbolu. Młody chłopak, spośród demonstrantów usiłujących zatrzymać wojsko, wskoczył na wolno jadący czołg i wyciąga młodego żołnierzyka z luku, tarmosi go, szarpie chcąc zrzucić na ziemię. Tamten nawet się nie broni, nie odpowiada agresją na agresję, z jakąś potulnością i przerażeniem trzyma się kurczowo luku najpierw rękoma, a potem już tylko nogami i wreszcie, z trudem, udaje mu się w nim zniknąć, być może dzięki pomocy kolegi-czołgisty, który pociągnął go z dołu za nogi. Właz zamyka się i to, co przez chwilę miało dramatyczne oblicze ludzkie, zamienia się znów w masę z chrzęstem toczącego się żelastwa. W późniejszych relacjach nie mówiło się o tym, w jak potwornym stresie musieli być także żołnierze. Aż dziw, że w ciągu owych trzech dni doszło tylko

raz do strzelaniny, w której padli zabici (trzech). Owe trzy dni to był czas wielkich stresów.

Twarze telewizji

Jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się o zamierzonej akcji, był szef radia i telewizji Krawczenko. W nocy, gdy właśnie kładł się spać, wezwano go telefonicznie do gmachu KC na Placu Starym. Kiedy jesienią ubiegłego roku obejmował swe stanowisko, oświadczył zespołowi, że postawił go tu Gorbaczow, aby zapewnić wypełnianie jego poleceń. Teraz jechał nocnymi ulicami Moskwy, by spełniać polecenia tych, którzy Gorbaczowa odsunęli od władzy. Po trzech dniach, gdy zostanie zdjęty przez Jelcyna, powie do swego współpracownika: *I widzisz, w jaką wpadłem kabałę. Z powodu ośmiu tajdaków cierpieć będą teraz ludzie uczciwi.*

Naczelny redaktor programów informacyjnych został obudzony przez szefa o 1.30. Zaczęło się kompletowanie ekipy, by można było nadać zarządzenia komitetu stanu wyjątkowego o godzinie 6.00 rano w radio i o 6.30 w telewizji. Jedną z lektorek, gdy zatelefonowano do niej, wywnioskowała, że szykuje się coś podejrzanego, znalazła więc w domu butelkę wódki i gdy przyjechał po nią samochód, była już w stanie, który uniemożliwiał wykonywanie obowiązków służbowych.

Około godziny czwartej redaktor zobaczył przez okno swego gabinetu, że na oświetlony placyk przed gmach – jak opowiedział później dziennikarce Irinie Piotrowskiej („Ogoniok“, nr 38) – *zajechały samochody ciężarowe i pod naszymi oknami rozpoczęło się kino. (...) Z samochodów zgrabnie zeskakiwali dziarscy chłopcy w pełnym uzbrojeniu, w hełmach i kamizelkach kuloodpornych, biegiem otaczali gmach blokując wszystkie wejścia i wyjścia. Scenę tę redaktor określił jako nieprzyjemną. Trudno było zrozumieć, czy jesteśmy aresztowani, czy dano nam ochronę. Siedzący u redaktora szef telewizji milczał, był w środku cały roztrzęsiony, a ten jego*

stan udzielał się także spikerom. Żołnierze w gmachu telewizji zachowywali się dość spokojnie, przychodzili do baru, płacili – wszyscy – nowiutkimi pięćdziesięciurubłówkami. Na pytanie, jak długo pozostaną w gmachu telewizji, jeden odpowiedział: zaopatrzone nas na piętnaście dni. Zabawiali się po swojemu: w nowych fińskich windach uderzeniem palca tłukli delikatne sensorowe włączniki.

Nadzwyczajne wydarzenia jednych czynią bohaterami, nie zawsze zresztą zasłużenie, a innych pograżają w błoto. Z dzienników wieczornych moskiewskiej telewizji tamtych dni zapamiętałem dwie dramatycznie różne twarze dwóch młodych dziennikarzy. Jedna to była układna, gładka twarz dziennikarza tyleż elokwentnego, ile – jak się wydawało – dyspozycyjnego, dbającego zawsze o to, aby jego komentarze były zgodne z oficjalnie obowiązującą linią i jednocześnie miały pieprzyk pozornej ostrości. Druga to była wymęczona twarz człowieka z podkrążonymi oczyma, który, gdy pojawił się przed kamerą we wtorek wieczorem, sprawiał wrażenie, jakby go przedtem bito i dręczono. Pierwszy w poniedziałek po południu nagrał krótką scenkę z barykady i wmontował w nią migawkę z Jelcynem na czołgu, co nadane w dzienniku funkcjonowało jak wezwanie do oporu. Drugi wygłosił komentarz potępiający Jelcyna za wzywanie do buntu przeciwko komitetowi stanu wyjątkowego, czyli ludziom zajmującym najwyższe stanowiska w państwie i powołanym na te stanowiska przez parlament. Pierwszy ryzykował niewiele, bowiem nie ujawniał własnego stosunku do wydarzeń, a decyzję o puszczeniu jego materiału w eter podejmował nie on, lecz jego dwaj zwierzchnicy, którzy wzięli całą odpowiedzialność na siebie, gdy po dzienniku rozdzwoniły się telefony od oburzonych bonzów (m.in. dzwonił min. Pugo). Jego bezpośredniemu zwierzchnikowi przydzielono od tej pory jakiegoś pułkownika, który nie opuszczał go już nawet na krok. Drugi, wezwany przez szefa telewizji, uległ jego „rozkazowi“

licząc, że w tekście uda się przemycić coś własnego. Pół dnia pisał i poprawiał to, co mu szef wykreślał, i gdy pojawił się przed kamerą, wyglądał jak z krzyża zdjęty. Po klęsce puczu pierwszy triumfował i mógł nadal prowadzić dzienniki telewizyjne, drugi, zniknął z ekranu prawdopodobnie na zawsze. Nigdy nie będziemy wiedzieć, jak by się zachował ten pierwszy, gdyby to jego wezwał do siebie główny szef telewizji.

Jesteśmy lepsi

Jelena Bonner nie musiała dokonywać nowych, dramatycznych wyborów w dniach sierpniowych. Wdowa po Andrieju Sacharowie mimo swych 68 lat i schorowanego organizmu nie ustawała w aktywności, zaś niejeden młody człowiek mógłby jej pozazdrościć temperamentu i siły. Przed puczem była szczególnie zaangażowana w obronę Ormian karabachskich i ostrą krytykę hamującego reformy Gorbaczowa. *To jego obawy przed zmianami demokratycznymi doprowadziły do tego, co się stało* – powiedziała rankiem w poniedziałek, pierwszego dnia puczu, gdy zatelefonował do niej z Monachium dziennikarz radia „Swoboda”. To był pierwszy głos z Moskwy, który popłynął tego dnia na falach zagranicznych rozgłośni radiowych.

Głos Jeleny Bonner brzmiał dramatycznie, ale wyczuwało się w nim siłę spokoju, płynącą z przekonania, że puczystom nie wolno ustąpić. Jednakże i ona nie była pewna, jak się kto zachowa w tej sytuacji. *Myślę – mówiła przez telefon – że klasa robotnicza Kuzbasu, Uralu i innych ośrodków przemysłowych pierwsza się przebudzi i zareaguje. NIE LICZĘ NA INTELIGENCJĘ* (podkr. – J.G.). Na pytanie, jak zareagują zwolennicy reform, a szczególnie nowo upieczeni demokraci z ugrupowania byłych przywódców partyjnych Aleksandra Jakowlewa i Eduarda Szewardnadze, odpowiedziała: *Oni wszyscy odpoczywają. Są na urlopie lub na rybach. Dzwonię do nich od szóstej rano i wszędzie ta sama*

odpowiedź: nie ma ich w Moskwie. Ciekawe jest to powątpiewanie młodej demokracji w swą zdolność do oporu. Również Eduard Szewardnadze, skądinąd były szef KGB i były sekretarz partii w Gruzji, kiedy 8 miesięcy wcześniej przestrzegał przed nadchodzącą dyktaturą, tak samo powątpiewał w zdecydowanie opozycji. *Demokraci pochowali się w krzaki* – mówił wówczas. Rzeczywistość okazała się bardziej optymistyczna.

Jelena Bonner przez te trzy sierpniowe dni i noce niemal nie wychodziła z domu, siedziała sama – córka bowiem „dyżurowała” z przyjaciółmi pod Białym Domem – i odbierała telefony. Dzwoniono z całego świata. Tylko zdążyła odłożyć słuchawkę, kiedy rozległ się następny dzwonek. Choć przez ostatnie lata pani Bonner udzielała mnóstwa wywiadów, to jednak chyba przez całe życie nie udzieliła ich tyle, ile w ciągu trzech nocy i dni przewrotu.

Napisze o tym w tygodniku „Ogoniok” (nr 37): *Z uporem krzyczałam na Zachód: „Nie spieszcie się z ich uznaniem. Rebeliancki pucz nie może się udać!” Za każdym razem oznaki zdziwienia i kontrpytanie: „Skąd pani pewność i jak długo ten pucz potrwa?” – „Co za różnica – trzy dni czy trzy miesiące, i tak się skończy fiaskiem, a to jest najistotniejsze”.* Mówiąc tak w duchu zadawała sobie samej pytanie: *Czy aby potrafimy poderwać kraj do trzymiesięcznego strajku?* Swoje wypowiedzi z pierwszego dnia oceni później: *Prymitywniejszych wywiadów nie udzielałam nigdy w życiu. Główny akcent na zwycięstwo! Poza tym same hasła. Niemal dosłowna kalka z „Wróg nie przejdzie. Zwycięzimy!” A jakimiż to słowami ich nie obrzucałam! Przestraszona tłumaczka z Rzymu załamującym się głosem spytała: „Jelena Gieorgijewna, to także tłumaczyć?” Prawie na nią ryknęłam: „Oczywiście!”*

A we wtorek w południe, drugiego dnia puczu, ubrana na czarno niby wieszczka-żałobnica, przemawiała Jelena Bonner swym niskim, z męską brzmiającym głosem do ludzi zgromadzonych pod Białym Domem: *Los*

wszystkich rewolucji, wszystkich puczów zawsze rozstrzygał się w stolicach. Dzisiaj Moskwa, dzisiaj moskwiczanie powinni udowodnić, czy są godni miana mieszkańców stolicy, czy też są bydłem, które potrzebuje tylko kawałka kielbasy serdelowej za osiem pawłowskich rubli. Wzywam to miasto, które tak bezgranicznie kocham. Mogłam mieszkać w Waszyngtonie, w Bostonie i jeden diabeł wie gdzie, ale ja chcę mieszkać właśnie w tym mieście, w moim mieście (burza oklasków). Nie oddamy Moskwy, nie oddamy naszej wspólnej przyszłości Ormian, Azerbejdżan, Litwinów i wszystkich innych! Wszystko pozostałe to nieporozumienie. Musimy zmiażdżyć (unicztożyć) tę szajkę!... Tu pani Bonner zorientowała się, że zbyt uległa własnemu uniesieniu, więc natychmiast się opanowała: Broń nas Panie Boże, zmiażdżyć nie w tym sensie, żeby przelewać krew, żeby do naszej tragicznej historii dodawać jeszcze jedną Rumunię. Nie! Jednakże oni nie mogą być nad nami. Jesteśmy więksi, jesteśmy lepsi, jesteśmy czystszy i jest nas wielu. Dziękuję (burza oklasków).

Perspektywa Rodzianki

Rosjanie mieszkający stale zagranicą, przeważnie potomkowie tych, którzy opuścili Rosję tuż po rewolucji październikowej, przyjechali do Moskwy na swój pierwszy zjazd, a w poniedziałek rano udali się do Soboru Uspeńskiego na nabożeństwo celebrowane specjalnie dla nich przez patriarchę Aleksego II. Trudno stwierdzić, czy ktokolwiek z nich spostrzegł, że w liturgii została wprowadzona drobna zmiana, która miała być zmianą wielce znaczącą. Patriarcha nie wypowiedział mianowicie tradycyjnych słów błogosławieństwa dla władzy i żołnierzy, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że nie popiera tych, którzy wprowadzili stan wyjątkowy. Od głowy rosyjskiego Kościoła prawosławnego oczekiwano zajęcia wyraźniejszego stanowiska, jednakże Aleksey II, który w grudniu podpisał, razem

z dowódcą wojsk specjalnych MSW i innymi zwolennikami silnej władzy imperialnej, list 53 deputowanych domagający się wprowadzenia bezpośrednich rządów prezydenta ZSRR w republikach, teraz nie spieszył się. Pierwsze oświadczenie o zaistniałej sytuacji wydał dopiero na początku trzeciego dnia puczu, w środę o godz. 1.30 w nocy, godzinę po tym, jak pod Białym Domem padli trzech zabici.

Każdy, kto podnosi broń na bliźniego swego, przeciwno ludziom bezbronnym – pisał patriarcha Wsieja Rusi – bierze na swoje sumienie najcięższy grzech, stawiający go poza Kościołem, poza Bogiem. (...) Przestrzegam wszystkich rodaków: Kościół nie daje błogosławieństwa, nie może dać błogosławieństwa bezprawiu, przemocy i przelewowi krwi. Zwracam się z prośbą do was wszystkich, najdrożsi, zróbcie wszystko, aby nie rozgorzał płomień wojny bratobójczej. Opamiętajcie się! Zwracam się z prośbą do żołnierzy i ich dowódców, aby nie zapominali, że ceny za ludzkie życie nie może ustalać ani płacić nikt... Oświadczenie nie osądzało samego puczu, lecz jedynie będący jego rezultatem rozlew krwi. A i tak mogło dotrzeć do ludzi najwcześniejszej w środę w dzień, więc wtedy, gdy wojsko zostało już wycofane z ulic Moskwy i jasna była przegrana puczystów.

Rankiem w poniedziałek Kościół prawosławny nie błogosławił puczystów, ale też ich nie potępiał. Uczestnicy nabożeństwa w Soborze Uspeńskim, a wielu z nich znalazło się w Moskwie po raz pierwszy, gdyż urodzili się już na emigracji, wychodząc na Plac Czerwony zobaczyło kordon czołgów otaczających Kreml. Na ludzi wychowanych zagranicą ten pierwszy poranek na ojczyściej ziemi musiał sprawić rzeczywiście szokujące wrażenie. Był wśród nich także stary biskup emigracyjny, o twarzy jakby osadzonej w ramce bujnych siwych włosów i takiejże brody sięgającej do ramion i klatki piersiowej – wnuk Michaiła Rodzianki, od 1911 r. przewodniczącego rosyjskiej Dumy. Miał umówiony wywiad w telewizji, więc nie zrażając się widokiem

czołgów na Placu Czerwonym, sądząc widocznie, iż nie mają one wpływu na normalne działanie instytucji kupczącej informacjami, pojechał do rozgłośni telewizyjnej, ale ją także otaczały już czołgi i żołnierze nie wpuszczali nikogo do środka. 19 VIII 1991 r. wnuk oglądał prawie to samo, co jego dziad przeżył 25 X 1917 r.

W tym samym czasie Nina Chruszczow, wnuczka niedysiejszego szefa radzieckiej partii komunistycznej, przez 11 lat sprawującego władzę w ZSRR, przebywała w USA. Wydarzenia w Moskwie mogła śledzić jedynie przez radio i telewizję amerykańską. Już po puczu powie w studio nowojorskim radia „Swoboda“, że bardzo żałuje, iż nie mogła być wtedy w kraju i nie mogła razem z innymi, ze swymi przyjaciółmi, *wspólnie się bać, a później radować*. Wypowie także kilka krytycznych słów pod adresem komunistów stwierdzając, iż najbardziej odpychające jest w nich to, że *każdy komunista to człowiek, dla którego najważniejsza jest ideologia, że całkowicie podporządkowuje się ideologii*. Inna potomkini Nikity Chruszczowa, jego prawnuczka, była widziana w dniach puczu pod Białym Domem, jak trzymała nad głową duży napis: *Dołoj KPSS!* (Precz z Komunistyczną Partią Związku Radzieckiego). Żadna z nich nie próbowała spojrzeć na wydarzenia oczyma swego zasłużonego dla komunizmu antenata, chociaż został on przecież odsunięty od władzy w 1964 r. w podobny sposób jak teraz Gorbaczow, tyle że skutecznie. To podobieństwo mogło zachęcać do porównań, ale prawie nikt już nie miał na nie ochoty. W dniach sierpniowych odchodził w przeszłość mocno do niedawna zakorzeniony sposób oglądania historii przez pryzmat działaczy komunistycznych. Coraz powszechniejsze stawało się oglądanie jej z perspektywy takich ludzi, jak Michaił Rodzianko.

Droga do Sankt Petersburga

W dniach sierpniowych do lamusa trafiało wiele dotychczasowych symboli, zmartwychwstawały sym-

bole inne, dawniejsze, jak ta flaga trójkolorowa, używana już w XVII w., a przez rewolucję październikową zastąpiona czerwonym sztandarem; pojawiały się symbole nowe. Jedne nazwiska i postacie odchodziły w przeszłość i zapomnienie, inne nabierały blasku, oświetlone jaskrawym światłem historii. Ludzie skupieni od pewnego czasu wokół Jelcyna okazali się lojalni i aktywni. Dzięki wydarzeniom wyraziściej zarysowały się ich charaktery.

Aleksander Ruckoj, wasacz o fizjonomii polskiego szlachcica, wiceprezydent Rosji, który niegdyś dowodził w Afganistanie pułkiem lotniczym i wślawił się tym, że jego pułk był jedynym, który wyszedł stamtąd bez żadnej ofiary w ludziach, w dnach puczu organizował obronę obozu demokratycznego skupionego w Białym Domu. W środę, razem z premierem Rosji poleciał na Krym do Gorbaczowa. Powie o tym po powrocie: *Gdybyśmy wylądowali na Krymie o 20 min. wcześniej – zostalibyśmy rozstrzelani.*

Rusłan Chasbulatow, Czeczeniec, sprawujący jedynie obowiązki przewodniczącego parlamentu rosyjskiego, gdyż niecałe 2 miesiące wcześniej deputowani nie mieli do niego zaufania i nie obrali go na stanowisko przewodniczącego zwolnione przez Jelcyna (wybiorą go dopiero w 2 miesiące po puczu), doktor nauk ekonomicznych i prawa, który nie potrafił jednak uciec od prostego języka plebejskiego (*Oni, puczyści, mają rozum dinozaurów, nie potrafią rozeznąć się w rzeczywistości i naród zmiecie ich* – oświadczył dla radia „Swoboda”), był jedną z bardziej ruchliwych postaci tamtych dni.

Niektórzy na chwilę jakby tracili oddech, ale tylko na chwilę, jak Gawrił Popow, mer Moskwy, z pochodzenia Grek, który początkowo gdzieś zniknął, prawdopodobnie ukrył się przed ewentualnymi prześladowaniami puczystów, i pierwsze zarządzenia merostwa musiał podpisywać jego zastępca. Ale Popow dość szybko pojawił się z powrotem i swoją postawą sprawił, że wszyscy zapomnieli mu to początkowe zniknięcie. Inni

pod wpływem wydarzeń nabierali dodatkowej energii i pewności siebie, wykazując się jednocześnie zadziwiającą zręcznością, jak mer Leningradu Anatolij Sobczak, przyznający się do dziadka Polaka. Wyrósł w ciągu tych dni na drugiego po Jelcynie polityka rosyjskiego, o dużych, jak się wydaje, ambicjach na przyszłość.

Krytycznej nocy był w Moskwie. Raniutko obudził go telefon z Kazachstanu: dzięki różnicy czasu tam wcześniej dowiedziano się o przewrocie. Zdążył jeszcze zajechać do Jelcyna na dach, a wychodząc stamtąd zanotował w pamięci taki obrazek: Borys Jelcyn w kamizelce kuloodpornej żegna się przed wyjazdem do Białego Domu z córką, która mówi: *Tato, nie denerwuj się, teraz wszystko zależy tylko od ciebie*. Zanim doleciał do Leningradu, a samolot był dopiero za dwie i pół godziny, okazało się, że dowódca leningradzkiego okręgu wojskowego, gen. Samsonow, zdążył już wystąpić w telewizji oświadczając, że przejmuje całą władzę w mieście (zgodnie z poleceniem puczystów).

Po przylocie Sobczak skierował więc swe kroki najpierw do sztabu okręgu, do gen. Samsonowa. Na dole ochroniarz szefa leningradzkich komunistów triumfująco pokazał język ludziom Sobczaka. Ten zaś szedł śmiało do gabinetu generała, a zobaczywszy, że jest otwarty i pusty, jak nie ryknie na cały gmach: *Co za burdel! Gabinet dowódcy okręgu bez ochrony!* Przybiegł przerażony tym krzykiem podpułkownik, który w innej sytuacji w ogóle by mera nie wpuścił, ale teraz wyprężył się tylko na baczność. Sobczak krzyczy: *Zaprowadzić mnie do dowódcy!* więc oficer posłusznie prowadzi go tam, gdzie przewodzi naradzie z udziałem najwyższych wojskowych okręgu, szefa KGB oraz szefa komunistów Leningradu. Zgodnie z dekretemi stanu wyjątkowego oni są teraz najwyższą władzą miasta.

Sobczak opowiedział później tygodnikowi „Moskowskije Nowosti”: *Widzę, że są mocno speszzeni. Nie pozwalam im otworzyć ust. Wygłaszam całe przemówienie, przypominam o gen. Szapocznikowie, który w 1962 r. w*

Nowocerkasku odmówił strzelania do robotników (ten uśmiechający się stale generał i teraz odmówił posłuszeństwa puczystom, podobno postraszył ich nawet, że zbombarduje Kreml, a po upadku puczu został mianowany ministrem Obrony Narodowej – przyp. J.G.), *wyjaśniam, że z prawnego punktu widzenia są po prostu spiskowcami i jeśli któryś z nich chociażby kiwnie palcem, czeka go proces, jak zbrodniarzy wojennych w Norymberdze.* Gen. Samsonow zaczyna się wahać. Wieczorem mer wraz ze swym zastępcą, kontradmirałem Szczerbakowem, występuje w telewizji mówiąc o zamachowcach per byli (byli wicepremier, byli minister), nazywając ich obywatelami, co sprawia wrażenie, jakby siedzieli już na ławie oskarżonych. Tymczasem oni przez telefon naciskają na Samsonowa, krzyczą na niego, straszą go. Mer Leningradu używa dodatkowych argumentów: *Generale, czy nie widzi pan co to za miernoty, co za ludzie? Nie utrzymają władzy, nawet jeśli na chwilę uda się im ją zdobyć.* Generał daje słowo honoru, że cofnie zbliżające się do miasta czołgi i wozy pancerne.

A na ulicach w ciągu dnia odbywają się demonstracje przeciwko puczowi. Z inicjatywy władz miasta, ale także spontanicznie, formują się oddziały samoobrony. Ludzie barykadują trolejbusami ulice prowadzące do merostwa i rady miejskiej. Nazajutrz, we wtorek, o 10.00 rano na Placu Pałacowym zbierze się niemal całe miasto. Imponująco wyglądały pokazywane w telewizji nie kończące się tłumy obrońców demokracji, które wypełniały plac i wszystkie pobliskie ulice. Mieszkańcy Leningradu starali się zasłużyć na to, aby stać się mieszkańcami Sankt Petersburga. Wkrótce ta ostatnia nazwa zostanie uznana za oficjalną.

Demokracja i flaga św. Andrzeja

Moskwiczanie, którzy uznali, że trzeba protestować przeciwko wprowadzeniu stanu wyjątkowego, początkowo udawali się w kierunku Kremla. Mieli jeszcze

poczucie, że są obywatelami Związku Radzieckiego. Kreml był siedzibą jego władz, był także symbolem Imperium. Pierwsze demonstracje, organizowane przez Demokratyczną Rosję, odbywały się nie opodal kremlofskich murów – na Placu Maneżowym. Tam też po raz pierwszy łańcuch ludzi trzymających się za ręce zagroził drogę czołgom. Dopiero potem zaczęli iść pod Biały Dom, siedzibę władz Rosji. Ten okazały budynek z licznymi kolumnadami, architektonicznie przypominający kilkakrotnie powiększoną rezydencję gubernatora angielskiego w dawnych koloniach, malowniczo położony na wzniesieniu łagodnie opadającym ku rzece, był do niedawna symbolem radzieckiej fikcji. Bowiem tzw. władze Federacji Rosyjskiej, zanim przewodniczącym parlamentu, a później prezydentem Rosji został Borys Jelcyn, miały sens jedynie dekoracyjny i były całkowicie podporządkowane władzom ZSRR. Sam gmach do sierpnia 1991 r. nie budził w Rosjanach żadnych pozytywnych emocji.

Język rosyjski zna dwa różne słowa na określenie Rosjanina. Pierwsze to słowo „Russkij” i oznacza ono człowieka narodowości rosyjskiej. Drugie to słowo „Rossijanin”, do niedawna zapomniane, wskrzeszone parę lat temu przez Borysa Jelcyna i przez niego spopularyzowane. Oznacza ono człowieka, który czuje się obywatelem Rosji, utożsamia się z kulturą rosyjską niezależnie od swojej narodowości i pochodzenia etnicznego. Podczas pamiętnych dni sierpniowych ludzie zaczęli czuć się „Rossijanami”, a nie obywatelami ZSRR. I był to najważniejszy proces, który dokonał się wówczas pod Białym Domem.

Miało to nawet malowniczą otoczkę wizualną. Nie wiadomo skąd pojawili się ludzie ubrani w mundury rosyjskiej białej armii, gdzieś załopotał czarny sztandar rosyjskich anarchistów, jakiś chłopak paradował w papaszy na głowie, szarmancko uśmiechali się do operatorów filmowych Kozacy znad Donu, a jeden z nich miał przy pasie szablę atamańską. Gdzieś nawet mignął

czarny orzeł dwugłowy, chłopczyzna, który go trzymał, widział w nim pewnie raczej symbol nieznanej przeszłości niż symbol imperium. Wszystko to był oczywiście margines, ale przyjmowany przez zbiorowość z sympatią i zadowoleniem. Powszechnie były natomiast krzyże, ikony i trójkolorowe flagi, aż dziwił się człowiek, skąd oni wzięli w dobie kryzysu tyle materiału białego, niebieskiego i czerwonego. We wtorek „płynęła” ulicami Moskwy, wśród szpaleru tłumów stojących na chodniku, pięćdziesięciokilumetrowa wstęga-flaga, niesiona przez ponad setkę ludzi trzymających ją za krawędzie płótna. Po miesiącu wspominał uczestnik wiecu („Ogoniok”, nr 41): *Stałem tam i ciekły mi łzy. Choć żyję już 45 lat, po raz pierwszy poczułem się Rosjaninem (russkim) w Rosji.*

Rodziły się nastroje, które umożliwiały później, po puczu, urozmaicanie koncertów muzyki młodzieżowej pieśniami białogwardyjskimi lub stylizowanymi na nie. Zespół w mundurach z koalicijkami, w mundurach ni to białej armii, ni to radzieckich z czasów wojny, śpiewał o *Matuszce Rossiji: A za to, czto Rossiju obidili. Jemelian Pugaczow nie prostit.* Dziewczyna z długimi opadającymi na ramiona i piersi blond włosami, w jasnych bryczesach ze skórzaną wkładką na siedzeniu i po wewnętrznej stronie nogawek, w białogwardyjskiej oficerskiej bluzie śpiewając dodawała otuchy: *Gospoda, nasze wriemia priszło. Posmotritie, czto s Rossijej słucziloś. Jeszcze otciznu my nie proigrali. S nami Bog i Andriejewskij flag (Andriejewskij flag to błękitny krzyż św. Andrzeja na białym tle – dawna flaga rosyjskiej marynarki wojennej, a jednocześnie flaga następcy tronu, który tradycyjnie był dowódcą tej floty).*

Nastąpił wybuch rosyjskości. Nastąpiło to, czego od lat najbardziej się bano. Bała się tego duża część inteligencji w ZSRR. Bała się tego większość intelektualistów i polityków zachodnich (także polskich), zakochanych przecież w ponadnarodowym Imperium. Bali się niedawni „internacjonałisci”, którzy pospiesznie

przechrzcili się na „Europejczyków“. Bali się nie tylko dlatego, że pod wpływem propagandy płynącej przez 70 lat z Kremla utożsamiali rosyjskość jedynie z czarną sotnią, ale także dlatego, że wymyślili sobie nową utopię i w ich wyobrażeniach kategorie narodu powinny zniknąć raz na zawsze. Nie lubiano na świecie Jelcyna, bo był zwiastunem odżywającej Rosji i rosyjskości. Kochano Gorbaczowa, bowiem sprawiał wrażenie, iż przestudiował żurnale mód europejskich.

Tymczasem to, czego się bano, z czym wiązano najgorsze oczekiwania, dało ludziom siłę i wytrzymałość, połączyło ich w solidarnym odruchu oporu. *Na pierwszej barykadzie* – wspomina w „Tygodniku Powszechnym“ bibliotekarka z Polski – *przeczytałam, że znajduję się na terenie Rosji*. Plac przed Białym Domem nazwano placem Wolnej Rosji – w jednej nazwie połączyły się pojęcia: *wolność* i *Rosja*. Pod trójkolorową flagą rosyjską, która ponownie stała się oficjalną flagą państwową, jednoczyli się ludzie w obronie demokratycznych zasad. Rosyjskość w tych dniach była także synonimem demokracji. A w ludziach, nawet w tych, którzy przystroili się w mundury i odznaki wojskowe, nie było agresywności ni nienawiści.

Później zaczęto mówić, że ci, którzy manifestowali na ulicach, przychodzili pod Biały Dom – to była kropla w morzu w porównaniu z 10-milionową ludnością Moskwy i że ta kropla nie może stanowić podstawy do żadnych uogólnień. Ale przecież zwolennicy *zaprowadzenia porządku* nie wyszli na ulicę i nie demonstrowali swego poparcia dla puczystów. Nawet jeśli – jak chcą niektórzy – było ich aż 40%, to musieli niezbyt wierzyć w swe racje, skoro woleli pozostać w domach. Oblicza się („Ogoniok“, nr 41), że pod Białym Domem przewinęło się, łącznie z uczestnikami wieców, około 1,5 miliona osób. Nie jest to mało – 15%. Taki jest na ogół odsetek ludzi aktywnych w społeczeństwie i oni wyrażają nastroje biernej większości.

Ikonografia narodzin wolności

Sposób ich zachowania, sposób wyrażania własnej woli, ich gesty, spojrzenia, uśmiechy, stroje – wszystko to tworzyło ekscytujący spektakl, którego byli i widzami, i uczestnikami. Był to spektakl wyzwania się z pokory i spod ciężaru złego fatum. To była rzeczywistość, ale jednocześnie szczegóły zachowań, autentyczne gesty, słowa i kreująca się spontanicznie sceneria budowały legendę o narodzinach wolnego społeczeństwa, legendę, której to społeczeństwo dotychczas nie miało. Z oblicza zbiorowości opadła maska *Homo sovieticus*.

Jakiś kierowca ciężarówki, stojąc na Placu Czerwonym, na tle czołgów, mówił na temat porządku, który mieli zaprowadzić puczyści: *Dopóki komuniści będą mieli władzę, dopóty żadnego porządku nie będzie, a będzie tylko dyktatura. Żaden partokrata niczego nie wyprodukował. Całe życie na grzbiecie narodu. Wtórowała mu niemłoda kobiecina: Oni nienawidzą narodu. Oni nas nienawidzą. I boją się.* Było to rano w poniedziałek, kiedy spodziewano się raczej zwycięstwa junty i nie wykluczano możliwości wprowadzenia przez nią terroru. Ludzie nie bali się jednak wypowiadać takich słów do kamery telewizyjnej.

Kamery rejestrowały obrazki z życia, które natychmiast nabierały sensu symbolicznego, stawały się fragmentami mitu. Przewijał się motyw ludzi trzymających się za ręce, idących ramię w ramię ulicami Moskwy. Twarze bez gniewu, rozpromienione radością, która płynie z poczucia, że człowiek pozbył się strachu i wystąpił przeciwko fatum, które nad nim ciążyło. Powtarzały się podobne hasła, które wypisane odręcznie na kawałkach bristolu lub tektury stanowiły później zwracający uwagę akcent scenerii wokół Białego Domu: *Precz z KPZR; Zwyciężymy; Precz z imperium czerwonego faszyzmu; Faszyzm nie przejdzie; W jedności siła; Jazow, Pugo i Kriuczkow – mordercy; Pamiętamy*

Tbilisi, Baku, Wilno; Precz z juntą; Jelcyn, jesteście z tobą. Wieczna niemal opozycjonistka Waleria Nowodworska, protestująca później także przeciwko systemowi *popuczowskiemu*, wspomni w tygodniku „Ogoniok” (nr 44) o filigranowej studentce uniwersytetu w Twerze, członkini partii Związek Demokratyczny, Tamarze Celikowej. Była pierwszą osobą skazaną przez sąd za *obrazę godności prezydenta ZSRR*, a w dniach puczu stała z wypisanym hasłem: *Uwolnić Gorbaczowa*.

Budowanie barykad. Ustawione w poprzek ulicy trolejbusy. Wypuszczanie powietrza z kół autobusu użytego jako zaporę przeciwko czołgom. Ciężarówki z gumami bez powietrza. Rozbieranie i znoszenie na barykady ogrodzeń ceglanych i metalowych, m.in. z pobliskiego przedszkola. Wyrwanie kamieni z jezdni. Szpaler ludzi podaje sobie z ręki do ręki cegły. Starsza pani przyniosła w siatce 3 cegły, być może przywiozła je z innej dzielnicy. Na wiadukcie siedzą młodzi ludzie, obok leżą przygotowane kupki cegieł. Z ceglami na czołgi? Z sierkierą na słońce? Budzą się skojarzenia polskie. Wyobrażenia rosyjska wchłania nowe dla niej doświadczenie – powstanie w mieście. Moskwiczanie, a później, dzięki telewizji, także mieszkańcy całego terytorium określanego mianem ZSRR, przeżywają coś, co jest o krok od polskich wydarzeń roku 1944, 1956, 1980. Chodzi o atmosferę, spektakl, rekwizyty. Oglądam fotografię: kilka osób trzymając się za ręce pozuje pod Białym Domem uśmiechając się do obiektywu. Każda ma przewieszony przez ramię chlebak. I przypominam sobie, że będąc dzieckiem, w dniu wybuchu powstania warszawskiego widziałem, jak matka szykuje ojcu chlebak wkładając do niego środki opatrunkowe i wałówkę, a gdy przed godziną „W” odprowadzałem ojca na przystanek tramwajowy, zobaczyłem, że wszyscy pasażerowie są młodzi, jak mój ojciec, i wszyscy mają przewieszone przez ramię chlebaki.

To są dla Rosjan nowe przeżycia. Na ulicy stary mężczyzna z długą brodą, kulawy, ubiorem przypomi-

nający dawnych włóczęgów lub pątników rosyjskich, z węzełkiem przerzuconym przez ramię, kuśtykając o jednej kuli podchodzi do kolumny jadących czołgów i woła: *Chłopcy, wy przeciw komu? Przeciw komu?* Stara kobieta krzyczy do żołnierzy: *Nie słuchajcie Jazowa! Nie słuchajcie Jazowa!* Inna, na ulicy prowadzącej do Białego Domu, powstrzymując się od płaczu oświadcza: *Nie ruszę się stąd. Jeżeli będą chcieli tędy przejechać, to tylko po moim trupie.* Jeszcze inna, zanim pojawiły się drukowane ulotki, wypisuje odręcznie odezwy do żołnierzy, jako matka, i roznosi je czołgistom. Kobieta w średnim wieku zapytana przez dziennikarkę Katię Mielicę, pracującą dla radia „Swoboda“, czy przyszła pod Biały Dom dlatego, że lubi Jelcyna, odpowiada: *Nie. Dlatego, że kocham swojego męża. On tu szedł. Powiedziałam, że nie może iść beze mnie. Poczucie patriotyzmu, wzniosłość – to przyszło później.*

We wtorek padał deszcz. Młode dziewczyny w nieprzemakalnych przezroczystych płaszczach, z otwartymi parasolkami stały trzymając transparent: *Żołnierze, nie strzelajcie do swoich matek i sióstr.* Na ogół młode dziewczyny w mini spódniczkach wysuwały się do przodu, ustawiały najbliżej miejsc, w których mogłyby się pojawić atakujący. Liczyły, że ich młodość i uroda powstrzymają młodych jak one żołnierzy. Były wśród barykad także dzieci 8–10-letnie. Próbowano je przeganiać, ale nie dawały się, znów wracały, brudne, rozczochrane. W rezultacie tego przeganiania znalazły się na pierwszej linii. Od czasu do czasu ci mali chłopcy odchodzili na bok i palili marlboro.

Macie już inne oczy

Coraz częściej słyszeć było słowo „pan“ (gospodin), które po rewolucji październikowej zostało wykreślone z języka rosyjskiego i zastąpione partyjnym słowem „towarzysz“. „Pan“ to był „burżuj, wróg“. W popularnej literaturze wrogami byli często „polskie pany“. W sali rosyj-

skiej giełdy surowcowej odbywało się zebranie. Zastanawiano się, jak się zachować i czy wojsko wystąpi przeciwko cywilom. Przemawiał młody chłopak, wyraźnie zadowolony, że może się posługiwać słowem „panowie“ w jego dawnym, przedrewolucyjnym znaczeniu: *Panowie! Ani żołnierze, ani nikt nigdy w życiu nie będzie bronił tchórzów. Powinniśmy pokazać, że jesteśmy ludźmi, że jesteśmy PANAMI i ludźmi przede wszystkim. Rosjanie (Rossijanie) biorą w obronę tylko ludzi. A tchórzów nie obraniają. (...) Panowie! Panowie! Walczymy o wolność, a nie o kawałek kielbasy. Tylko o wolność. Bądźcie PANAMI, panowie (Bud'tie gospodami, gospoda).*

Taksówkarze i milicjanci w służbowych samochodach jeździli po mieście i później informowali Biały Dom o ruchach i położeniu wojsk. Podobnie zachowywali się rockersi na swych czarnych, ryczących na pełnych obrotach motocyklach. Jakaś sekretarka z KGB wyszła chyłkiem z biura i z ulicznego automatu dzwoniła do Białego Domu informując o planach Kriuczkowa, które udało się jej podsłuchać.

Teren wokół Białego Domu zamienił się w obozowisko. Płonęły ogniska. Ludzie „z miasta“ przynosili prowiant. Pojawili się monarchiści w mundurach carskich, ale z radzieckimi medalami na piersiach. Kobiety rozdawały herbatę. Tysiące osób pozostawały na noc.

Z wtorku na środę, około godz. 1.00 zrobiła się nagle straszliwa cisza. Oczekiwano na atak z powietrza. Było kilka takich *straszliwych*, jak wspomniano, chwil. Do walk wprawdzie nie doszło, ale ci, którzy tam byli, nieraz przeżyli w wyobraźni atak. Każdy był przekonany, że będą do nich strzelać. Każdy miał w oczach Tbilisi i Wilno. Niektórzy w obliczu przeczuwanej śmierci prosili duchownych, aby ich ochrzczili. W najbardziej krytycznym momencie rosyjski wiceprezydent Aleksander Ruckoj apelował do obrońców Białego Domu, by w razie czego rozstąpili się i przepuścili szturmujące czołgi. *Lepiej abyśmy my, rząd, zginęli, niż byście wy stracili swoje życie* – komentował swój apel.

To było także coś nowego w kulturze sprawowania władzy. Przywódcy ZSRR zawsze lubili wzywać innych do ponoszenia ofiar.

Potem pewna dziennikarka, dzieląc się w telewizji wrażeniami z tamtych dni, wspominała o ludzkich twarzach: *Gdyby sfilmować tylko twarze tych ludzi i zmontować je – powstałby fascynujący film. Same twarze!* Mściśław Rostropowicz, światowej sławy wiolonczelista, mówił do zgromadzonych pod Białym Domem: *Wy jesteście już innymi ludźmi. Macie już inne oczy.*

Artyści podczas puczu – to prawdopodobnie osobny rozdział. Postaciami dramatu byli m.in. dwaj reżyserzy filmowi, rodzeni bracia, synowie pisarza Siergieja Michałkowa, autora słów do hymnu państwowego ZSRR (*Sojuz nieruszimyj riespublik swobodnych spłotiła na wieki Wielikaja Ruś – Nierozzerwalny związek wolnych republik złączyła na wieki Wielka Ruś*). Michałkow (także popularny aktor filmowy), stawiał się w Białym Domu i tam już pozostał. Był to właściwie jego obowiązek – sprawował przecież funkcję doradcy premiera Rosji. Jego brata, Andrieja Michałkowa-Konczałowskiego uchwyciła kamera kronikarza na lotnisku Szeriemietiewo, gdy odlatywał zagranicę. Powiedział po prostu: *Boję się. Mam zagranicą rodzinę. Niedawno urodziła mi się córka. Wyjeżdżam, bo cię boję.*

A co w Białym Domu robił wielki Mściśław Rostropowicz? Mieszka stale w Paryżu. Gdy dowiedział się o przewrocie, wyszedł z domu mówiąc rodzinie, że idzie do banku, wsiadł w najbliższy samolot i przyleciał do Moskwy. Wszystkie te dni i noce spędził w Białym Domu. Mógł mieć żal do ludzi, bo gdy niegdyś wyganiano go z kraju, mało kto okazał mu solidarność. Wielu uczniów wyrzekało się go publicznie na zebraniach. Ale oczekując na atak wojsk desantowych, który i jego może pozbawić życia, mówi, że jest dumny z rodaków i ojczyzny, dumny z tego, że tu przyjechał. Z obrzydzeniem odpycha automat podawany mu żartobliwie przez dziennikarza. *Nigdy tego nie wezmę do ręki –*

powiada. Ale obiektyw fotoreportera utrwalił go (zdjęcie obiegło cały świat), jak nocą w hallu rosyjskiego parlamentu siedzi nieruchomo trzymając oparty pionowo na kolanie identyczny automat, a pucołowaty właściciel automatu mocno śpi złożony głowę na ramieniu Rostropowicza, który ani drgnie, aby chłopaka nie zbudzić.

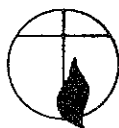
Inny pucołowaty chłopak, szofer, którego z wyglądu można by wcześniej uznać za typowego przedstawiciela gatunku *Homo sovieticus*, postawił w poniedziałek przed południem swą ciężarówkę pod hotelem „Ukraina” i szedł w kierunku Białego Domu, by zobaczyć, co się dzieje. Ludzie spontanicznie budowali z byle czego barykady. Inni na moście rozmawiali z żołnierzami, którzy stali tam całą kolumną samochodową. Żołnierze, widocznie zaagitowani przez cywilów – pomyślał chłopak – zawrócili i odjechali. Niżej, na nabrzeżu ujrzał 4 czołgi z lufami skierowanymi na rosyjski parlament. Podeszedł do czołgu nr 104, w którym siedział major. Zaczęli ze sobą rozmawiać. Chłopak odchodził i znów przychodził, co trwało ze 4 godziny. *Jak ty możesz iść przeciwko prezydentowi Rosji* – mówił do majora, który jak i on miał na imię Siergiej, a po ojcu także był Władimirowicz. A major odpowiadał: *Nie jestem przeciw, ale taki mam rozkaz. Z czasem dodał: Obiecuję, strzelać do ludzi nie będę. Ale odjechać nie mogę, mam rozkaz.* Więc chłopak: *Siergiej, zaryzykuj swoimi pagonami. A może ich wcale nie stracisz. Popatrz, wokół toczy się historia. Może przejdiesz do historii.* I pobiegł do Białego Domu, nie chciano go wpuszczać, potem wzruszono sceptycznie ramionami, on, namolny, dotarł bardzo wysoko i przyniósł swojemu imiennikowi rozkaz na piśmie podpisany przez samego prezydenta Jelcyna. Wtedy 4 czołgi majora Siergieja Jewdokimowa z dywizji tamańskiej podjechały bronić Białego Domu, co opowiedział później w tygodniku „Ogoniok” (nr 41) szofer imieniem Siergiej, wyglądający początkowo jak typowy *Homo sovieticus*.

Ostatnimi laty nieraz zastanawiałem się, czy w życiu społeczeństwa rosyjskiego zdarzy się jakiś gwałtowny punkt zwrotny, czy też jego droga do odrodzenia będzie bardzo powolna, regulowana reformami „z góry”. Zastanawiałem się także, czy przeżyje ono wyraźny moment oczyszczenia, koniecznego, jeśli przyjąć, że niemal każda rodzina była tam uwikłana w ciężkie grzechy systemu. Tym momentem stały się dni sierpniowe, które przyniosły ludziom katharsis. I to zarówno tym, którzy uczestniczyli w wydarzeniach bezpośrednio, jak i tym, którzy przeżywali je intensywnie jako spektakl rejestrowany przez prasę, radio i telewizję.

Un colosse sur des jambes qui vacillent (II)

Décrivant les événements et l'ambiance des journées du putsch d'août à Moscou, l'auteur juxtapose les déclarations de ceux qui ont exprimé leur soutien au putschistes avec les réactions de représentants de l'intel-

ligentzia, du clergé, d'émigrés russes en séjour temporaire à Moscou, de soldats impliqués dans les opérations en rapport avec le coup d'Etat et, bien entendu, de simples Moscovites.



Pamiętnik matki o powołaniu syna

Przygotowuję do edycji niezwykle w swoim rodzaju pamiętnik matki o powołaniu syna. Autorką pamiętnika jest córka Aleksandra Fredry, Zofia Szeptycka, a synem – późniejszy metropolita i wielki reformator Kościoła grekokatolickiego, Roman Andrzej Szeptycki.

Zofia Szeptycka (1837–1904) była utalentowaną artystką malarką i pisarką, której utwory wydał w dwóch tomach (1906–07) Stanisław Tarnowski, nie szczędząc pochwał jej talentowi, zaś cenne „Wspomnienia z lat ubiegłych“ (1967) – piszący te słowa.

Pamiętnik Szeptyckiej o „Młodości i powołaniu ojca Romana Andrzeja Szeptyckiego zakonu św. Bazylego Wielkiego“ obejmuje biografię syna z lat 1865–92, a ukończony został w 1894 r. Bohaterami tych wspomnień są zarówno syn jak i jego matka-autorka, współtwórczyni drogi duchowej Romana.

Szeptycka była matką siedmiu synów, z których dwóch zmarło w młodym wieku (Stefan i Jerzy). Jej wybitna osobowość i żarliwość religijna ukształtowały drogi życia synów. Dwóch z nich wybrało służbę Bogu: Roman jako o. Andrzej (późniejszy metropolita) i Kazimierz jako o. Klemens, ihumen z zakonu studytów, męczennik łagrów. Stanisław był wybitnym generałem polskim, Aleksander i Leon byli ziemianami. Leona i jego żonę zamordowali w rodowych Przyłbicach żołnierze radzieccy (NKWD) we wrześniu 1939 r. Aleksander zginął z rąk Gestapo w 1940 r. w Zamościu. Syn Aleksandra – Jan Kazimierz (mieszkający obecnie w Warszawie) – jest sumiennym kustoszem archiwum rodzinnego i jemu zawdzięczam gotowość opublikowania drukiem wspomnień jego babki.

Roman Szeptycki (1865–1944), późniejszy metropolita, był trzecim z kolei synem pamiętnikarki, która przedstawiła w takim żarliwym talentem jego drogę powołania, do dnia uroczystych prymicji syna odbytych 11 IX 1892 r. w Przyłbicach. Był to ingres zapowiadający wielką historycznie rolę młodego kapłana w Kościele grekokatolickim.

O działalności metropolity jako głowy tego Kościoła napisano już wiele, z różnych stanowisk, kontrowersyjnie światopoglądowych. Podlegają one, właśnie dziś, zasadniczemu rewizjom i przewartościowaniu dokonywanym m.in. przez badaczy bardziej obiektywnych, nie dotkniętych ideami nacjonalistycznymi i nie powodowanych jedno-

stronnością interpretacji tragicznych wydarzeń z historii stosunków polsko-ukraińskich.

Młodość i powołanie Romana Szeptyckiego, przedstawione we wzruszających wspomnieniach jego matki, są zupełnie nie znane czytelnikowi polskiemu, który dopiero teraz zapozna się z fascynującym konterfektem przyszłego metropolity. Nie ma potrzeby uzasadniać wielkiej ceny tego młodzieńczego konterfektu, wypełniającego jakże istotną lukę w biografii całościowej, ukazującego autentyczną drogę powołania Romana jako sługi Bożego. Bez znajomości tej młodzieńczej drogi, nie pozbawionej tragicznych konfliktów, nie zrozumiemy w pełni życia i dzieła metropolity, nie poznamy istoty jego osobowości, jakże bogatej w cnoty natury ludzkiej i nadprzyrodzonej.

Stanisław Tarnowski, który bardzo dobrze znał rodzinę Fredrów i Zofię Szeptycką, w swej „Przedmowie” do jej „Pism” wystawił autorce najpiękniejsze świadectwo nie tylko jako pisarce kameralno-rodzinnej, ale jako kobiecie i matce o niezwyklej moralności, żarliwej i głębokiej pobożności, którą potrafiła wszczepić swoim synom. Sąd Tarnowskiego znajduje pełne potwierdzenie we wspomnieniach matki o powołaniu syna, Romana. Napisała je dla rodziny, w poufnej konwencji (*wszak ci to nie książkę do druku piszę...* – informuje autorka), z profetyczną wszakże wiarą w istotę posłannictwa syna; posłannictwa, którego idei i celu była Szeptycka nie tylko czułą strażniczką i przewodniczką, ale nawet współtwórczynią! I ta niezachwiana wiara matki w słuszność wybranej przez syna drogi, w której oboje napotykali różne przeszkody nie bez dramatów rodzinnych, wiara nagrodzona zwycięskim finałem, przenika cały jej pamiętnik nadając mu wyższą rangę duchową jako utworowi także „pozarodzinny”, będącemu exemplum młodzieńczego życia służby Bożego; jako utworowi, którego idee zostały zweryfikowane przez historię.

Religijność Szeptyckiej oraz jej wyjątkowa pobożność, które eksponuje autorka w sposób nieco swoisty, choć dla niej naturalny i zasadny, mają specyficzny charakter omal dewocyjny czy nawet ekstatyczno-wizjonerski, w pojęciu ich laickiego krytyka. Jej egzaltacja religijna, powiedzmy łagodniej: emocjonalność religijna, nie ma nic wspólnego z tanim i płytkim wyrażaniem uczuć, z bigoteryjną pobożnością. Trzeba podkreślić, iż te jej stany i postawy są znamionami prawdziwych cnót chrześcijańskich, katolickich, którymi kierowała się zarówno w życiu macierzyńsko-rodzinnym jak i wobec otoczenia reprezentującego rozmaite statusy i hierarchie społeczne. Głębokiej religijności Szeptyckiej patronowali duchowi opiekunowie, głównie wybitni jezuici, którzy w tym czasie byli z polecenia papieża

Leona XIII orędownikami i reformatorami Kościoła grekokatolickiego oraz jego zakonów.

Tym patronatem objęli także młodego Romana, już w czasie gdy chodził do krakowskiego Gimnazjum Św. Anny, co wspierało, rozwijało i umacniało jego dziecięce marzenia o wstąpieniu do zakonu bazylianów. Nie bez powodów zatem (komentujemy pamiętnik jego matki) ojciec Romana, Jan Szeptycki, pierwotnie zasadniczo przeciwny temu wyborowi i konwersji syna (będącego przecież, jak cała rodzina Fredrów i Szeptyckich, wyznania rzymskokatolickiego), w dramatycznych sporach, ostrych zakazach i przy stawianiu twardych warunków synowi obwiniął jezuitów o kierowanie Romana ku temu powołaniu i o umacnianie tej decyzji. Być może, iż wiązano z nią (nie bez słusznych racji) plany reformatorskiej roli Romana-Andrzeja w Kościele grekokatolickim. Boć potencjalny adept posiadał ze strony ojca szczytne tradycje swych przodków w tymże Kościele, lecz nade wszystko zapowiadał się jako niezwykła osobowość, zarówno w sensie wielkich zdolności umysłowych jak i żarliwości religijnej, aż do granic poświęcenia martyrologicznego, oraz był od chłopiństwa zauroczony „unicką wiarą” iznaczony jakby jej charyzmatem Bożym.

Trzeba jednak podkreślić, iż tych planów „kariery” nie odnajdujemy jako motywu konwersji młodego i ambitnego Romana, romantycznie chłonnego przeszłość rodu Szeptyckich, którą odkrywał przed synem jego... ojciec, wszakże nie na tle argumentacji religijnej.

Jan Kazimierz Szeptycki w swym cennym artykule pt. „Gdy w rodzinie ważyły się losy syna...” („Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa”, t. 1, Przemyśl 1990, s. 183–184) trafnie zebrał czynniki sprzyjające rodzeniu i formowaniu się powołania młodego Romana: (...) *przez sam fakt usytuowania urodzenia i całej młodości Romana Szeptyckiego, w okolicach o większości ludności ruskiej (ukraińskiej) (w samych Przyłbicach /.../ była starodawna cerkiew unicka i związana z nią parafia tego obrządku), a przez to samo stykanie się na co dzień z sąsiadami dworu, ze służbą w większości ruską (ukraińską), a więc i znajomość od dzieciństwa języka ruskiego; dom wypełniony pamiątkami po przodkach i głęboko zakorzenionymi tradycjami obrządku grekokatolickiego; stała dbałość, będąca także w tradycji rodziny, utrzymywania zawsze stosunków zaufania, otwartości i przyjaźni z duchowieństwem obydwu obrządków i wrodzone poczucie katolicyści w stosunkach do każdego z nich, wyrażające się uczestniczeniem tak w praktykach liturgicznych, jak i świętach obu obrządków (...); spotkania z duchowieństwem obu obrządków, dla których dom przyłbicki był*

zawsze otwarty, a także udział kapłanów i biskupów obu obrządków w różnych uroczystościach rodzinnych (wieczera wigilijna, święcone itp.) (...) Wszystko to powodowało, że już od najmłodszych lat Roman Szeptycki był doskonale zorientowany i zaznajomiony z wszystkimi okolicznościami życia Kościoła katolickiego obu obrządków, a także i ludności zamieszkującej tę część ziem, tzw. Galicję. J.K. Szeptycki nadmienił także o istotnej roli w kształtowaniu tej drogi powołania młodego Romana przez wybitnych jezuitów: Henryka Jackowskiego, Michała Mycielskiego i Kaspra Szczepkowskiego, którzy z polecenia Leona XIII pracowali nad odnową i reformą Kościoła grekokatolickiego i jego zakonów bazylikańskich.

Prawdopodobna pamiętnikarka nie przemilczała i nie zamazywała dramatycznych konfliktów między Romanem a jego ojcem, będąc przecież orędowniczką powołania syna. Dokumentowała je w sposób bardzo cenny, bo źródłowy, głównie na podstawie listów syna, gęsto cytowanych.

Posiadamy również inne w tym względzie świadectwa, np. jego brata, Kazimierza Szeptyckiego (późniejszego ihumena), który komentując listy ich matki z 1884 r. pisze: *Ojciec nasz, który wówczas bezwzględnie zwalczał myśl jego (tj. Romana) wstąpienia do Bazylianów i uważał za swój obowiązek wszelkimi siłami i bezwarunkowo się temu zamiarowi sprzeciwić, liczył bardzo na wpływ mundur (tj. jedno-rocznej służby wojskowej Romana) i bywania w świecie; spodziewał się, że one najlepiej potrafią owe z rzekomo jezuickiej intrygi powstałe projekta w myśli i w sercu syna zatrzeć. Nadzieja i otucha, z jaką Ojciec na ów okres próby spoglądał, były w sercu Matki źródłem wielkiego duchowego udręczenia i trwogi; wprawdzie nie wiedziała o tym z doświadczenia, ale instynktem Matki i chrześcijanki przeczuwała, jak często ludziom i światu rzeczywiście się udaje nawet najprawdziwsze powołanie zabić. (...) Im bardziej Ojciec nasz w rozmowach z nią kładł wagę i liczył na powodzenie swych rachub, dążących w najlepszej wierze do tego, aby synowi zagrozić drogę do mniemanego szaleństwa, a ku ziemskiemu szczęściu go zwrócić, tym bardziej musiało Jej serce omdlewać z trwogi o to, co w dziecku Jej było najdroższym, o nieśmiertelną przyszłość jego duszy (tamże, s. 190–191).*

Szeptycka-pamiętnikarka nie ukrywała także skandalizującej reakcji, jaką wywoływały w polskiej społeczności projekty i decyzje konwersji brata Andrzeja... wnuka Fredry! i syna polskich rodziców, wiernie gorliwych wyznawców Kościoła rzymskokatolickiego. Poruszając te kwestie, nie wahała się wspomnieć o związanych z nimi antagonizmach narodowościowo-wyznaniowych między Polakami a Ru-

sinami, oczywiście nie ze stanowiska religijnego, choć bardzo krytycznie i omal pogardliwie wyraziła się o poziomie umysłowości i o etyce unickiego kleru.

Szeptycka przytaczając tak obficie listy syna traktuje ich treści konfesyjne jako najcenniejsze elementy budulca dla prawdziwego portretu: *malarz* – argumentuje autorka – *póty nie spocznie, póki mu ich brakuje na płótnie*. I rzeczywiście, dzięki tym staraniom ów portret syna pogłębiony, wzbogacony detalami, uwierzytelniony jego zwierzeniami uzyskał walor intymnej głębi, najwierniejszego i żywego wizerunku, głównie duchowego; wizerunku rozpiętego w czasie i przez ów czas modelowanego ku doskonałości w służbie Bożej. Podlega on zatem rozwojowi w czasoprzestrzeni (listy pochodzą z różnych okresów młodzieńczego życia), to znaczy dojrzewaniu religijnemu w procesie wielorakich doświadczeń, przezwyciężania zarówno wahań jak i piętrzących się przeszkód, buntu synowskiego wobec woli ojca i zwyciężającej pokory, zwycięskiego syna. Jest to portret sugestywnie dramatyczny, najbardziej dla czytelnika wierzytelny, bo zarówno ludzki jak i o wymiarach ponadludzkich.

Portret ten zobiektywizowany listami syna, prześwietlony został również duchem religijności matczynej; religijności podatnej na nastrojowość introspekcyjnych przeżyć, refleksji, na atmosferę życia rodzinnego. Wielka i nieprzebrana miłość matki do syna, jej gorąca wiara w słuszność drogi jego powołania, kreuje ją – powtórzmy – na współbohaterkę własnych wspomnień. Współbohaterkę godną partnerstwa syna, którego jest powiernicą i zarazem duchowym *guidem*. Przechodzi ona znamiennej ewolucję, aż po bolesny tragizm matki, która jednocześnie raduje się oddając Bogu syna i smuci się jego rodzinną, macierzyńską utratą, a może nawet opuszczeniem przez niego *Kościola łacińskiego, po Bogu nad wszystko (jej) drogiego*. Pamiętamy, iż te wspomnienia matki powstały już po fakcie przyjęcia przez syna obrządku grekokatolickiego. Wiąże się z tym również tragiczna motywacja przeżyć, nie ujawnionych wprost, lecz w kamuflażach: świadomość córki Fredry, wychowanej w czystym i żarliwym patriotyzmie polskim, że może stracić syna dla kultury polskiej, dla tradycji narodowej, strach przed opuszczeniem przez niego *swej klasy*, lęk przed jego *schłupieniem*. Ten dramat Szeptyckiej jest historycznie uzasadniony, akcentuje nowoczesne postawy klanowo-towarzyskie i religijno-narodowe. Świadczy również dobitnie o wierzytelności wspomnień autorki, która przecież potrafiła przezwyciężyć te ograniczenia, pogłębiając swą religijność także w aspekcie społeczno-narodowym, i to właśnie pod wpływem poglądów i decyzji swego syna.

Autorka (powiedzmy to w wariantowym ujęciu, dla podkreślenia wagi problemu) przeżywa głęboko, po macierzyńsku, omal w sensie biologicznym utratę syna wstępującego do klasztoru, choć jednocześnie jest pełna zrozumienia tej *ofiary*, pełna radości i religijnej satysfakcji z wyboru przez niego tej drogi, którą przecież wszelkimi siłami mu współtworzy, ułatwia, organizuje, skraca, najlepiej ją rozumie. Jej pamiętnik odtwarza tę alternatywę przeżyć z wielką prawdą i męstą, z dramatyczną ekspresją. To są dla jej współwizerunku z synem najpiękniejsze i najbardziej wzruszające problemy wspomnieniowe, przenikające w perspektywie przepływu czasu biograficznego cały omal pamiętnik, ubogacony wszakże bezcenną również faktografią. Matka mimo tych rozterek głęboko wierzy w opiekę Opatrzności Boskiej, która doświadczając również syna wyznacza mu takie właśnie trudne pośłannictwo.

Natomiast ojciec Romana, Jan Szeptycki, który miałby największe, bo rodzinno-historyczne prawa powoływania się na koneksje rusińsko-unickie, był – jak wspomnieliśmy – uparcie wrogo nastawiony, w sposób nieprzejednany, do planów syna, aż po groźbę jego ojcowskiej *kondemnaty*. Zabiegał wielokrotnie i stawiał arcytrudne warunki na wyrażenie swej zgody, aby poddawać srogim próbom marzenia i zamiary syna, co wynikało – oczywiście – z najgłębszej „ambicjonalnej” miłości ku niemu, obdarzonemu jakże wielkimi i wielorakimi talentami, zdolnościami. Matka, nieraz mediatorka owych groźnych konfliktów ojcowsko-synowskich, z narażeniem spokoju rodzinnego zawsze stała po stronie syna, wbrew posądzeniom męża o rzekome spiskowanie z jezuitami, których Jan Szeptycki uważał za *spiritus movens* owego powołania.

Historia tych konfliktów rodzinnych jest bardzo instruktywna na temat syna-„odszczepieńca”, szczególnie dla kreowania sylwetki duchowej dojrzewającego Romana, nieugiętego w swych postanowieniach, zwalczającego tysięczne przeciwności, nawet najświętszej natury rodzinnej, zarówno bunt jak i pokorą zwyciężającą. Proces ten jest najcudowniejszym wzorcem zdobywania świętości, z woli Opatrzności Bożej sterującej życiem swego wybrańca. Ów dramatyzm konfliktów urasta do rozmiarów tragedii, jakże typowej w swej odwiecznej topice dla biografii wielu sług Bożych. W pamiętniku matki tragedię tę dokumentują źródła o największej prawdomówności, mianowicie intymne, konfesyjne listy syna zarówno do matki jak i do ojca. A więc źródła bezpośrednie, nie zmitografowane według reguł i konwencji stosowanych przez wielu żywotopisów świętych.

Ale ten konflikt syna z ojcem, którego pamiętnikarka, kochająca żona, bynajmniej nie zataja i motywacyjnie nie symplifikuje, konflikt

syna pokornego w swej nieugiętości, acz zawsze posłusznego woli ojca, mimo tylu zadanych sobie wzajemnie ran, prowadzi w finale do obopólnego ich zwycięstwa. Tym większego, bo wzajemnie odniesionego w Bogu, to jest z racji najwyższych.

Drogę Romana ku zostaniu bazylianinem jego matka ukazuje przez kilka prób i *pokus* syna, wszakże nie natury fizycznej, z których najniebezpieczniejszą przeżywał w opactwie benedyktynów na Monte Cassino, zauroczony wspaniałością i świętą przeszłością tego znakomitego klasztoru. Z pokuszenia do zdrady obrządku „dobromilskiego“ spowiada się matce: *Była to straszna chwila, choć może zaledwo kilka minut trwała. Ogarnęło mnie naraz, podczas modlitwy, takie poznanie – widzenie olbrzymiej wielkości i wspaniałości Kościoła łacińskiego, przepychu piękności i bogactw jego duchowych, iż mi się wydało, że nie mogę się od niego oderwać, po za nim Bogu służyć!... I WSZYSTKO POCZĘŁO SIĘ WE MNIE WALIĆ... Wtedy uczyniłem akt zupełnego, doskonałego oddania się Bogu, bezwzględnego przyjęcia Jego woli. I znów szło to jak błyskawica po błyskawicy, jakby trzy uderzenia pioruna, wróciło mi jasne przeświadczenie, że mnie Bóg chce mieć u Bazylianów, i z tym przeświadczeniem pokój doskonały...*

Jakże to istotny przyczynek dla jego *pożyteczniejszej drogi* ku człowieczej świętości, prowadzącej nawet przez męczeństwo misjonarskie w walce z bratobójczą schizmą. *Ja doskonale wiem, co mnie czeka – zwierzał się matce. – Polacy będą mnie uważać za Rusina, a Rusini za Polaka – ale darmo!! Pan Bóg woła, trzeba iść. Jest w tej refleksji profetyczna jakby wizja posłannictwa, którego rekonesansem stała się już wówczas jego „podróż po Rosji“.*

Ważny również dla biografii syna i matki jest ich pobyt w Rzymie oraz tamtejsze kontakty z wybitnymi dostojnikami kościelnymi, także polskimi (np. z kardynałami Włodzimierzem Czackim i Mieczysławem Ledóchowskim), a przede wszystkim szczegółowo opisana przez matkę specjalna audiencja u Leona XIII, jakże istotna dla powołania syna. Szczegółowa relacja z powtórzeniem prowadzonych rozmów ma również wartość autentyku, autorka bowiem zaczerpnęła ją z prowadzonego wówczas przez siebie „dziennika rzymskiego“.

Finał wspomnień Szeptyckiej zawiera piękny i wzruszający opis prymicji syna, już jako o. Andrzeja z zakonu dobromilskich bazylianów. Finał ten jest również świadectwem dużego kunsztu pisarskiego Szeptyckiej patrzącej na to święto oczami i sercem „Bożej malarki“ oraz matki wierzącej, iż *chłopiec ten kiedyś wielkim będzie przed Bogiem i ludźmi – duszą swoją.*

Bogdan Zakrzewski

Oswald von Nell-Breuning SJ*

W wieku 101 lat zmarł 21 VIII 1991 r. ks. Oswald von Nell-Breuning, którego osobowość wywarła ogromny wpływ na zachodnioniemiecki katolicyzm. Był kapłanem, jezuitą, naukowcem, nauczycielem i doradcą politycznym. W uznaniu jego rozlicznych zasług współczesna historia zaliczyła w swych annałach *nestora katolickiej nauki społecznej* – już za życia – do rzędu *wielkich*. Nie ma w RFN drugiej tak wielkiej osobowości – spoza związków zawodowych i socjaldemokracji – której biografia byłaby tak ściśle złączona z rozwojem zachodnioniemieckiego państwa opiekuńczego. Opcja Nell-Breuninga miała znaczenie dla dalszego ewolucyjnego rozwoju elementów socjalnych i demokratycznych w realnym kapitalizmie. Nic więc dziwnego, że nikt, kto w Niemczech poważnie zajmuje się kwestiami polityki socjalnej, nie może nie spotkać się z jego poglądami, zwłaszcza że zmarły jezuita stworzył do tego wystarczająco dużo okazji. W przeszło 1700 publikacjach, a także w niezliczonych wykładach i rozmowach konsultacyjnych ten szczupły intelektualista z Frankfurtu wyjaśnia swoje przemyślenia dotyczące zarówno podstawowych pytań jak i najdrobniejszych problemów polityki socjalnej.

Zasadą O. von Nell-Breuninga nie była prosta przynależność do partii. To go nie interesowało. Sprzeciwiały się temu jego poglądy – niekiedy opozycyjne wobec partnerów – wielokrotne rozważanie tematu, wprowadzanie nowych punktów widzenia do dyskusji lub umacnianie już istniejących. Tak było np. w 1984 r., gdy Nell-Breuning uczestniczył w sporze o wynagrodzenia, który wybuchł w przemyśle metalurgicznym. Wśród biegunowo różnych poglądów bronił on znacznego skrócenia czasu pracy jednocześnie nie akceptując wyrównania płac, którego żądały związki zawodowe. Jego stanowczość sprawiła, że te idee zostały przyjęte tak przez związki zawodowe i socjaldemokratów jak i przez przedsiębiorców oraz chrześcijańskich demokratów. Tak więc żaden z przeciwników nie mógł zaanektować go wyłącznie dla siebie. Opisana sytuacja jest typowa dla działalności O. von Nell-Breuninga.

Ciekawe, że jego poglądy należały – przez całe jego życie – do najbardziej kontrowersyjnych w łonie samego katolicyzmu. Dążenia, by

* „Orientierung” nr 17, 15 IX 1991, Zürich, ss. 183–184.

pojednać katolicyzm i ruch robotniczy, zaś katolicyzm zobowiązać do pełnienia roli inicjującej i rozjemczej w dalszym rozwoju państwa opiekuńczego, spotykały się z ogromnymi oporami. Np. biskupi i katolicki ruch robotniczy odrzucali jego polityczne rady aż do lat siedemdziesiątych. Dopiero na Synodzie Zachodnioniemieckich Diecezji w Würzburgu (1971–75) okazano wreszcie – choć późno – szacunek Nell-Breuningowi. Udało mu się wtedy definitywnie określić stosunki między Kościołem a światem pracy i stworzyć przez to podstawy do odnowy. Mimo licznych sprzeciwów zwyciężyła w Würzburgu jego opcja za wyznaniem winy Kościoła; mówienie o *trwającym skandalu* stało się popularnym stwierdzeniem. Synod zapoczątkował wzrastające – ze strony Kościoła – uznanie dla O. von Nell-Breuninga. Na jego 90. urodziny kard. Höffner wręczył mu pierwszy Łańcuch św. Bonifacego jako dowód wdzięczności Zachodnioniemieckiej Konferencji Biskupów. W epoce koalicji socjalliberalnej oficjalny Kościół uznał go za *krytycznego przyjaciela związków zawodowych i SPD*, a nawet nazwał *nestorem* (także swojej) *nauki społecznej*. Nie ustające od synodu w Würzburgu kościelne i społeczno-polityczne oznaki szacunku, a także powoływanie się oficjalnych reprezentantów (np. Norbert Blüm, Oscar Lafontaine, Helmut Schmidt i in.) na jego poglądy, przyczyniły się do utworzenia legendy Nell-Breuninga. *Wszyscy stoimy na barkach Karola Marksa* – tak sformułował to Nell-Breuning w 1965 r. Po rozpadzie realnego socjalizmu zdanie to powinno ulec trawestacji, gdyby wierzyć hołdom składanym von Nell-Breuningowi: *Wszyscy stoimy na barkach Nell-Breuninga*. Tak mogłaby brzmieć skrótowo formuła, która określa legendę Oswalda von Nell-Breuninga.

By przeciwstawić się takiej legendzie, trzeba wykazać suchą rzeczowość, jaką odznaczał się O. von Nell-Breuning. Jego wystąpienia emanują godną uwagi mieszaniną szorstkości i żywiołowości. Element szorstkości wyrażał się przede wszystkim w wyraźnej skłonności do definitywnego, czasami formalno-prawnego, określania i przyswajania sobie faktów społecznych, o których mówił, lub pisał. Żywiołowość ujawniała się wtedy, gdy Nell-Breuning interweniował w aktualnych problemach i dawał wyraz swemu zaskoczeniu. Nie był on myślicielem i komentatorem, który tworzył nowe kategorie analityczne i perspektywy lub wielkie – by nie powiedzieć utopijne – plany. Według takiej oceny nie zmieniło się jego – po 1945 r. okazjonalne – opowiadanie się za utartym porządkiem stosunków pracy jako jedyną optymalną formą regulacji społecznej. Nie był on przecież prekursorem ani państwa opiekuńczego, ani demokratycznego

rozwoju praworządnego państwa niemieckiego. Był natomiast jednym ze zdecydowanych pośredników między tradycją a nowoczesnością, który ofiarował zarówno katolikom jak i innym konserwatywnym warstwom społecznym możliwość łagodnego przejścia do demokratycznego państwa prawa i opieki socjalnej. Wprowadził tę możliwość do polityki – biorąc w tym czynny udział – i budował mosty między jej tradycyjnym wyobrażeniem a zadaniami i wyzwaniem nowoczesnego społeczeństwa państwa opiekuńczego. W tym sensie O. von Nell-Breuning przyczynił się do przełamania tradycyjnej katolickiej nauki społecznej i końca „katolicyzującej” polityki.

Całe życie Oswalda von Nell-Breuninga było pracą człowieka krytycznego i całkowicie zaangażowanego, mocno osadzonego w zjednoczonym społeczeństwie. Aby zapoczątkowany przez Nell-Breuninga i praktykowany przez niego dialog między zwolennikami analizy naukowo-społecznej i społeczno-etycznej oceny mógł być kontynuowany również w przyszłości, powstał w St. Georgen we Frankfurcie – z okazji 100. rocznicy urodzin patrona – Instytut Oswalda von Nell-Breuninga. Tu powinny powstawać analizy, które wskazują polityce drogę opartą na wierze i do których zobowiązują dzieła frankfurckiego jezuitę. Ze śmiercią Oswalda von Nell-Breuninga Niemcy straciły jednego ze swych najbardziej zdolnych do dialogu i nowatorskich intelektualistów.

Wolfgang Schroeder
thum. Hanna Stompor

Bibliografia

O. von Nell-Breuning, *Den Kapitalismus umbiegen. Schriften zu Kirche, Wirtschaft und Gesellschaft. Ein Lesebuch*, wyd. F. Hengsbach, przy współpracy B. Emunda, M. Möhring-Hessego, S. Nussa, U. Sändera, W. Schroedera i Ch. Serriesa, Düsseldorf 1990 (wybór publikacji z lat 1970–86)

F. Hengsbach, M. Möhring-Hesse, W. Schroeder (wyd.) *Eine unbekannter Bekannter. Eine Auseinandersetzung mit dem Werk von Oswald von Nell-Breuning SJ*, Ketteler-Verlag, Köln 1990 (dokumentacja kontrowersji z W. Krohem, F. Hengsbachem, H. Ludwigiem, I. Fetscherem, A. Hornem, T. Parkerem pod red. W. Schroedera i M. Möhring-Hesse'a)

Oswald von Nell-Breuning im Gespräch mit Helmut Hammerschmidt, w: K. Schnelting (wyd.) *Zeugen des Jahrhunderts. T. 1. Wirtschaft und Gesellschaft*, Fischer-Taschenbuch, Frankfurt 1981.

Sztuka – procent od kontemplacji

Światło piątego świata

Mając 43 lata Paul Gauguin porzucił wszystko: rodzinę i przyjaciół, wyjechał do najbardziej oddalonej krainy, na archipelag rozrzucony jak garść piasku na powierzchni ogromnego oceanu, i tam, spośród tysięcy wysp i wysepek, wybrał sobie jedną – Tahiti. Dlaczego uciekał w tamte strony? Dlaczego kierował się ku „piątemu światu“, jak go nazywali żeglarze-odkrywczy, za którym, wedle słów pewnego hagiografa, już nie było nic – chyba tylko odlot do Tamtego Świata! Gauguin pchał instynkt genialnego artysty. Odkrył tam piękną rasę ludzką, z której uczynił pierwowzór człowieka, niby znak nowego malarskiego alfabetu. Tam powstało słynne płótno o najdłuższym w sztuce nowoczesnej tytule: „Skąd przybywamy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?“

Henri Matisse, wspominając swoje odwiedziny Pacyfiku, zaczyna od inwokacji: *O laguny, czyż nie jesteście jednym z siedmiu cudów rajy dla malarzy? Pobyt na Tahiti dał mi wiele. Miałem wielką chęć poznać światło z drugiej strony równika, zbliżyć się do tamtejszych drzew, wnikać głęboko w tamte rzeczy. Każde światło niesie swoją własną szczególną harmonię. To jest inny nastrój. Światło Pacyfiku jest jak złota głęboka czasza, w którą się patrzy. Przypominam sobie, że zaraz po przybyciu odczułem rozczarowanie, a potem – po trochu – już było tylko piękno, tylko piękno! Liście wysokich kokosowców, podkasane passatem, szmerły jedwabście. Ten szmer liści nakładał się na zorkestrowany huk fal w głębi, fal rozbijających się o rafy otaczające wyspę. Kontrasty!... Światło Pacyfiku tym się wyróżnia, że ma jakoś upajającą umysł, porównywalną do sensacji, jakie czyni wewnątrz złotej czaszy, gdy zagłębia się w niej oko...*

Tyłu ludzi szukało tego światła i nastroju. W 1872 r. Julien Viaud, kadet École Normale, zjawił się na Tahiti na pokładzie „Jean-Bart“ i tu służebne królowej Pomaré nadały mu imię miejscowego kwiatu – Loti. Zastłynie potem jako autor melancholijnych powieści egzotycznych, podpisanych pseudonimem Pierre Loti. W 1888 r. chory Robert Louis Stevenson popłynął na wyspy Samoa, gdzie zmarł w 1894 r. Swoje bliskie współżycie z mieszkańcami wysp opisze w „In the South Seas“.

Te dowody uroku (które można by znacznie pomnożyć), jaki na Europejczykach wywiera Oceania, przytoczyłem jako rodzaj wstępu, rysu tła, na którym rozpatrzymy na paru przykładach główne cechy sztuki tego rejonu świata. Ocean Spokojny jest dwukrotnie większy od Atlantyku. Dotyka kręgu polarnego na północy i na południu. W środku i na południu są rozsypane wyspy, które po stronie zachodniej robią wrażenie wystających z wody ułamków zapadłego niegdyś kontynentu. Mniejsze wysepki poza linią Karoliny – Kermadec są pochodzenia wulkanicznego i koralowego. Melanezja, grupa wysp od strony północno-wschodniego wybrzeża Australii, stanowi podwójną girlandę pochodzenia wulkanicznego, o niewiarygodnej bujności półtropikalnej roślinności. Melanezyjczycy, którzy wcześniej od Polinezyjczyków skolonizowali dostępne im wyspy, są czarni, o wełnistych czuprynach. Na Nowej Gwinei żyje 600 gatunków ptactwa o bajecznym upierzeniu. Pióra są ważnym składnikiem tamtejszego stroju i dekoracji. Niektóre czerwone pióra mają symbolikę religijną. Pewne ptaki, jak fregaty i albatrosy, są uważane za emisariuszy bogów, stanowią źródło natchnień dla zdobnictwa Melanezji. Architektura jest bardzo rozmaita, na Wyspach Admiralicji stawia się prymitywne szalasy, na Nowej Gwinei – rodzaj pałaców służących gminie, budowanych na planie owalnym, okrągłym lub prostokątnym. W wysokich górach rosną drzewa strefy umiarkowanej, zdadne do rzeźbienia.

O Polinezji pisał historyk sztuki, Elie Faure: *Klimat i przyroda tego obszaru pobudzają wrażliwość mieszkańców impulsami, których brakuje Afryce. Ludność jest rozczłonkowana i rozproszona na tysiącach wysp i wysepek rozdzielonych ogromem wód. To jedno wystarczyło, by przeszkodzić powstaniu na Pacyfiku wielkiej spójnej cywilizacji, z odpowiednią mocą promieniowania. A teraz już na to za późno: podbój europejski, choroby, alkohol, moralność i religia przywiezione przez nowych władców – wycieńczyły ten lud, zdzięsiłowały go i zmogły. Wyspy, na które łaski nieba zesłały wszystkie błogosławieństwa pokrywając je kwitnącymi lasami, leżą na błękicie Oceanu zupełnie jak greckie Cyklady na wschodniej stronie Morza Śródziemnego. Natura tu cudowna, zdrowa, choć nabrzmiała sokami płodności, otoczona wonnością, pełna owoców, pełna kwiecia, rozmigotana różnobarwnym ptactwem i barwnymi kamieniami. (...) Piękna rasa ludzka, o wysokim czole, jest z natury obdarzona zmysłem sztuki, żyjąc w pełnym słońcu, owiana morskim oddechem, między pysznymi kształtami, wśród orgiastycznych kolorów. Ludzie tu mówią melodyjnym językiem, kochają taniec, wojnę i muzykę, spletają kwiaty w wieńce i girlandy. Mitologia swoim tryumfalnym wdziękiem, zapachami jutrzeńki i nieba, swoją krystaliczną*

symboliką przywodzi na myśl stare jońskie legendy. Życie tu zbyt łatwe; gdyby nie to, inaczej wyglądałaby przyszłość tej rasy.

Dziś już nie kwestionuje się azjatyckiego pochodzenia ludów Oceanii. Mieszkańcy wysp polinezyjskich zbyt późno opuścili brzegi Chin czy Indii, nie zdołali objąć w posiadanie wysp zajętych już przedtem przez czarnych, więc w czółnach z balansem, które nie boją się wielkiego morza, doświadczywszy tysiącznych trudności (opowiada o tym polinezyjska mitologia) przedostali się w samo serce tego świata. Polinezyjczycy są najbardziej jednorodni rasowo. Pewnego rodzaju odrębność cechuje Nową Zelandię i Wyspę Wielkanocną, wyłamują się one z ogólnego schematu kultury polinezyjskiej.

W chicagowskim Natural History Museum można obejrzeć wiele interesujące ale i znamienne zdjęcie. Na brzegu gęstego buszu, w pewnej okolicy Nowych Hybryd, między rzeźbionymi pniami drzew stoją nieruchomo tubylcy wpatrzeni w obiektyw fotografa. Pozwalają się fotografować: zeszytniali, obcy, ocierający się o te wielkie malowane figuracje swoich przodków. Ale odczuwa się tu nade wszystko natrętą obecność niewidzialnego na zdjęciu fotografa. Niewątpliwie jest coś bezczelnego w ciekawości białego człowieka, który uzurpuje sobie prawo wstępu do każdego miejsca na ziemi, również nie swojej, legitymując się dawniej mieczem czy karabinem najeźdźcy, a dziś leicą etnografa.

Oceania jest rezerwatem archaicznych cywilizacji, które są w pewien sposób podobne. Wspaniałe są uzdolnieni tutejsi artyści, twórcy form z Bożego natchnienia, rzeźbiarze, malarze i rysownicy. Rzeźbią w pełnej bryle czy płasko posągi i posążki, na ogół w drewnie, gdzieśniedzie w kamieniu; wykonują zdobne maski i mnóstwo innych dekorowanych nożem i inkrustacjami przedmiotów. Oceania jest naturalnie królestwem tatuażu, jednej z głównych form rysunku, obok rysunków na korze, tzw. tapa, oraz rytowanych statuetek i rytowanych kamieni (petroglifów).

Charakterystyczną formą są tu rzeźbione głowy. Za najstarsze uchodzą trójkątne i płaskie, grubości deski. Wielkie, trójwymiarowe, o jakby cofniętej twarzy, typowe zwłaszcza dla Wysp Salomona i Wyspy Wielkanocnej, są późniejsze. Na Karolinach widzi się głowy geometryzowane, żywo przypominające stożkowe formy surrealisty Chirico. Wreszcie rzeźby wypukłe, twarze z „ustami w ósemkę”: tak zostały nazwane głowy o gęstym spiralnym ornamencie, bez oczu, o ustach wielkich i rozciągniętych w poprzek, jak leżąca ósemka, znajdujące się na Hawajach i w Nowej Zelandii. Cechą wyróżniającą wszystkie rodzaje sztuki oceanicznej jest stałe użycie barwników.

Ustawiczna zgodność zachodzi między formami ekspresji grawerowanej, rzeźbionej i malowanej. Każde nacięcie, każdy relief pociąga barwienie i to właśnie kolor uwypukla czytelność reliefu czy rysunku dzięki różnaitości gamy. Barwniki były w zasadzie rzadkością, handlowano nimi i wymieniano je jak coś bardzo wartościowego.

Rozróżnianie między malarstwem a zdobnictwem zawiera ryzyko fałszywej oceny formalistycznej, jeżeli uprzednio nie zdefiniuje się roli koloru, którym rządzą symbole religijne i techniki powszechne na całym obszarze. Petroglify są bardzo rzadko spotykane, zresztą przedstawiają na ogół identyczne tematy. W Nowej Zelandii i na Wyspie Wielkanocnej spotyka się motyw człowieka-ptaka, o znaczeniu obrzędowym. Grawerunek na przedmiotach użytkowych jest niemal regułą. Segment bambusu, służący jako naczynie do wapna, do tzw. orzechów betelu albo jako flet, jest zawsze dekorowany za pomocą cienkiego ostrza (kamiennego lub ze skorupy grzbietowej kraba) nacięciami zaakcentowanymi czarną farbą. Zdobienia mają przeważnie charakter geometryczny. Najpiękniejsze i pewnie najstarsze okazy pochodzą z Nowej Kaledonii. Przedstawiają sceny figuratywne, nadzwyczaj gęsto rysowane, gdzie można rozróżnić stroje europejskie z początków XIX w. W Nowej Irlandii, na Wyspach Admiralicji, napierszniki ozdobne, zwane kap-kap składają się z dwóch elementów: cienka, delikatnie przecięta skorupa żółwia, mereżkowana symetrycznymi motywami jest umocowana na kręgu przydaczni (duży małż), co daje uderzający efekt czarnego na białym. Na Markizach i na Wyspach Salomona podobny efekt dają diademy z muszli – geometryczne desenie nacięte na muszlach, wydobyte przez potarcie węglem drzewnym.

Ta wielka różnaitość form (także masek) i kolorów łączy się z wyobrażeniami kosmogenicznymi tego obszaru. Formy malarskie (spirale, krzywe sinusoidalne, plecionki, wielokolorowe repetycje pewnych motywów) świadczą o świadomości szczególnych związków między człowiekiem a żywiołami. Malarstwo było tu jakby przebudzeniem ze snu, jednocześnie obrazem świata i racją jego istnienia. W Australii i Nowej Zelandii zdbi się korę drzewną, tzw. tapa (o bardzo subtelnych i pięknych efektach), maluje się także drewniane tarcze, płaskie i żłobione. Na Wyspach Trobrianda płaskie puklerze noszą wyobrażenia ludzkich twarzy albo ptaków. W plemieniu Asmat, na południu Nowej Gwinei, puklerze są zdobione płasko-rzeźbami ludzkich sylwetek lub motywami poszczególnych części ciała. Są one w pewien sposób zaakcentowane kontrastowymi farbami: białą i czerwoną. Tatuaż, rozpowszechniona forma malarska,

biorąc pod uwagę jego motywy i intencjonalność, nie może być traktowany jako zwykłe zdobienie ciała. Wchodzi w zakres wspólnej estetyki łączącej relief, rysunek i malarstwo. Wydaje się, że poszczególne wyspy i archipelagi tylko w detalach są odmienne, ogólnie zachowując ten sam styl. Jak każda sztuka silnie uzależniona od określonego typu społeczeństwa i wierzeń religijnych, twórczość Oceanii uległa nieodwracalnemu upadkowi wskutek kontaktów z cywilizacją zachodnią, poczynając od XVIII w. Tylko regiony najbardziej izolowane (np. Nowa Gwinea) mają jeszcze malarstwo inspirowane wyobraźnią mitologiczną. Najważniejsze zbiory sztuki Oceanii znajdują się w paryskim Muzeum Człowieka, na Trocadéro, i w nowojorskim Muzeum Sztuki Pierwotnej.

* * *

Z tego właśnie muzeum przypominam sobie bardzo interesującą maskę ze szczytowej ściany domu, znad rzeki Sepik płynącej na północy Nowej Gwinei. Jest to najbogatszy artystycznie zakątek Oceanii. Wielka maska jest sporządzona z trzciny, piór, bambusa, drewna i kłów. Pomalowana w krzywoliniowym stylu Sepik, umocowana była kiedyś na szczytowej ścianie tzw. domu mężczyzn. W okolicy Sepik dekorowanie domów mężczyzn i sporządzanie przedmiotów rytualnych wykonywanych w tych domach było głównym zajęciem artystycznym. Domy mężczyzn są ogromnymi strukturami, często ponad 50-metrowej długości i 20-metrowej wysokości, stawianymi na terenach przeznaczonych do ceremonii obrzędowych. Starannie utrzymane i pielęgnowane, były pokryte malowidłami i płaskorzeźbami wyobrażającymi przodków i duchy. Czasem cały trójkąt fasady był zamalowany polichromią z przodkami i istotami mitologicznymi. Dla ludności regionu domy mężczyzn stanowiły ośrodek życia religijnego, społecznego, politycznego i artystycznego. Były miejscem spotkań żywych i umarłych, przybytkiem potęgi nadnaturalnej i rytuałów inicjacyjnych. Tylko mężczyźni i młodzieńcy w trakcie inicjacji mogli tam przebywać. Tam też odbywały się narady dotyczące życia wioski. Maski ze ścian szczytowych domów mężczyzn mają wygląd diaboliczny: małe, okrągłe jak guziki oczka, blisko osadzone i utkwione w widzu; krzywy, cienki, długi nos; ogromne usta od ucha do ucha. Na wardze dolnej – mała reliefowa twarz o niesamowitym wyrazie. Groteskowy efekt tej maski ma bez wątpienia charakter mitologiczny – są to wizerunki ochronne, oddalające złośliwe duchy. Na szczytowej ścianie domu mężczyzn stanowiły także ostrzeżenie dla kobiet i młodzieńców przed inicjacją, którzy nie mieli prawa wchodzić do środka.

W tej oryginalnej kulturze Melanczji i Polinezji – o czym w ograniczonym sensie można jeszcze mówić w czasie teraźniejszym – wykonywanie dzieł sztuki było wydarzeniem i fetą. Zamawiał je bogacz, który utrzymywał artystów i dostarczał im niezbędnych materiałów. Obowiązywała go hojność, oszczędzanie okryłoby go niesławą, bo ograniczało ekspresję i skuteczność obrzędową dzieła. Oczywiście całego plemienia kontrolowały ten szczególny mecenat, lepiej funkcjonujący niż kiedyś mecenat Medyceuszów. Rzeźbiarze w drewnie zajmowali się także sztuknictwem – wykonywali nadzwyczaj bogato zdobione czółna. Ich sytuacja materialna była wyśmienita, cieszyli się dużym prestiżem. Na wyspach polinezyjskich przyznawano artystom cnotę zwaną Mana, zresztą pochodzenia melanezyjskiego; jest to siła wzbudzająca cześć, o właściwościach magicznych. Mana była przekazywalna, a narzędzia artysty zachowywały swoją moc na podobieństwo naładowanego akumulatora, mogły być przekazane godnemu następcy.

W Nowej Zelandii mieszkają Maorysi, lud twardy i pyszny. To klimat ukształtował ich charakter. W typowo dekoracyjnej, symbolicznej sztuce główną rolę gra spirala, prawdopodobnie rodem z heraldycznego, wojennego tatuażu, tzw. moko. Znanca kultury Maorysów, Terry Marrow, wskazuje na pewną tradycję, która otacza kultem wspomnienie wielkiej migracji z połowy XVI w., z archipelagu Wysp Towarzyskich do Nowej Zelandii, czyli podróży na odległość przeszło 2000 mil. Istotą kultury Maorysów jest więc pełna znaczenia historyczna tradycja żeglarska. Dlatego prawie-mistyczny charakter przypisywano pirogom, które przeniosły pierwszych mieszkańców Nowej Zelandii przez ogrom oceanu. W tych warunkach było naturalne, że Maorysi wybrali właśnie pirogę jako przedmiot adoracji i zdobienia. Rzeźby na dziobie i partie drewnianej rufy są najlepszymi okazami sztuki tego ludu. W Petit Palais w Paryżu oglądałem rzeźbiony dziób pirogi, wysokości około metra, z drewna: olśniewająco kunsztowny, delikatny w swoich cudownie rzeźbionych kręgach, lekki i przepyszny. Wedle wierzeń Maorysów sztuka rzeźbienia w drewnie była darem bóstwa Rua, czego dowodem miały być wyobrażenia przodków, najczęstszy motyw rzeźbiarski. Stylizowane spirale, o których wspomniałem, tworzą rodzaj aluzji do formy ludzkiej, o wysuniętej ku przodowi głowie. W utworze „Noa Noa” Gauguin opowiada, jakie miejsce zajmowała piroga w ceremonii intronizacji królów, i potwierdza legendarny charakter czółna w prymitywnej społeczności Maorysów.

Tych kilka przykładów daje zapewne skromny obraz kultury artystycznej wielkiego obszaru Oceanii, gdzie ulokował się też osobny kontynent, Australia.

* * *

Na samym krańcu rejonu Oceanii, wysunięta w stronę Chile, leży tajemnicza jak Atlantyda Wyspa Wielkanocna, którą Tahitańczycy zwą Rapa-Nui. Nazwę zawdzięcza prostej okoliczności, że odkryto ją (Holender Jacob Roggeven) w dniu Wielkanocy w 1722 r. Wszystkich kolejnych żeglarzy przybijających do małej wyspy uderzał ogrom kamiennych, prymitywnie kształtowanych posągów. James Cook zanotował: *Gigantyczne, tak często opisywane posągi nie są bożkami (...) Sądziłbym raczej, że są to grobowce pewnych plemion czy rodów. Widziałem ludzki szkielet świeżo okryty kamieniami na jednym z naturalnych tarasów. (...) Te posągi znajdują się na ogół tuż nad skrajem skalistego brzegu, frontem do morza. Zbudowane są z bardzo dużych ciosanych kamieni. A robota nie jest gorsza od najlepszych dzieł murarskich w Anglii (...) Musiała to być praca na dłuższą metę i dowodzi wystarczająco, jak przemyślni i wytrwali byli wyspiarze w czasach, gdy stawiali te posągi. Zagadka ta zaprzęta umysły do dziś. Kto wykuł długi korowód tych kamiennych gigantów? Polinezyjczycy czy może przybysze z łądu amerykańskiego? Materiał (skała powulkaniczna) był łatwy do obróbki za pomocą kamiennych narzędzi. Nieznani wykonawcy postawili na wybrzeżach przeszło 500 kolosalnych figur mierzących od 3 do 15 m, zapewne wyobrażających przodków. Stały kiedyś na ołtarzach świątyń pełniących równocześnie rolę grobowców. Prawdopodobnie są one wynikiem pracy zespołów wprawnych cieśli działających szybko, wykonujących posągi w ciągu paru tygodni. Siłami setek rąk spuszczano je po równi pochyłej i wyciągano nad brzeg oceanu. Mimo prymitywizmu kształtowania technika transportu i dźwigania, którą trudno sobie wyobrazić, wzbudza podziw. Na wyspie brak drewna, więc z czego wykonywano urządzenia pomocnicze? Ciosane z grubsza rysy kolosów, wedle przyjętej sztampy, nie spełniają warunków sztuki, ale wypełniały swoje zadania rytualne. Są to rodzaje stel, a ich plastyczność nie wychodzi poza tak częstą w Oceanii dwuwymiarowość. Tylko wąskie maski twarzy, zajmujących 2/7 wysokości, ujęte z obu stron muszlami wydłużonych uszu, wydobywają się do pewnego stopnia z płaskości. Cienie rzucane przez zwrotnikowe światło nadmorskie akcentują odwieczną kancistaść tych fizjonomii. I to światło nadaje im jakieś dziwaczne podobieństwo ludzkie.*

Zupełnie inną wagę artystyczną mają małe drewniane statuetki, precyzyjnie obrobione, być może w drewnie wyrzucanym na brzeg, bo jednym gatunkiem miejscowego drzewa jest skarłowaciała *Sophora toromiro*. Już Cook podziwiał małe posążki. Tzw. *moai kavakava* (czyli posążki o licznych bokach) są realistycznymi przedstawieniami,

w stylu niemal makabrycznym, brodatych starców o wyniszczonym ciele, ze sterzącymi żebrami. Na Wyspie Wielkanocnej – jak i w paru innych miejscach Oceanii – ważne znaczenie ma motyw dzioba ptaka, który mógł daleko latać, może albatrosa. Ryty takiego dzioba gęsto pokrywają skały i ławę, zajmując wielometrową przestrzeń, obok wyobrażeń roślin, łodzi i hybrydycznych postaci ludzko-zwierzęcych.

Na drewnianych tabliczkach znaleziono setki drobnych znaków. Pismo na Wyspie Wielkanocnej? Faktem jest, że wielkie kamienne posągi kuto także w Indonezji. Może były prototypem megalitycznych rzeźb olmeckich? Nieograniczone pole dla domysłów. Podobnie jest z pismem. Hieroglify olmeckie i maja są porównywalne do pierwotnych znaków azjatyckich. W piśmie chińskim był etap pikto-graficzny (rysunkowy), mianowicie w kulturze Lung-Szan, z czym niejako zbieżności zdradza rzekome pismo Wyspy Wielkanocnej, podobne także – z drugiej strony – do pisma Mohendżo-Daro z kultury Indusu, wzbudzającej takie zaciekawienie od kilkudziesięciu lat.

* * *

Największą wyspą Oceanii, o rozmiarach piątego kontynentu, jest Australia. Twórczość artystyczna aborygenów australijskich jest bardziej prymitywna – jeżeli to pojęcie w ogóle coś znaczy – niż w innych stronach Oceanii. Obok malowideł naskalnych ilustrujących niezwykle skomplikowany i rozbudowany świat mitologiczny są tu słynne „rentgenologiczne” rysunki na korze, z wyobrażeniami np. kangura czy ryby, jakby prześwieceniemi od środka – ukazują wnętrza tych stworzeń. Malowidła i ryty skalne, o czym jeszcze będzie mowa, są dalszym ciągiem cywilizacji neolitycznej. Od pół wieku tubylcy zaniechali, jak się zdaje, wszelkiej twórczości: normalna kolej rzeczy, gdy oryginalne źródła wierzeń są stłumione cywilizacją białych. Jednak Charles P. Mountford donosi, że w Ziemi Arnhem widział rysunki parowców i barek, a także wielbłądów i myśliwych z bronią palną strzelających do kangurów.

Mountford czyni ciekawe spostrzeżenie: *Wszyscy tubylcy są artystami. Autor tych słów nie spotkał ani jednego, który by nie umiał i nie chciał malować. Wszyscy, wydaje się, już przed przystąpieniem do pracy mają w umyśle całkowicie skończony obraz swego dzieła, bo rzadko kiedy widzi się ich poprawiających kompozycję czy nawet powtarzających pociągnięcie pędzla. Oczywiście nie wszyscy są jednakowo uzdolnieni, ale składniki tych naiwnych przedstawień zawsze są zrecznie zestrojone z przestrzenią, jaką tubylec ma do dyspozycji, a barwy są dobrane z wyczuciem. (...) Tak więc impuls artystyczny jest tutaj tym samym co język, muzyka i taniec.*

Często się tu spotyka ryty na muszlach lub podłużnych kawałkach drewna, albo na kamieniu zwane churinga: ornament składa się z gęsto zwiniętych spirali połączonych innym, też z gęstych linii skomponowanym motywem. Churinga zapewnia łączność z przodkami, ma rozbudowaną symbolikę, kobiety nie mają prawa w tym uczestniczyć. Prof. André Leroi-Gourhan, który stanowczo przestrzega przed imputowaniem artystom prymitywnym kryteriów estetycznych (co czyni cytowany Mountford), dokładnie opisał rytualny, zadziwiający sprawnością i skupieniem proceder grawerowania churingi. Zautomatyzowanym monotonnym ruchom rytującego towarzyszą rytmiczne frazy opowieści-przyśpiewu. Według Leroi-Gourhana jest to typowy przykład *włączenia artysty prymitywnego w proces figuralny*.

Mity opowiadające o stworzeniu świata są przekazywane z pokolenia na pokolenie, głównie za pomocą sztuki, muzyki i udratyzowanych obrzędów. W pewnej epoce, której nikt nie jest w stanie określić, na ziemi istniejącej dotąd w postaci jednostajnej płaszczyzny pojawiły się ogromne istoty o wyglądzie zwierzęcym, ale zachowujące się jak mężczyźni i kobiety. Wędrując z miejsca na miejsce stworzyły one topografię, brzegi, bagna, rzeki i łańcuchy górskie. Okres ten zwie się poetycko Czasem Snów. W rozmaitych okolicach kontynentu uprawiano rzeźbę, animalistyczną i ludzką, zwłaszcza na zboczach wschodnich, gdzie zaznaczyły się pewne wpływy indonezyjskie. Ale najważniejszą formą sztuki pozostawało zawsze malarstwo, dekoracja przedmiotów obrzędowych, broni i narzędzi, wielkie kolorowane rysunki na ziemi, sporządzane w okresie ceremonii totemicznych, misterne desenie tatuażu na ciałach tancerzy i symboliczne znakowania słupów pogrzebowych. Najpiękniejsze są „kompozycje” na korze i naskalne; Australijczycy, w przeciwieństwie do Europejczyków paleolitycznych, nigdy nie zdołali malowidłami wewnątrz grot.

W górach Kimberley, na północnym-zachodzie, przedstawienia postaci człowieka mają niesamowitą formę: są to wielkie obrazy Wandjina i małe – Giro-Giro. Malowidła Wandjina dochodzą niekiedy do 6 m długości, postaci mają białe twarze bez ust, obok nich widnieją jakby wielkie podkowy, z których wytryskują promienie. Wedle tradycji, każdy Wandjina (a byli bardzo liczni) ukształtował powierzchnię ładu na określonym terenie, po czym zamieniał się w węża i krył pod wodą. Przed zniknięciem zostawiał swój obraz w zakątku skalnym wymagając, aby co roku, nim zacznie wiać monsun, ludzie starannie odnawiali to malowidło. Restaurowanie obrazów Wandjina ściąga upagniony w tych wyschniętych stronach monsun

i zapewnia obfitość roślinnego i zwierzęcego pożywienia. Jeżeli ludzie złamią nakaz Wandjina, przyjdzie głód. Co do małych, ledwie kilkucentymetrowych utworów Giro-Giro, malowanych wyłącznie czerwoną farbą, aborygeni twierdzą, że są one dziełem chochlików mieszkających w pobliskich lasach. Sztuka Giro-Giro z reguły przedstawia mężczyzn i kobiety w pełnym ruchu, co ją różni od statycznych wyobrażeń Wandjina. Na płaskowyżu Arnhem można spotkać najciekawsze bodaj okazy tutejszej sztuki, dwóch rodzajów: rysunki „radioskopijne” i rysunki wykonane jednym pociągnięciem, zwane obrazami Mimi, a nazwą tą aborygeni określają gnomów mieszkających w zakamarkach skał. Sztuka „radioskopijna” uprawiana, jak wcześniej wspomniałem, na kawałkach kory, znajduje się także na zboczach skalnych. Artysta maluje nie tylko to, co widzi, ale również to, o czym wie: więc szkielet, serce, płuca, żołądek i inne organy. Nigdzie nie maluje się tego z takim mistrzostwem, jak w skalnych wnękach na zachodzie Ziemi Arnhem. Są tam malowidła ryb, do 2,50 m długości, o pięknych liniach żółtych, białych, czerwonych. Drobne jednoliniowe rysunki Mimi pełne są ruchu nie istniejącego w rysunkach „radioskopijnych”. Jedynym ich tematem jest człowiek w akcji: w trakcie tańca, biegu, walki, miotania oszczepem. Wedle legendy artyści Mimi są wysocy i szczupli, niemal niekonsystentni, więc nigdy nie pojawiają się w czasie burzy, ze strachu, że wiatr ich połamie. Co prawda nikt ich nigdy nie widział, bo mają wzrok i słuch tak wyostrzony, że znikają zawczasu przed ludzkim okiem. Wreszcie malarstwo na korze: zdaje się, że nie ma ono symboliczno-religijnego charakteru, wykonuje się te rzeczy w porze deszczowej, gdy aborygeni używają kory do budowy szałasów. Rysunki te, w różnych tonach barwnych również nawiązują do mitologii stworzenia.

Analiza sztuki aborygenów australijskich jest daleka od ukończenia, a trzeba się śpieszyć, bo każda nowa generacja traci coś z wiedzy o świecie swoich przodków.

Zbigniew Florczak



Kino bez granic

Relacja z Warszawskiego Festiwalu Filmowego

Warszawski Festiwal Filmowy, który odbył się w początkach października, był wielkim wydarzeniem filmowym, które już od 7 lat wpisuje się z powodzeniem do kalendarza imprez kulturalnych stolicy. Obecny festiwal, kontynuacja Warszawskiego Tygodnia Filmowego, jest przeglądem powstałym w 1985 r. w wyniku starań Romana Gutka, Stefana Laudyna i grupki ich przyjaciół. Amatorska pasja miłośników filmu z małego DKF-u na początku pozwoliła zorganizować „Tydzień” w kinie „Kultura”. Z każdym rokiem pomysł rozkwitał i zdobywał sympatyków. W 1987 r. udało się pokazać projekcje równocześnie w dwóch kinach, w tym roku zagościły one w czterech kinach („Atlantic”, „Relax”, „Bajka”, „Luna”) i otrzymały rangę festiwalu. Publiczności zaoferowano do wyboru 82 filmy długometrażowe w ciągu 9 dni. Seanse w kinach poprzedziło uroczyste otwarcie WFF w Teatrze Wielkim. Dzięki pomocy Instytutu Goethego i Instytutu Filmowego z Düsseldorfu przedstawiono galowy pokaz zrekonstruowanej, wiążowanej kopii filmu „Gabinet Doktora Caligari”, klasycznego dzieła niemieckiego ekspresjonizmu z 1920 r., z towarzyszeniem orkiestry „Archida Camera” pod dyрекcją Marka Andreasa.

Niezwykłe osobowości

Od soboty 5 października, rozpoczął się filmowy „maraton”. Tegoroczny przegląd nie miał (jak np. ubiegłoroczny przebiegający pod znakiem kina francuskiego) żadnej dominanty. W sposób szczególny potraktowano jednak kino brytyjskie, niewątpliwie odznaczające się największą liczbą awangardowych osobowości, m.in.: Kena Russella, Petera Greewaya, Dereka Jarmana. Zaproponowano widowni retrospektywę twórczości Nicolasa Roega. Mało znany w Polsce reżyser, który wypracował własny styl obrazowych opowieści o zakamarkach ludzkiej psychiki, mimowolnie stał się gwiazdą – szybko znalazł grono adoratorów. *Hipnotyczny, pretensjonalny, złożony, wizyjny, perwersyjny...* – napisała o mistrzu kamery Anna Kozanecka w katalogu. *Wobec filmów Roega trudno pozostać obojętnym. Mogą drażnić, męczyć,*

*niepokoić, ale zawsze, nawet kiedy się je całkowicie odrzuca, pozostawiają ślad w świadomości czy wręcz podświadomości widza. Roeg epatuje obrazami (...) jest niespokojnym duchem, człowiekiem bliskim szaleństwa (...) kronikarzem najtrudniejszych do zrozumienia ludzkich poczynań, któremu towarzyszy stale wręcz obsesyjne i bezkompromisowe pragnienie znalezienia odpowiedzi na pytanie o sens miłości, śmierci, rozpaczy, ekstazy i mistycyzmu. Oparte często na literackim podłożu scenariusze wykraczają poza swój pierwowzór. Dobrym przykładem tej praktyki jest „Eureka“, film pozostawiający gdzieś w tle esej Edgara Allana Poe i książki Marshalla Houtsa o zabójcach poszukiwacza złota, po to, by na przykładzie losów bohatera, Mc Canna (Gene Hackman), snuć bardziej ogólne refleksje o egzystencji bogacza, który *niegdyś miał wszystko, a teraz tylko wszystko posiada*. Jego otoczenie, a zwłaszcza córka Tracy (Theresa Russell) próbuje pójść śladami ojca, ale zatracą się i błądzą w chaosie życia. Roeg nie pomaga swoim bohaterom. Jak sam mówi, *woli pokazywać rzeczy nawet niekkształtne aniżeli sztuczne. Niedoskonałość może być tak doskonała*.*

Dla tych, których nużą zawilgości Roega, a za to lubią osobliwe, „wyspiarskie“ poczucie humoru, wyświetlono film Terry Gilliana „The Fisher King“. Reżyser – Amerykanin, który przystał do angielskiej grupy komików: Monty Pythona (dlatego piszę o nim obok rdzennych Brytyjczyków) – nakręcił coś więcej niż film do śmiechu: jest tu dużo miejsca na rzewność, na wzruszenie. Jacek Szczerba z „Gazety Wyborczej“ napisał: *Prześmiewca Gilliam złagodził, drapieżność przyprowadził tklivością. To już prawie Woody Allen, prawie Frank Capra*. Film „The Fisher King“ uhonorowano Srebrnymi Lwami na tegorocznym festiwalu w Wenecji. Z niewątpliwie nowatorskimi Brytyjczykami (a wśród nich Kenem Loachem i jego dobrze przyjętym „Riff-Raff“) rozstałam się już w niedzielny ranek 6 października, aby przenieść się w zupełnie inną aurę kina francuskiego.

Miedzy nostalgia i frywolnością

Francuzów zawsze cechowało przywiązanie do przyjemności wpływających z prywatnego życia, w małym, przyjacielskim gronie, przy stole zastawionym aromatycznymi potrawami i umiejętnie smakowanym winem. Ten klimat pogody powszednich dni w Marsylii wypełnia film „Daddy Nostalgie“ Bertranda Taverniera. Główny bohater, 65-letni Daddy, wrócił właśnie do domu po ciężkiej operacji. Do rekonwalescenta otoczonego zanadto skrupulatną opieką żony przy-

jeżdża z Paryża córka. Carolina jest od dziecięcych lat zżyta z ojcem na ów kumpelski sposób, który pozwala im wspólnie od czasu do czasu „przechytryć” bystrą obserwację mamy. I wtedy w barze Bandle płyną wspomnienia... Daddy mówi o swoim przeżytym życiu jak o niegasnącym karnawale, ambasadorska przeszłość przeplata się z anegdotami z życia angielsko-francuskiego małżeństwa i z tym zapomnianym już nieco stylem bycia, który przywodzi na myśl starą dobrą Europę. Ciszę popołudni na tarasie mąci poczucie końca spełnionej drogi. W nostalgicznej zadumie – wspaniale podkreślonej wyważoną grą aktorów: Dirka Bogarde, Jane Birkin, Odette Laure – zawiera się szczypta goryczy. W sumie film, który ocierając się o ekliwiczność nigdy nie przekracza granicy dobrego smaku.

W podobnym tonie niewymuszonej elegancji jest utrzymany inny francuski film, „Dyskretna” Christiana Vincenta. Scenariusz stanowi próbę przeniesienia we współczesność niedawno ekranizowanych „Niebezpiecznych związków” Laclosa. Zamiar uwiedzenia i porzucenia jakiegokolwiek dziewczyny przez bawidamka Antoine’a ma być tu nie tyle przedmiotem cynicznego zakładu, ile materiałem do napisania powieściowej intrygi miłosnej. Przyjaciel Jean stawia przed Antoine’em zadanie przyniesienia do wydawnictwa intymnego dziennika z tej przygody. Pewny siebie „Don Juan” wpada we własne sidła – nie jest w stanie sprostać libertyńskim regułom gry. Fabuła przygód Antoine’a czerpie swą inspirację z arcydzieł XVIII-wiecznej literatury francuskiej i ten nastrój salonowych gier i flirtów udaje się przenieść w nasze „zepsute czasy”. Film dla tych, którzy lubią frywolne opowiadanki. (Natomiast o miłości bardziej serio opowiada film „Mąż fryzjerki” Patrice’a Laconte’a.)

Głównym walorem filmów francuskich pokazanych na WFF wydaje się powrót do tradycji, do dobrze znanych tematów, uniwersaliów, które wystarczy ożywić, aby na nowo zainteresować nimi widzów. Osobnego zwrócenia uwagi wymaga francuska „odyseja podwodna” Luca Bessona, „Atlantis”, opisująca życie na dnie morza (dalszy ciąg nakręconego wcześniej „Wielkiego błękitu”). Film, który umyka wszelkim gatunkowym normom i jest wizualną ucztą dla wszystkich od lat 5 do 100.

Niemiecki rachunek sumienia

Kino krajów niemieckiego obszaru językowego nigdy dotąd nie sprawiło tak dużej niespodzianki, jak przy tegorocznym rozdaniu Oscarów. Zrealizowany w koprodukcji szwajcarsko-włosko-RFN-

-owskiej film Xaviera Kollera „Podróż nadziei“ został uhonorowany Oscarem '91 dla najlepszego filmu zagranicznego. W mojej opinii był to werdykt w pełni zasłużony (poprzedziła go nagroda Brązowego Lamparta w 1990 r. w Locarno). „Podróż nadziei“ to wzruszająca opowieść o próbie przejścia do lepszego życia, do „raju za górą“ ubogiej tureckiej rodziny zdecydowanej na nielegalną emigrację do Szwajcarii. Prości wieśniacy nie zdają sobie sprawy z tego, że eskapada, którą podejmują, łączy się z tak wielkim ryzykiem: nie dosyć, że pochłania wszystkie zasoby materialne i zmusza do rozłąki z dziadkami i siedmiorgiem dzieci, nadto kończy się tragicznie. Jak wyjaśniła przed projekcją Ute Schneider, przedstawicielka firmy „EFDO“ wspierającej dystrybucję wartościowych filmów europejskich, ten film w przejmujący sposób analizuje problem emigrantów ekonomicznych, jacy od lat zalewają rynki pracy zamożnych krajów Europy Zachodniej. Wszakże reżyser wyraźnie sympatyzuje nie z tymi, którzy „udzielają pomocy“ (czasem przejściowo, a kiedy indziej wcale), lecz z tymi, którzy pełni ufności wędrują do owej „Ziemi Obiecanej“ nie przeczuwając swego losu. Ten film zrodził się z moralnego wstrząsu, jakiego doznał Koller czytając w prasie wiadomość o śmierci z wyczerpania tureckiego chłopca w czasie próby nielegalnego przedostania się do Szwajcarii. Scenariusz „Podróży nadziei“ jest owocem refleksji wywołanych przez to wrażenie, a reżyser formułuje je następująco: *Odkąd emigracja dotyka nas wszystkich, szczególnie po dramatycznych zmianach w Europie, nie powinniśmy obawiać się imigrantów napływających do naszego kraju. Niosą oni ze sobą swoją kulturę i mogą wzbogacić naszą, jeśli po prostu pozwolimy im być takimi, jacy są. „Podróż nadziei“ zmusza do postawienia sobie pytań. Nie możemy ciągle powierzać tych spraw politykom, musimy reagować na nie jako jednostki.* Niejako egzemplifikacją tych słów był wyświetlony przed „Podróżą“ film krótkometrażowy „Przez Polskę do raju“ opisujący sytuację uchodźców z Libanu, których nie przyjęły władze szwedzkie i do dziś czekają oni na decyzje dotyczące ich przyszłości w ośrodkach nad Zalewem Żegrzyńskim.

Innym, acz nie mniej ciekawym, filmem o specyficznie niemieckiej tematyce była „Okropna dziewczyna“ Michaela Verhoevena. Grotekowo ujęta historia upartej dziewczyny z Bawarii, która przy okazji poszukiwania źródeł do szkolnego wypracowania odkrywa nazistowskie karty niektórych sąsiadów, obecnie szanowanych obywateli miasteczka, okazała się swoistym filmowym rachunkiem sumienia Niemców. Prawie 50 lat po wojnie niektóre archiwa są nadal niedostępne. Hitlerowska przeszłość to sprawa, która długo jeszcze nie będzie

pozwalala Niemcom spokojnie spać. Zadziorna Sonja dążąca do prawdy stanowi zagrożenie dla tych, którzy mają coś do ukrycia. Jak mówił sam reżyser, gość Festiwalu, historia Sonji jest autentyczna. Film został nakręcony jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec, ale w kinach dawnego Zachodniego i Wschodniego Berlina oglądano go z podobnymi reakcjami – jednakowym zrozumieniem i uznaniem. Dla Niemców po obu stronach Łaby ponury okres Trzeciej Rzeszy nie został jeszcze do końca rozliczony.

Aby uzupełnić obraz filmów z niemieckiego kręgu, trzeba jeszcze wspomnieć o austriacko-RFN-owskim filmie „Ostatnia noc Weininger” Paulusa Mankera. Materiał filmu jest opis gorączkowych halucynacji, jakie poprzedziły decyzję o samobójstwie tytułowego bohatera, Otto Weininger, żydowskiego filozofa porównywanego z Zygmuntem Freudem. Geniusz, odepchnięty przez współczesnych, pozostał nieznany. Film (oparty na sztuce Joshuy Sobola), aczkolwiek trudny, pozwala bliżej poznać autora głośnej przed wojną książki „Płeć i charakter”.

Filmy „niemieckie” nie zaskakują oryginalnością formy ani nie pozwalają na wytchnienie, wymagają rozumowego odbioru, ale za to dają pełnię intelektualnej satysfakcji. Tak oto mniej więcej w połowie Festiwalu pożegnałam kino europejskie, by obejrzeć wielobarwną mozaikę filmów amerykańskich i filmowe nowinki z Australii.

W tyglu Ameryki

Wśród gatunków filmowych są takie, w których Amerykanie są nieprześcignionymi mistrzami. Zaliczają się do nich filmy na tematy paramedyczne (z ostatnich – „Linia życia”), efektywne widowiska (związane z kataklizmami, jak np. pożary – „Płonący wieżowiec”) i wreszcie sagi rodzinne (tu nasuwa się ogromna liczba przykładów od telewizyjnej „Dynastii” po „Cudowne lata”). Na tegorocznym WFF każdy z tych gatunków był reprezentowany przynajmniej jednym przykładem.

Medycyna w ujęciu fabularnym ma swoich zwolenników (najczęściej tych szczęśliwców, którzy nie znają jej ani z pozycji szpitalnego pacjenta, ani lekarza) i im przede wszystkim było dedykowane „Przebudzenie” Penny Marshall. Prawdziwa historia przewlekłe chorych z kliniki neurologicznej w Bronxie, powalonych przez śpiączkowe zapalenie mózgu, którego epidemia nawiedziła Nowy Jork w latach dwudziestych, powtórzyła się na naszych oczach. Spotkanie z grupą katatoników, otępiałych ludzi, poruszających się jak automaty

i zdolnych do wykonywania jedynie najprostszych czynności, stało się wyzwaniem dla zdolnego, świeżo przyjętego do pracy w lecie 1969 r. neurologa, doktora Sayera (Robin Williams). Podjął on ryzykowną próbę „wskrzeszenia do życia” jednego z pacjentów, 40-letniego Leonarda (perfekcyjny Robert de Niro). Eksperymentalne podawanie silnego leku przyniosło rewelacyjne skutki. Na ekranie obserwujemy krótkotrwałą poprawę i następującą po niej, niestety, porażkę w terapii. Film „Przebudzenie” opiera się na fundamencie bardzo solidnego aktorstwa, dzięki któremu widzom udziela się euforia powrotu do życia, radość wprost niepojęta dla ludzi zdrowych. Dla tej radości warto pójść do kina.

Również warto, choć już ze względu na zupełnie inne emocje, przeżyć walkę z żywiołem ognia w filmie „Backdraft” Rona Howarda. Amplituda uczuć, strachu pomieszanego z podziwem dla strażaków, potrafi przykuć do fotela na ponad 2 godziny nawet tych, którzy „kinu rozrywkowemu” stawiają wysokie wymagania. (Na marginesie: nie zawiodą się i ci, którzy na rozrywkowy wieczór wybiorą komedię Petera Weiera „Zielona karta” z Andie McDowell i Gerardem Depardieu.)

Kino amerykańskie jest niezwykle różnorodne. Jak amerykańskie społeczeństwo jest tygłem narodowości, tak też kino jest mieszkanką stylów, języków, punktów widzenia. Oto dwie sagi rodzinne: biała – „Avalon” Barry Levinsona, i czarna – „Chłopaki z sąsiedztwa” Johna Singletona. Pierwsza z nich to tchnące optymizmem, opowiedziane z rodzinnym ciepłem dzieje rodziny Kirschinskiich, której dziadek przybył do USA 4 VII 1914 r. Imigrant, jakich wielu, znalazł się za oceanem w dniu Święta Dziękczynienia i po wyjściu ze statku na ląd doznał olśnienia – nie spodziewał się, że zostanie powitany fajerwerkami sztucznych ogni i świateł. Był pewien, że są one na jego cześć! Ameryka urzekła go od pierwszej chwili. Żywot Sama Kirschinskiego i jego rodziny to lata pracy i wyrzeczeń, kariery kupieckiej syna i gromadzenia pieniędzy. Spotkania całego rodu w Dniu Dziękczynienia przy krojeniu tradycyjnego indyka unaoczniają kolejne etapy budowania własnego kapitału, prestiżu i zarazem budowania Ameryki.

Druga saga, murzyńska (reżyserem jest także Murzyn), jest pesymistyczna. Rozbite małżeństwo, 10-12-letni chłopiec włączający się z kolegami po przedmieściach Los Angeles i dojrzewanie w grupie rówieśniczej. Dojrzewanie do przemocy, skrajnego rasizmu, udziału w bójkach gangów, czasem przytłaczonych nawet czymś zyciem. Głównemu bohaterowi udaje się wprawdzie wyrwać z tej zdeprawo-

wanej dzielnicy, ale jest on wyjątkiem. Dwie sagi, dwa oblicza Ameryki, jasne i ciemne – różnica pomiędzy nimi tkwi głębiej w mechanizmach społecznych, nie da się jej sprowadzić do powierzchownych kontrastów.

Poezja codzienności

Po latach amerykanizacji film australijski powraca do własnych korzeni, szuka swojej tożsamości. Umieszczenie w festiwalowym przeglądzie dwóch filmów Paula Coxa i obecność samego reżysera wśród gości imprezy przyniosła świeży, ożywczy powiew, smak egzotyki przemieszany z poczuciem bliskości. Dwa pokazywane filmy (w obu wystąpiła polska aktorka Gosia Dobrowolska) odznaczają się kameralnością, skierowaniem uwagi na przeżycia zwykłych ludzi (*każdy jest bohaterem swojego życia*), swoistą poezją codzienności. „Złoty warkocz” to migawki z życia zegarmistrza Bernarda, kolekcjonera i introvertyka. Bernard kupuje zabytkową komódkę. W jednej ze skrytek znajduje obcięty warkoczek jakiejś blondynki. Wyobrażenia podpowiada mu, jak mogła wyglądać właścicielka... „Opowieść o kobiecie” to opowieść o starości i śmierci traktowanych bez zgorzknienia, odrazy i lęku, nie jako temat tabu, a jak sprawa normalna, z którą każdemu przyjdzie się zmierzyć. Główna bohaterka, 78-letnia chora na raka Martha (choć przypomina nieco bohaterkę powieści Patricka White’a „Oko cyklonu”), jest wzięta z życia, a nie z literatury. Jest to dama, która odchodzi z tego świata z godnością. Na koniec oddajmy głos Paulowi Coxowi, oto urywki z konferencji prasowej: *Mój wybór bohaterów? Dlaczego samotnicy? Kiedy myśli się o indywidualnym życiu poważnie, dochodzi się do refleksji, że każdy jest outsiderem w świecie, który zastajemy. Każdy jest sam w chwilach ostatecznych (zwłaszcza w konsumpcyjnych społeczeństwach). Ja nie lubię bohaterów z wielkich ekranów (silnych, przebojowych). Kino jest namiastką, cukierkiem smakowanym przez szybę, życie jest bogatsze o tę szczyptę szczeroci, której nie umie oddać film. Dlatego kręcę kameralne filmy, one są bliższe prawdziwego życia.*

Kino świata

Warszawski Festiwal Filmowy jest niewątpliwie pewnego rodzaju oknem na świat. WFF to rzeczywiste konfrontacje z kinem świata, lepsze niż impreza nosząca to miano. Należy się zatem pełen szacunku ukłon dla organizatorów, a w szczególności tych, którzy WFF

powołali do życia, co wynikało z ich rzeczywistego zafascynowania kinem, a nie z urzędowych działań. Panorama najnowszych filmów ze wszystkich kontynentów to nie tylko uczta dla kinomanów, to także obraz świata bez granic zarejestrowany kamerami artystów, ludzi niezwykle wrażliwych, którzy postrzegają otoczenie z wyjątkową ostrością. Przez ich ręce, jak pokazuje festiwalowy plakat, nie oszlifowany brylant – sztuka filmowa – trafia do widzów. Każdemu uczestnikowi Festiwalu przypada w udziale poznanie przynajmniej okruchów z nieprzebranego bogactwa jej iluzji i magii.

Anna Pietrzak



sesje · sympozja

DIAKONAT STAŁY –
„CENNY OWOC SOBORU“

Międzynarodowe
spotkanie
diakonów stałych

Budapeszt, 3–7 IV 1991

Organizatorem spotkania diakonów stałych była Węgierska Konferencja Biskupów oraz Międzynarodowe Centrum ds. Studiów i Wspierania Diakonu Stałego (Freiburg in Brsg., RFN). W zebraniu tym brało udział ponad 200 przedstawicieli 21 krajów, w których został wprowadzony diakonat. Reprezentowali oni prawie 17-tysięczną rzeszę stałych diakonów pełniących swą służbę w 100 krajach świata: 235 – w Afryce; 10 460 w Ameryce Północnej (Kanada – 630; USA – 9830); 1905 – w Ameryce Środkowej i Południowej; 67 – w Azji; 100 – w Australii i Oceanii; 4115 – w Europie (Andora – 2; Austria – 220; Belgia – 412; Czechosłowacja – 1; Dania – 1; Finlandia – 1; Francja – 650; Hiszpania – 105; Holandia – 103; Irlandia – 2; Jugosławia – 8; Luksemburg – 2; Monako – 1; Niemcy – 1537; Portugalia – 36; Szwajcaria – 43; Szwecja – 6; Węgry – 4; W. Brytania – 182; Włochy – 801; ZSRR – 1). W zjeździe brali udział także przedstawiciele Polski i Rumunii, krajów, w których nie został jeszcze wprowadzony urząd i posługa diakona stałego. Katolicki Kościół

w Rumunii zamierza wprowadzić diakonat niebawem; w naszym kraju natomiast droga do diakonatu wydaje się dość długa, ale już w tej chwili istnieją wypracowane przez grupę osób tworzących tzw. Krąg Diakonacki i Ośrodek Badań nad Diakonatem Stałym przy Stowarzyszeniu „Gaudium et Spes“ w Suwałkach tak teoretyczne jak i praktyczne podstawy umożliwiające reaktywowanie tej posługi.

Od początku w zjeździe brali udział: przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, abp Lajos Kada, Węgier, sekretarz Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, sekretarz Konferencji Episkopatu Węgier, bp Asztrik Várszegi, bp Utrechtu De Kok oraz biskupi z Niemiec i Rumunii. Abp Kada pod koniec spotkania wygłosił przemówienie, które prócz części ściśle historycznej i przypominającej podjęte przez Sobór Watykański uchwały dotyczące diakonatu stałego sprowadziło się do zdecydowanego wskazania na tę posługę jako *cenny owoc Soboru*.

Budapeszteński zjazd składał się z dwóch części. Od 3 do 4 kwietnia z zarządem Międzynarodowego Centrum ds. Studiów i Wspierania Diakonu Stałego spotkali się przedstawiciele nie istniejącej już wspólnoty krajów demokracji ludowej. Nie byli obecni reprezentanci Albanii i Bułgarii. Każdy przedstawiał historię Kościoła swego narodu, obecną sytuację oraz szanse rozwoju diakonatu stałego. Później, już na forum dostępnym dla wszystkich uczestników, każdy miał możliwość przedstawienia streszczenia swej wypowiedzi. Otrzymaliśmy przerażający obraz tej części Europy, która

w sposób świadomy została doprowadzona do upadku materialnego, ekologicznego i moralnego.

W drugiej części budapeszteńskiego spotkania prócz świadectw przedstawicieli diakonów z różnych krajów i kontynentów o wielorakiej posłudze liturgii, słowa i miłości, a także osób z byłych krajów tzw. demokracji ludowej, mieliśmy okazję wysłuchać dwu wykładów na temat sytuacji w społeczeństwie i Kościele węgierskim, a następnie duchowości diakona oraz miejsca i roli żony diakona stałego w jego posłudze.

Relacje na temat posługi diakona w Kościele i społeczeństwie („Formacja i rozwój diakona“; „Diakon a wspólnota parafialna“; „Diakon zaangażowany na stałe w Kościele i posiadający zawód cywilny“; „Diakoniat międzynarodowy a ekumenizm“; „Wspólnoty grup podstawowych“; „Posługa diakona w parafii“; „Szalom-diakonia“; „Posługa diakona pośród obcokrajowców i emigrantów“) dla osób od lat związanych z ruchem diakonackim czy dla samych diakonów stanowią okazję wzajemnego umocnienia w posłudze i jej ożywienia przez wskazywanie możliwości, a także okazania wdzięczności Bogu za to, że Jego Kościół staje się sakramentem.

Wykład znanego nie tylko na Węgrzech socjologa, Miklosa Tomka, dzięki analizie faktów życia społecznego stanowił egzemplifikację spostrzeżeń duszpasterskich jego brata Ferencza o możliwościach diakonatu stałego na Węgrzech i jego roli w społeczeństwie i Kościele węgierskim.

Zagadnienie duchowości jest dość często podejmowane podczas tego

typu zjazdów już to w formie osobnych referatów, już to krótkich opracowań, które stawały się przedmiotem dyskusji w grupach. Prof. dr Albert Biesinger z Uniwersytetu w Salzburgu swą wypowiedź na ten temat zaopatrzył w podtytuł, który w istocie tłumaczy jego wywód: „Diakonijna duchowość“. Wskazując na Chrystusa diakona (J 13,14.15) i Jego obecność we wspólnocie ludzkiej jako potrzebującego i posługującego zarazem (Mt 25,40) Biesinger wychodzi od funkcji diakona podczas Eucharystii, które określają jego sposób działania: diakon jest tym, który przedkłada Bogu dar i dzieli, uczy dostrzegania Pana w potrzebujących bliźnich i uwielbiania Go w nich, ma udział w misji jednania i pokoju.

Interesujący okazał się również wykład Ewy Marii Vogel z Salzburga (Austria). Mówiła ona o miejscu i roli żony diakona w posłudze męża. Okazuje się ona niezwykle ważna, choć wielokrotnie nie doceniana przez kler. To najpierw Kościół domowy okazuje się dla żonatego diakona tym miejscem, w którym staje się on przede wszystkim dla żony i dzieci diakonem, ale też żona i dzieci okazują się sojusznikami w podtrzymywaniu go w pełnieniu trudnej posługi.

Całość spotkania została podsumowana przez dwóch Holendrów, a mianowicie wiceprezydenta IDZ R. Masciniego i od lat związanego z ruchem diakonackim profesora prawa kościelnego ks. O. ter Reegeny. W swym wystąpieniu zwrócili oni uwagę na następujące sprawy.

1. Kościół o tyle będzie sakramentem w świecie, o ile stanie po stronie

człowieka stając się znakiem sprzeciwu wobec społeczeństwa dążącego do traktowania osoby jako środka do wzbogacenia (na Zachodzie) lub przedmiotu, za pomocą którego można realizować ideologię (na Wschodzie). Wszędzie, gdzie człowiek jest traktowany instrumentalnie, depcze się podstawowe normy i wartości oraz prawa człowieka.

2. Ze zdumieniem – my ludzie Zachodu – usłyszeliśmy o pełnym odwagi działaniu naszych braci i siostr na Wschodzie, którzy nie obawiali się podejmować ryzyka przepowiadając i szukając nowych dróg przepowiadania, a jednocześnie troszcząc się by w nowej sytuacji nie stać się jako Kościół przedmiotem nowej manipulacji, ale realizować swe posłannictwo jako społeczność alternatywna.

3. Świadectwo posługi, którymi dzielili się nasi bracia i siostry z Zachodu i Wschodu, napawają optymizmem. Oto Kościół staje się przede wszystkim żywą i ożywiającą wspólnotą dzięki małym grupom (wspólnotom podstawowym), które stają się podstawą Kościoła w Brazylii, Bolonii, Tuluzie i w innych miejscach świata.

4. Należy dążyć do takiego kształtu Kościoła, w którym posługa diakonańska nie będzie traktowana jako zastępcza ze względu na brak powołań kapłańskich, ale jako przynależna do istotnej wizji Kościoła i wyrażająca jedną z jego podstawowych funkcji, dzięki którym Kościół urzeczywistnia się i staje wiarygodny.

5. Sytuacja Kościołów Europy Środkowej i Wschodniej okazuje się szansą budowania po tyłu latach

wspólnoty o wymiarze diakonalnym; nie chodzi jednak o to, by stać się lustrzanym odbiciem Kościoła zachodniego.

6. Interesujące okazuje się budowanie duchowości diakonańskiej na podstawie teologicznego zdania: Bóg kocha człowieka; miłość ta zyskuje swój najpełniejszy wyraz ze strony Boga w Eucharystii; ze strony człowieka winna stać się manifestacją jedności i miłości przenikającej Kościół domowy, który okazuje się pierwszym polem doświadczenia diakonańskiej posługi męża i ojca.

Marek Marczewski

książki

TRUDNA UFNOŚĆ

Tadeusz Różewicz
Plaskorzeźba

Wydawnictwo Dolnośląskie,
Wrocław 1991, ss. 131

7 X 1991 r. Tadeusz Różewicz odbierał z rąk władz Uniwersytetu Wrocławskiego doktorat honoris causa z okazji 70. rocznicy urodzin. To szlachetne wyróżnienie nie ominęło poety, mimo że przez całe lata nie zabiegał o oficjalne „honory”, mimo że napisał w najnowszym zbiorze: *kiedyś / otrzymałem / „Sztandar Pracy” (...) a przecież / zasłużyłem sobie / na / order uśmiechu / bodaj /*

trzeciej klasy // wszystkich ludzi / dobrej woli / proszę // Oszczędźcie mi: // jubileuszów / „sukcesów”. Ten człowiek o charakterze trudnym dla natrętów, o osobowości nazbyt skomplikowanej dla prostaczków, o reakcjach łagodnych, a nawet o pewnej bezbronności wobec osób traktujących go uprzejmie, stworzył najbardziej przewartościowany kanon poezji współczesnej, kanon pesymizmu sztuki XX w., który wespół z kanonem idealizmu Zbigniewa Herberta buduje naszą dwubiegunową rzeczywistość artystyczną. Ów znak „minus” cechujący świat poezji Różewicza zdaje się dziś bardziej znaczący niż w początkach twórczości poety, kiedy przewrót dokonany w poezji przez autora „Niepokoju” został zaledwie zauważony. Ktokolwiek dziś, ktokolwiek w minionych dziesięcioleciach zajmował się poezją, nie mógł nie odnieść się do Różewiczowskiej filozofii nicości i do jego koncepcji antypoezji, tak jak nie mógł nie odnieść się do Herbertowskiej postawy heroicznej i etycznego uniwersalizmu. Polemizując z ocenami krytyków Różewicz pisał w „Przygotowaniu do wieczoru autorskiego”: *Ani jeden z tych panów nie wpadł na ślady ранnego człowieka, który szuka schronienia. Nawet nie człowieka, tylko stworzenia. Człowiek przecież został zamordowany w Oświęcimiu, co się stało z poezją? To dramatyczne pytanie postawił poeta kilkanaście lat po zakończeniu wojny. I przedtem, i potem głosił „śmierć poezji”. Drażniący niektórych niekonsekwencja Różewicza w teorii i praktyce poetyckiej wynika prawdopodobnie z głębszego niż u innych instynktu moralnego, który NIGDY nie pozwo-*

lił poecie zgodzić się na siebie, istotę ludzką ocalałą z wojennego pogromu, a więc potencjalnie umarłą, a więc niegodną istnienia po zbrodni ludobójstwa. W cytowanym już „Przygotowaniu...” czytamy: *Czasami myślę, że moja nienawiść do poezji ma swoje źródło w romantycznej miłości. (...) Poeci lepiej od innych ludzi czują bezsilność i słabość człowieka w świecie współczesnym. Błądzą z rozpacz. I dalej: Tworzymy „różę” nie na mocnej kanwie, ale w pustce. Zjawisko to zauważyli socjologowie. Nie zauważyli poeci. Nie zauważyli i bawią się dalej. Poezja nie może spadać w próżnię, musi się zatrzymać, musi się odbić choćby od dna, aby znów wydobyć się na powierzchnię. Tymczasem ludzie się rozstępują, są od siebie tak odlegli, że między ręką i ręką, między sercem i sercem rozciąga się nieskończona pustka. Dopóki mieszkańcy wielkich współczesnych miast nie zaczną tkąć nowej, mocnej kanwy życia, poezja i sztuka będzie spadała w pustkę.*

Poezja i dramaturgia Różewicza są budowane ze świadomością tej pustki w tle. Przywołana przez poetę „róża” pochodzi z pamiętnego poematu „Spadanie”: *potępione anioły / spadały głową w dół / człowiek współczesny / spada we wszystkich kierunkach / równocześnie / w dół w górę na boki / na kształt róży wiatrów*. Poetyka spadania wspierająca się na fizycznym prawie entropii kształtuje do dziś twórczość autora „Kartoteki”. Człowiek według Różewicza to zbiór rozproszonych elementów na próżno szukających idei, aby na nowo się złożyć w pierwotną całość. Cały zbiór „Płaskorzeźba”, którego tytuł kojarzy się z płytą

nagrobną i ołtarzem jednocześnie, jest poszukiwaniem sensu ludzkiego życia w sytuacji rozpadu, próbą uzasadnienia życia z perspektywy zbliżającej się fizycznej śmierci. Czyżby więc śmierć miała być ową zbawienną ideą? Z właściwą sobie przewrotnością poeta przymierza się do tego tematu: *Wiem, że umrę cały / i stąd płynie / ta słaba pociecha / która daje siłę / trwania poza poezją*. W wierszu poświęconym pamięci Paula Celana, w poemacie „przerwana rozmowa” nawiązującym do ostatnich momentów życia Franza Kafki powracają motywy śmierci jako aktu wyzwolenia i jako rzeczy, faktu, konkretnego zdarzenia. Konkretny słowny, jakim od początku operuje Różewicz, w najnowszych wierszach nabiera metafizycznego lśnienia; obecne w nim przeczucie śmierci promieniuje nieuchwytnym blaskiem tajemnicy. W wielu wierszach powracają cytaty niemieckojęzyczne dokumentujące fascynację poety filozofią i literaturą niemiecką, zwłaszcza Winckelmannem, Heideggerem i Goethem. Te cytaty pogłębiają atmosferę niezwykłości, pomieszanie języków unaocznia niezmienną ludzką przeznaczenia widzianego z perspektywy ostatecznej.

„Płaskorzeźba” jest poetyckim rachunkiem sumienia, próbą dokonania bilansu w sferze życia i twórczości poety. W wierszu poświęconym pamięci Konstantego Puzyny bohater liryczny pyta i odpowiada sobie: *co ze sobą zabrać / na tamten brzeg / nic (...) a więc to tylko tyle / tylko tyle / więc to jest całe życie / tak całe życie*. Tadeusz Drewnowski w monografii o pisarstwie Różewicza („Walka o oddech”, Wyd. Artysty-

czne i Filmowe, Warszawa 1990) poświęcił cały rozdział trzem znaczeniom Nic w jego poezji: wykładni metafizycznej, etycznej i socjologicznej tegoż Nic. Przytacza tam entuzjastyczną opinię Andrzeja Kijowskiego o zbiorze „Nic w płaszczu Prospera”: *To poeta III wojny – wojny o człowieka, o wartości*. Teoria agresywnego Nic, które JEST rzeczywistością, czyni Różewicza twórcą nowej filozofii przeciwstawnej tradycyjnemu nihilizmowi. Nielatwa była ona do zrozumienia także dla mądrych Kościół, którzy niejednokrotnie atakowali poetę właśnie za jego rzekomy nihilizm. Nic z cytowanego wiersza znaczy – tak samo jak gdzie indziej – Wszystko, a przewrotna gra słów służy raczej, co częste u Różewicza, gmatwaniu sensu niż jego wyjaśnianiu. Co więc oznacza owo Nic-Wszystko? Oznacza całe życie człowieka, bogactwo jego osobowości, całość doświadczenia, miłość i nienawiść, ufność i wątplenie, to co pomyślane i nie pomyślane jednocześnie. Jeśli przyjrzeć się bliżej Różewiczowskiej koncepcji świata, można w niej dojrzeć (czy wbrew zamiarom autora?) zbieżności z filozofią chrześcijańską. Ja – tutaj jestem prochem, niczym, dopiero Bóg, gdy zechce, powoła mnie do swej chwały. Różewiczowi nie są obce postawy mistyków, sam sugeruje powyższe zbieżności. Przywołując św. Jana od Krzyża i św. Teresę z Avili mówi o koncentrowaniu uwagi na niczym, mówi, że *nie ma mistycznego uniesienia bez umysłowej pustki*. Wbrew pozorom poeta pisze to bez sarkazmu, rejestruje tylko warunki i fakty mistycznej reguły gry. Podobnie w wierszu „jeszcze próba”

zdaje się wyznawać franciszkańską zasadę skromności: *może nie trzeba / budować do nieba? / może lepiej / przy ziemi / do ziemi*. Czyli do, dla śmierci? W „Przygotowaniu do wieczoru autorskiego” poeta dokonuje znamiennej samooskarżenia: *Aby zmartwychwstać poezja musiała umrzeć. Byłem i ja sprawcą i świadkiem jej śmierci*. Te słowa były niejednokrotnie i niejednoznacznie komentowane. A może wystarczy po prostu przypomnieć rodowód idei zmartwychwstania? Zauważyć, że bez ofiary Chrystusa nie byłoby na świecie tej idei? Oceniając z tego punktu widzenia możemy stwierdzić, że Różewicz jest wyrazicielem prawd ewangelicznych i – idąc dalej tym tropem – że właśnie w Ewangelii znajduje się precyzyjny klucz także do współczesnej myśli europejskiej. Kiedy filozofowie i poeci głoszą za Nietzschem śmierć Boga, ich głos wraca rykoszetem, by w następnym zdaniu stać się zaprzeczeniem tej tezy. Jeśli poeci wątpią, ktoś (sam Bóg?) podpowiada im słowa otuchy. Różewicz wątpi: *W drodze do Nowego Człowieka / do nowej Jerozolimy / do Utopii // zmęczony / szukałem cienia pod drzewem wiadomości / dobrego i złego / ale drzewo uschło / rozwiło się // odarty przez czarnego anioła / z wiary nadziei miłości / znalazłem się na drodze / pustej ciemnej / wyjębionej*. Czy jednak nie w wątpleniu jest ukryta trudna ufność, która każe poecie wyznaczyć w otwierającym zbiór wierszu:

*największym wydarzeniem
w życiu człowieka
są narodziny i śmierć
Boga*

(„bez”)

I chociaż treścią wiersza jest poszukiwanie utraconego Boga, On przez negację, przez nieobecność znajduje się tu nie mniej niż w wierszach Jana Twardowskiego, gdzie opisywany bywał z detalami i występuje w pełnej gali. Różewicz z pokorą wyznaje Bogu, do którego zwraca się przez duże Ty, swoje winy, winy poety niepokornego. W paradoksie tego wyznania wyblyska nagle światło takiej wiary, że w jednym błysku scala rozproszony kosmos tej poezji:

*życie bez boga jest możliwe
życie bez boga jest niemożliwe
(„bez”)*

Kto wsłucha się uważnie w paradoksalną prawdę tego dwuwiersza, dosłucha się w nim tchnienia samego Przedwiecznego, który dla niepoznaki skrył się za małą literą swojego Imienia.

Adriana Szymańska

ZARAŻONA MURTI-BINGIEM

Zyta Oryszyn

Czarna iluminacja

Now-a, Biblioteka „Pulsu” ss. 64

Ta książka wciąż nie ma swojego oficjalnego wydania, a przecież należy do ważniejszych lektur (przynajmniej moich) polskiej prozy drugiego obiegu. Nie doceniona i mało dostrzeżona przez krytykę (cóż zresztą ona dziś właściwie postrzega, zachłystując się głównie wartościami dzieł idoli emigracji i konspiracji),

„Czarna iluminacja” jest godnym uwagi literackim zwierciadłem i komentarzem epoki stalinizmu w naszym, rodzinnym wydaniu. Epoki, która trwa w zbiorowej pamięci po dziś dzień w postaci złowrogiego, jakby zakazanego – a w związku z tym nadal chyba nie dość rozpoznanego – mitu. Istnieje coś w rodzaju niepisanej umowy społecznej, uznającej poznawcze czy wspomnieniowe powroty do lat 50. za co najmniej niestosowne, jeśli nie wręcz niebezpieczne dla zdrowia psychicznego i samopoczucia. Wstydzimy się albo nie umiemy szczerze rozprawić o polskiej „zdradzie klerków” tamtego okresu – jeszcze od niedawna korzystając chętnie z rozgrzeszającej eufemistycznej formułki oficjalnej propagandy: „okres błędów i wypaczeń”. Odnotowując owe tendencje charakterystyczne dla naszej „zbiorowej pamięci” mam na myśli oczywiście tych, którzy na własnej skórze doświadczyli oddziaływania ideologii i praktyk socrealizmu, a nie tych, którzy mają do niego stosunek historyczny. Ci młodsi na ogół nie pojmują i chyba nigdy nie pojmą powodów oraz sposobów zdominowania społecznej świadomości przez tak odrażająco negatywny w dzisiejszej percepcji zaborczy mit; nie mieści im się w głowach i chyba nigdy nie zmieści, jak różni protagoniści grup społecznych, intelektualistów i twórcy – występujący później nieraz w obronie swobód oraz praw obywatelskich, składający jako pierwsi w latach 70. i 80. swe podpisy pod właściwe listy protestów politycznych – mogli kiedyś tak łatwo dać się wziąć na lep totalitaryzmu i składać artystyczne hołdy ku chwale

generalissimusa – słońca wszechczasów.

„Hańba domowa” – to dla młodego, posolidarnościowego pokolenia hasło chyba najcelniej ujmujące istotę sprawy, czyli zbiorową dewiację umysłów i dusz w epoce stalinowskiej: ktoś się zhańbił, zbrukał, zeświñił dla doraźnych przywilejów czy zysków, a potem to odpokutował albo odpokutowuje, i dobrze mu tak. Tymczasem „hańba” to zbyt „krótki” historycznie, nie wchodzący w sedno mitu termin (również w realizacji Jacka Trznadla, czyli w jego głośnych wywiadach zatytułowanych „Hańba domowa”, które pozostawiły ślad w postaci funkcjonującego dziś hasła), to ledwo opis czy zestawienie klinicznych objawów degrengolady... Ci „domownicy” nie mieli poczucia zhańbienia – ani wtedy, ani potem; raczej mieli w pamięci wiszący nad nimi miecz nieodpartej konieczności historycznej i grozy. Kategorie hańby i podobne stają się wobec tej perspektywy dziejowej płytkie, nieadekwatne, zawodne; o tym próbuje przekonać powieść Zyty Oryszyn (jak i druga wydana w latach 80. „stalinowska” pozycja tej autorki „Historia choroby, historia żaloby”). Jest to utwór, stawiający problem właściwego podejścia do tematu zespołowego zaczadzenia mózgów w dobie socrealizmu. Po lekturze tej książki trudno się dziwić, że wielu rozmówców J. Trznadla nie znajduje dobrych, zadowalających czytelnika odpowiedzi na pytania inkwizytora z naszego „tu i teraz” (nawet solidaryzując się z jego wysiłkami): po prostu oni nie umiają odpowiedzieć tak, by zadowalało to ich samych, wiele pytań wciąż czeka

na odpowiedzi, którym da szansę zapewne dopiero inne postawienie pytań. Czytam książkę Oryszyn jako zaproszenie do dyskusji nad mitem, który jest bezceremonialnie demitologizowany i spłaszczany. Przecież nie był to jedynie negatywny, pragmatyczny wytwór ideowy swoich czasów; żeby go pojąć, trzeba bardziej niż w negatywy próbować wniknąć w pozytywną mentalność epoki. Trzeba docenić i zanalizować jego techniki oddziaływania na świadomość, metody werbowania, sposoby kokietowania, wyposażania jednostek w dalekosiężną broń nadziei, otwierania przed masami – zwłaszcza wiejskimi – dziejowych szans awansu. Obie powieści Z. Oryszyn odchodzą od szablonów i półprawd w interpretacji mitu stalinowskiego; ukazują, jak ten mit nie tylko wyzwał złe moce, uruchamiał najgorsze instynkty ludzkie, ale i jak porywał wyobraźnię, omotywał psychikę.

„Czarna iluminacja” to opowieść o inicjacji ideowej dokonującej się przede wszystkim właśnie przez zawładnięcie wyobraźnią jednostek w najważniejszej fazie jej rozwoju, czyli w młodości. W przypadku bohaterki utworu i szerokiego grona jej szkolonych sojuszników walki o świetlaną przyszłość stał hartowała się nie tyle w drylu czy strachu, ile w wyzwaniu rzuconym zastanemu światu, w wyzwolonej fantazji; jej kuźnią było wizjonerstwo i magia czynu współtworzenia dzieła epokowych przeobrażeń. Mit oferował KAŻDEMU nastolatkiowi już, teraz odpowiedzialną rolę społeczną. Żaludniał banalną, nudną rzeczywistość mrowiem czyhających szpiegów, wrogów, dywer-

santów, sanacyjnych reakcjonistów; angażował do walki o powszechne szczęście używając do jego zdefiniowania całego arsenału najwymyślniejszych epitetów. Bronią w tej psychologicznej wojnie o rząd dusz był język, bardzo kwiecisty i odwołujący się do batalistyczno-baśniowej topiki; oto jakimi słowami nauczycielka-komisarz wabi młode pokolenie w szeregi posłusznych realizatorów Orwellovskiego państwa na ziemi (moje podkreślenia – M.Or.): *Szukaj wroga! Odstaniaj jego sanacyjną PRZYLBICĘ! Demaskuj wrogie elementy (...) SZCZURY w ideologicznie WYLINIANYCH FUTRACH (...) Zapłoną BOMBKI SZCZĘŚCIA w każdym robotniczo-chłopskim domu. Wojna trwa! (...) nie tak daleko pływają STATKI-UPIORY. A w statkach jak w PUSZCZE PANDORY zdraдлиwe treści: karabiny, granaty (...) i Coca cola!* I tak dalej. Można było się widzieć żołnierzem (tej stanowiącej zadanie) przede wszystkim dla wyobraźni wojny, trybunem wolności, prowadzącym ludzi nawet wbrew ich woli ku wspólnemu szczęściu. Można było, jak kilkunastoletnia bohaterka „Czarnej iluminacji”, żyć myślą o przyszłej karierze Wielkiego Pisarza Socjalizmu, naprowadzającego zbłąkanych na właściwe ścieżki: *Kto czytał z zapartym tchem o Zoi Kosmodemianskiej? Kto uczył się na przykładzie Pawki Morozowa? Ona. Otóż będzie tak: weźmie do ręki pióro i napisze sztukę, jakiej nie widział świat... SŁOWO uleczy jej ojca. Uleczony ucałuje córeczkę, cukierka przyniesie i może nawet do Partii zapisze się...*

Fabula książki, oparta na szkolnych i rodzinnych przypadkach dziew-

czynny dojrzewającej w apogeum zbiorowego zamroczenia doktryną marksizmu-leninizmu, nie zaspokaja naszego poczucia sprawiedliwości dziejowej, nie jest opowieścią o szalejącym terrorze grupowym i indywidualnym strachu; raczej – rekapitulacją zawiedzionych nadziei, zrujnowanych ambicji, wielkiego żalu przebranej młodości. Bohaterka do końca książki nie umie rozstać się ze swoim światem złudzeń i zrozumieć sensu swej porażki, a narrator wcale nie próbuje za to – mówiąc kolokwialnie – dać jej po głowie (czego by nie omieszkął uczynić w poincie wyznawca dominującej pragmatyki „hańby domowej“). „Czarna iluminacja“ to intencjonalne studium świadomości drażnionej i opanowanej przez mit polityczny, zarażonej pigułkami Murti-Binga, wchodzącej w przedsięwzięcie totalitarnego spełnienia; zarazem – wytrawna, jak sądzę, literacka analiza oraz prezentacja technik i sposobów rozpoznawania, realizowania stalinowskiej mentalności, opis funkcjonowania mechanizmów indoktrynacji. Może nie zgadza się studium Z. Oryszyn z naszymi nawykami czytelnictwami czy wyrabianymi dotąd poglądami, ale to właśnie moim zdaniem należy przyjąć jako jego zaletę.

Mieczysław Orski

SPRZYSIĘŻENIE KIJOWSKIE

Stefan Kozak

Ukraińscy spiskowcy i mesjaniści – Bractwo Cyryla i Metodego

IW Pax, Warszawa 1990 ss. 284

Ważne procesy wyodrębniania się Ukrainy miały swój początek w XIV w. Wtedy to ekspansywna Litwa Gedymina i jego synów, Kiejstuta i Olgierda, zbudowała Wielkie Księstwo od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego, wydzierając spod panowania tatarskiego słabe, bo rozdrobnione, księstwa ruskie. W tym parciu litewskim na wschód rywalem stała się Polska Kazimierza Wielkiego, który odziedziczył po wymartych książętach halicko-włodzimierskich Ruś Czerwoną. Ważne też następstwa miał układ w Krewie z 1385 r., gdy dzięki unii personalnej powstało na wschodzie Europy mocarstwo polsko-litewskie. W ten sposób odrębny rozwój Rusi zachodnio-południowej, czyli Ukrainy, został utrwalony, podobnie jak Rusi zachodnio-północnej, czyli dzisiejszej Białorusi.

Na lata 1385–1569 przypada kształtowanie się narodu ukraińskiego, którego sercem była kozaczyzna. Unię lubelską, o czym nie bardzo pamiętamy, poprzedził akt zjednoczenia całej Ukrainy w obrębie Korony Polskiej, i tego faktu nie można przecenić. Niepokorny duch kozacki stworzył jakby trzeci podmiot polityczny Rzeczypospolitej

polsko-litewskiej. Wyrazem tego stała się hetmańszczyzna ukraińska, oddolnie wyłaniający się przywódca i rzecznik kozaczyzny. Nic dziwnego, że w świadomości potomnych okres zjednoczonej Ukrainy, czującej swą moc i odrębność kulturalną, mającej swych hetmanów, stał się „wiekiem złotym”. To właśnie lata 1569–1648 opromienia blask legendy czasów bohaterskich Ukrainy.

Zmierzch świetności ukraińskiej wyznaczają dwa nazwiska: od Bohdana Chmielnickiego do Iwana Mazepy. Podzielona Ukraina w 1667 r. nie mogła już odgrywać samodzielnej roli w trójkącie państw: Polska – Moskwa – Turcja, jak to bywało niedawno. Zresztą pod panowaniem rosyjskim nie było mowy o innej polityce niż carska. Bitwa pod Poltawą definitywnie przekreśliła ukraińskie marzenia o suwerennym bycie.

Dopiero po wiekowym letargu zaczęły kielkować myśli, jak zbawić Ukrainę. Romantyzm I poł. XIX w. stał się prądem aktywizującym i na nowo formującym pozbawione bytu państwowego narody. Obudzili się Czesi, Słowacy, Łużyczanie, Słowianie południowi, a także Ukraińcy pod dwoma zaborami: austriackim i rosyjskim. Te złożone i doniosłe wydarzenia od lat przykuwają uwagę badawczą profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Stefana Kozaka, o czym świadczą już same tytuły ogłoszonych książek: „Typologia ukraińsko-polskich stosunków literackich pierwszej połowy XIX w.” (1967), „U źródeł romantyzmu i nowożytnej myśli społecznej na Ukrainie” (1978) i „Epoka napoleńska a Słowianie” (1982). Także ostatnia monografia Kozaka wiąże się z okresem roman-

tyzmu i jego gorączkowymi poszukiwaniami tożsamości narodowej oraz nowego, sprawiedliwego porządku polityczno-społecznego w Europie Wschodniej.

Autor gruntownie przedstawił całe zaplecze historyczno-ideowe patriotów ukraińskich skupionych w konspiracyjnym Bractwie Cyryla i Metodego w Kijowie. Aktywizacja mitu misjonarzy z IX w. służyła romantycznym złudzeniom i marzeniom wskrzeszenia jedności Słowian pierwotnych, jeszcze sprzed schizmy w 1054 r. Doszło do ciekawej kombinacji uczuć słowianofilskich z mistyką chrześcijańską i socjalizmem utopijnym. Dodatkową podniętą do snucia projektów zbudowania harmonijnego współżycia narodów słowiańskich, a głównie Rosjan, Polaków i Ukraińców, były doświadczenia powstań polskich i ruchu dekabrystowskiego oraz ożywianych wspomnień buntów hajdamackich. W takiej atmosferze dyskusji historyzoficznych wśród młodych patriotów kijowskich zrodziło się w 1845 r. Bractwo Cyryla i Metodego oraz „Księgi bytu narodu ukraińskiego” Mykoły Kostomarowa, będące swoim manifestem jego członków. Niestety, już w 1847 r., przywódcy Bractwa otrzymali drakońskie wyroki sądowe: Mykoła Kostomarov, Mykoła Hufak, Taras Szewczenko, Wasyl Biłozerski, Mykoła Sawycz, Pantelejmon Kulisz...

Charakteryzując krótko podstawowy dokument sprzysiężenia kijowskiego S. Kozak pisze: *„Księgi bytu narodu ukraińskiego” to klasyczny utwór romantycznego mesjanizmu, w którym inicjacja religijna sprzegła się z polityczną, zaś nicią przewodnią jest*

myśl filozoficzna łącząca chrześcijaństwo z ideą wolności (s. 189). W najważniejszej sprawie – politycznego kształtu Słowiańszczyzny – Bractwo Cyryla i Metodego opowiadało się za luźną federacją ośmiu narodów słowiańskich: Rosjan, Ukraińców, Polaków, Czechów, Słowaków, Chorwatów, Serbów i Bułgarów. Nie ma dziś sensu stawiać pytania marzycielom kijowskim, jak sobie wyobrażali spójność tak pomyślanego państwa z uwagi na Rumunów i Węgrów, którzy oddzielają Słowian południowych od północnych, ani upominać się o prawa Białorusinów, Łużyczan, Słowenów i Macedończyków. Utopii nie należy poddawać weryfikacji.

Bardzo ciekawe są wywody autora na temat filiacji „Ksiąg” Kostomarovy z „Księgami narodu polskiego Mickiewicza”, znacznie odbiegające od opinii Józefa Gołąbka, które zawarł w fundamentalnej dla poznania stosunków polsko-ukraińskich pracy pt. „Bractwo Św. Cyryla i Metodego w Kijowie” (Warszawa 1935, s. 392).

Książka S. Kozaka imponuje bogactwem myśli: subtelną interpretacją tekstów podstawowych oraz licznych opracowań dziedzictwa romantyzmu europejskiego. Uzupełnia ją „Dodatek” (s. 235–283), przynoszący dokumenty i materiały Bractwa.

Zdzisław Niedziela

ŻOŁNIERZ PODZIEMNY

Omelan Pleczeń

9 lat w bunkrze

Wspomnienia żołnierza UPA

przet. Mirosława Kowecka

TAKT, Lublin 1991

Być w podziemiu znaczy czasem dokładnie to, co znaczy. Czyli przebywać zakopany głęboko w ziemnej jamie. Przez długich 9 lat taki los był udziałem Omelana Pleczenia z Ukraińskiej Powstańczej Armii. Gdzieś w przemyskim lesie stanowił zapomniany posterunek. Miał być oparciem dla przyszłych sieci wywiadu, dla projektowanych nitek łączności, stanowił dowód władania tym terenem. Łączności nikt nie starał się nawiązać, wywiad prowadzili wyłącznie przeciwnicy, władanie ograniczyło się do wygrzebanej w ziemi nory.

Smutny był los oddziałów ukraińskich na Zakierzoniu (na Zachód od Linii Curzona) po akcji „Wiśła”. Ponieważ wojsko nie umiało sobie poradzić z UPA, zdecydowano się na radykalne posunięcie. Wysiedlono całą ludność ukraińską, aby leśnych pozbawić oparcia. Na pustych terenach żadna partyzantka nie jest w stanie się wyżywić. Dowódcy kureni i sotni stanęli przed wyborem: albo iść za San, gdzie w lasach wschodnich Karpat i puszczech Wołynia walczyły oddziały gen. „Tarasa Czuprynki” (Roman Szuchewycz); albo też przebijając się przez Czechosłowację do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Czekał tam gorzki, ale godny chleb emigranta; trudny, ale nudny żołd kompanii wartowniczych, Ci, którzy wybrali drugi wariant, mieli

więcej szczęścia. Części z nich się udało, zachowali to, o co walczyli: wolność, język, politykę; stracili też to, o co walczyli – ojczyznę. Jednocześnie kierownictwo UPA i OUN na wychodźstwie było obiektem polowania wywiadu radzieckiego – zaciętość tej nagonki pokazuje, jak ceniono przeciwnika, jak był on groźny. W końcu udało się: specjalny, rozpylający cjanalki, pistolet w rękach specjalnego agenta odebrał 15 X 1959 r. życie Stepanowi Banderze. Zastąpił on tradycyjne, żółto-niebieskie, barwy swej ojczyzny kolorami czerni i czerwieni. Czerwień zwycięstwa lub czerni śmierci. Śmierć dopadła go na klatce schodowej.

Wobec partyzantki w Karpatach Wschodnich zastosowano podobne rozwiązanie jak w Polsce. Wysiedlano wsie, oddziały pozbawiano bazy, żelazna kurtyna odcięła drogi łączności, deportacje zdemontowały drogi żywności. W 1950 r. podlwow-ski bunkier stał się miejscem śmierci „Tarasa Czupryni”. Nadal walczył płk „Kowal” (Wasył Kuk). Ale i on stał przed wielkim pytaniem partyzanckim. Pytaniem, które leśni zadają sobie na tych terenach od 1863 r. Zайдiesz do wsi, to ją spalą. Czy jesteś więc obrońcą tego ludu, czy jego niszczycielem? To przecież twoi bracia, w ich imieniu pozbawiasz oksydowania rękojeść spluwy: strzelasz bądź darowujesz życie. Gdy ci ich imienia zabraknie, jesteś niczym. Ot, zagrzebanym w ziemi drapieżnikiem.

Drapieżnik to mocne słowo. Pachnie „polskim szowinizmem” – jest to pojęcie, którego autor często używa. Ale zdaje sobie sprawę, że ludzi zapędził pod ziemię nie szowinizm,

lecz brak zgody na takie, a nie inne porządki w tej części świata. Do podziemnych korytarzy zesłali pojątańscy eremici naszych dni. Ściskali w rękach broń i nadzieję, że wszystko będzie inaczej, że ich prawa jako partyzantów polskich, ukraińskich, niemieckich czy litewskich będą uszanowane. Że będą mogli stanąć o sobie, swojej zagrodzie, swojej ziemi.

Jest we wspomnieniach O. Płeczenia wzruszający moment, gdy podpala on własną chałupę. To gest tragiczny, gest chłopskiego Hamleta. Jeżeli nie potrafi obronić, to sam zniszczy to, co ma najdroższego – miejsce, gdzie się urodził i wokół którego był zbudowany jego świat. Po tym tragicznym akcie pozostało tylko podziemie, przebywanie poniżej ukochanego, ale zniszczonego poziomu, w bunkrze.

Podziemie to specjalne miejsce. Utrzymuje stałą temperaturę – nie dojdzie tu ni upał, ni mróz. Tu wszystko dobrze się przechowuje. I tak zakonserwował się autor „9 lat w bunkrze”. Czytał gazety, ale przecież ich nie rozumiał. Bo i cóż nam po zmianach, których ani podmiotem, ani przedmiotem nie jesteśmy. Jak je można zrozumieć jak przyjąć? Zostaje tylko lepiej zamknąć i starannie zamaskować włącz do podziemia. A tam duszno i brak nadziei.

Dla mnie nadzieję stanowi fakt, że w Polsce są wydawane wspomnienia żołnierza UPA, że nareszcie postępujemy wedle metody *audiatum et altera pars*. Bo wróg jest nim dotąd, dopóki nie wysłuchamy jego racji. Racje O. Płeczenia są może nie najlepiej umotywowane, ale są ludzkie. Znaczą – nasze.

Marek Karpiński

KOŚCIÓŁ MILCZĄCY

Adam Hlebowicz

Kościół w niewoli

Wydawnictwo Głos
Warszawa 1991, ss. 148 + mapa

Omówienie tej książki należałoby zacząć następująco: Po raz pierwszy w Polsce ukazała się pozycja informująca w miarę wyczerpująco o losach Kościoła rzymskokatolickiego na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej. Brakowało na polskim rynku czytelnicznym takiego opracowania. Praca A. Hlebowicza „Kościół w niewoli” wypełnia tę dotkliwą lukę w naszej wiedzy na temat dziejów rzymskokatolickich wspólnot kościelnych na Wschodzie.

Fakt, że dopiero dzisiaj dowiadujemy się czegoś więcej na temat życia katolików łańskich na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej, nie może dziwić ani zaskakiwać. Do niedawna jeszcze szczelna i trudno przenikalna granica pomiędzy PRL-em a Związkiem Radzieckim stanowiła skuteczną barierę w komunikacji z katolikami „stamtąd”. Docierały do nas ledwie strzępy informacji, a to o dramatycznych prześladowaniach ludzi wierzących, którzy nawet w obliczu represji czy spychania ich do rangi obywateli drugiej albo i trzeciej kategorii nie wyrzekli się przynależności do rodziny Kościoła katolickiego.

Omawiając książkę Hlebowicza należałoby jeszcze dodać, iż cała praca składa się, jak pisze to już we wstępie autor, z części narracyjnej i statystycznej.

W części narracyjnej zostały omówione bardzo syntetycznie dzieje Kościoła rzymskokatolickiego na Białorusi i Ukrainie. Autor, dla jasności wykładu jak sądzę, podzielił obie te części na krótkie rozdziały, których treścią są losy Kościoła w konkretnych latach. Można by oczywiście spierać się, czy okresy omawiane w poszczególnych rozdziałach zostały rozgraniczone w pełni trafnie, czy podział nie jest zbyt szczegółowy. Jasne jest, że stosunek władz komunistycznych do Kościoła ewoluował, zmieniały się formy prześladowań i nacisków. Do uchwycenia tej ewolucji podział na poszczególne okresy jest, jak się zdaje, zasadny, choć może zaciera w pewien sposób podstawową prawdę o tym, iż mimo zmieniających się ekip, mimo zmieniających się form politycznych – i nie tylko politycznych – nacisków na Kościół, zasadą stosunku radzieckiego państwa do Kościoła była chęć zniszczenia tej instytucji, nie mieszczącej się w radzieckiej wizji państwa.

Część statystyczna pracy Hlebowicza to drobiazgowo zestawione wykazy parafii, ich obsady personalne z ostatniego półwiecza, a także ich lokalizacja terytorialna. Autor już we wstępie zaznacza: *Nie wszędzie udało się wypełnić wszystkie punkty założonego kwestionariusza, wynika to jednak z trudności dotarcia do wszystkich informacji.* Mimo tych usterek, których świadomość ma wszakże sam autor, wartość materiału statystycznego nie może być kwestionowana, choć z pewnością będzie jeszcze potrzebna jego weryfikacja, uzupełnianie, a w pewnych wypadkach także rozbudowanie.

Część statystyczna przedstawiona przez Hlebowicza dotyczy sytuacji z kwietnia 1991 r. Od tamtego wszakże czasu, czasu może i niezbyt odległego, wiele się w zakresie organizacji terytorialnej i obsady personalnej placówek na interesujących nas terytoriach zmieniło. Nie jest to niczym zaskakującym. W ostatnim roku zmiany kościelne na Wschodzie przebiegały niemal lawinowo. Dlatego w niektórych przypadkach materiał przedstawiony przez Hlebowicza jest już nieaktualny. Powyższego stwierdzenia nie należy traktować jako zarzutu pod adresem autora. Myślę, że jeszcze przez dłuższy czas sytuacja Kościoła na Białorusi i Ukrainie będzie się zmieniać bardzo szybko, zaś wszelkie statystyki i zestawienia nader prędko będą nabierały charakteru wyłącznie archiwalnego. Co nie oznacza wszakże, iż nie warto ich robić i przedstawiać.

Skoro mowa o wykazach obrazujących terytorialną organizację Kościoła na Białorusi i Ukrainie, to wypada uczynić w tym miejscu uwagę bardziej szczegółową. Otóż w przypadku Białorusi brakuje wzmianki o istnieniu diecezji grodzieńskiej oraz o zmianie granic archidiecezji wileńskiej. Obecnie archidiecezja wileńska została ograniczona do granic państwowych Litwy, na Białorusi natomiast poszerzono zasięg terytorialny archidiecezji mińsko-mohylewskiej. (Pochodną zmiany zasięgu terytorialnego archidiecezji wileńskiej jest także utworzenie diecezji białostockiej, której w latach powojennych nie było, mimo często używanego w publicystyce określenia „diecezja w Białymstoku”. W Białymstoku był bowiem administrator

apostolski, a nie ordynariusz.) Zmiany te zostały przeprowadzone wraz z ogłoszeniem nominacji biskupich w kwietniu 1991 r. O nominacjach tych pisze już Hlebowicz, szkoda, że pominął sprawę zmiany granic oraz tworzenia diecezji grodzieńskiej.

Gdy idzie o Ukrainę, autor wymienienia w wykazie terytorialnym diecezję Jassy oraz tyraspolską. Otóż wedle informacji z Ukrainy parafie znajdujące się na obszarze tych historycznych diecezji weszły z chwilą nominacji biskupów na Ukrainie w styczniu 1991 r. (pisze o tych nominacjach Hlebowicz) w obręb diecezji kamieniecko-podolskiej i są w jurysdykcji biskupa kamieniecko-podolskiego. Choćby zasłużona placówka duszpasterska w Odessie czy planowane parafie w Mikołajewie i Hersoniu. Szkoda, że nie zostało to odnotowane w wykazie. Dyskusyjna jest także sprawa umieszczenia w wykazie diecezji łuckiej, która powstała w sytuacji uniemożliwienia wykonywania funkcji biskupich ordynariuszowi żytomierskiemu w latach 20. Z chwilą ponownego powołania ordynariusza żytomierskiego (także w styczniu 1991) istnienie diecezji łuckiej nie jest już takie oczywiste.

Omawiając książkę A. Hlebowicza należałoby zasygnalizować jeszcze jeden element tej publikacji. Otóż w części narracyjnej autor dokonał przeglądu obfitego materiału archiwalnego, w przeważającej mierze materiału nigdzie, jak dotąd, nie publikowanego. Z pewnością stanowi to bardzo cenny element publikacji Hlebowicza, pozwala bowiem poznawać powojenne dzieje Kościoła na Białorusi i Ukrainie z bezpośredniej, często zupełnie niezwyklej rela-

cji. Docieklivość badawcza Hlebowicza sprawiła, że poszukiwania archiwalne prowadził w takich ośrodkach dokumentacji dziejów Kościoła, jak archiwa w Białymstoku, Podkowie Leśnej i Warszawie. Autor powołuje się ponadto na korespondencję z bezpośrednimi świadkami opisywanych przez siebie wydarzeń, a także na osobiste kontakty z ludźmi „stamtąd”. Zestawiony dzięki takim penetracjom badawczym materiał posłużył Hlebowiczowi do wypowiadania sądów syntetyzujących sytuację Kościoła i ludzi wierzących na Białorusi i Ukrainie. W większości są to sądy trafne i rzetelne. Choć np. twierdzenie, że wprowadzenie do duszpasterstwa na Białorusi języka czy to białoruskiego, czy rosyjskiego *nie przyniosło (...) spodziewanych rezultatów*, jest twierdzeniem co najmniej przedwczesnym...

Omawiając publikację Hlebowicza należałoby może napisać jeszcze i to, że dzięki materiałom archiwalnym, bezpośrednim relacjom świadków wydarzeń książki „Kościół w niewoli” pokazuje także ludzi tego Kościoła. Ale stop...

Nazwiska, które pojawiają się na kartach pracy A. Hlebowicza, są mi dobrze znane. Poznałem wielu z tych ludzi przeprowadzając z nimi rozmowy, których część była już publikowana na łamach „PP”. Mam w pamięci rozumne i pogodne słowa nieżyjącego już ks. Michała Aronowicza, który przecierpiał tak wiele, a który do nikogo nie czuł nienawiści. Mam w pamięci płynące z głębi duszy słowa obecnego arcybiskupa, ks. Kazimierza Świątka, wówczas jeszcze proboszcza pińskiej katedry, że polskośći nikt z jego serca wy-

drzeć nie zdoła. Nie mogę zapomnieć nieufności, z jaką do udzielania informacji odnosił się jeden z dzisiejszych biskupów na Ukrainie; nie zapomnę nerwowego śmiechu, który wydobył się z ust kolejnego z mych rozmówców na widok wyciągniętego przeze mnie magnetofonu. Sprzętu kojarzącego mu się tylko z jednym – z KGB-owskim przesłuchaniem. Wiele jeszcze tego typu obrazów pozostaje w mej pamięci. To także kamyki budujące mozaikę, której na imię Kościół na Białorusi i Ukrainie w okresie powojennym.

Brakuje mi w książce Hlebowicza ludzi. Tych ludzi, którzy tworzyli Kościół milczący i cierpiący. Zarówno duchownych jak i świeckich. Tych wszystkich, o których powiada ks. abp Świątek: *To byli cisi bohaterowie Kościoła katolickiego. Nikt o nich nie napisze książek, ich nazwiska nie zostaną odnotowane w żadnych kronikach, ale bez ich niezłomności i ich hartu...* Wiele nazwisk zostało odnotowanych, także przez A. Hlebowicza. To dobrze. I tylko żal, że zostały nazwiska, a zabrakło twarzy tych ludzi. Ale może takie są wymogi naukowej dokumentacji i warsztatu historyka.

Może...

Krzysztof Renik

SZUKANIE BOGA

Gottes Nähe

*Religiöse Erfahrung
in Mistik und Offenbarung
Festschrift zum 65 Geburtstag
von Josef Sudbrack SJ*

wyd. Paul Imhof,
Würzburg 1990, s. 452

Książka, na którą chciałbym zwrócić uwagę czytelników „PP“, wychodzi naprzeciw wzrastającemu zainteresowaniu problematyką religijną, zwłaszcza szeroko pojętym zjawiskom mistyki. Wydawca i pomysłodawca „Festschriftu“, Paul Imhof SJ, jest redaktorem naczelnym pisma „Geist und Leben“, a poza tym autorem i współautorem podobnych okolicznościowych książek (by wspomnieć chociażby tę poświęconą Karłowi Rahnerowi). To redaktorskie doświadczenie zaowocowało bardzo „pedagogicznym“ i przejrzystym układem interesującej nas książki. Czytelnik otrzymał nie tyle przypadkowy zbiór wspominkowych artykułów (jak to niekiedy bywa przy tego typu publikacjach), ale rzeczowy i systematyczny wykład ilustrujący wysiłki człowieka szukającego i znajdującego Boga.

Oczywiście recenzyjne omówienie nie pozwala na pokazanie całego bogactwa i różnorodnej palety zebranych tematów, z konieczności więc ograniczę się do haseł, moim zdaniem szczególnie znaczących i zasługujących na uwagę. Po 12-stronicowym wprowadzeniu wydawcy, w którym przedstawił on kolej-

nych autorów i ich artykuły (Imhof zrobił to tak przejrzysto, że całość grubego tomu zyskała klarowność struktury kryształu), otrzymaliśmy rzeczowo i z sympatią nakreślony przez protestanckiego teologa, G. Ruhbacha, portret Josefa Sudbracka SJ (któremu „Festschrift“ jest poświęcony), a który pozwala zrozumić, skąd ten znakomity dobór autorów i tematów. Po prostu „Geburtstagkind“ od 30 lat zajmuje czołowe miejsce wśród badaczy analizujących przeszłość duchowo-mistyczną różnych kultur. A czyni to w sposób tak wrażliwy i otwarty, że jego publikacje zyskały mu powszechne uznanie i zasłużony podziw. Zgromadzona na końcu książki prawie 30-stronicowa bibliografia publikacji Sudbracka przekonuje, że daleki jest on od uprawiania sterylnej, nikomu niepotrzebnej archeologii hagiograficzno-dewocyjnej, ale stara się znaleźć, na podstawie tekstów przeszłości, odpowiedzi na najbardziej palące pytania teraźniejszości.

Całość jest podzielona na 4 części, z których każda zawiera średnio 5 artykułów. Cz. I to spojrzenie w zaskakująco bliskie średniowiecze – „Poszukiwanie bliskości Boga w średniowieczu”. Zwracają uwagę 2 omówienia poświęcone średniowiecznym świętym kobietom: Mechtyldzie z Magdeburga (1208–82) i Gertrudzie z Helfty (1256–1302), a zwłaszcza wysoka świadomość kobiecości w tym wieku zdominowanym przez mnichów i rycerzy: *Taki kobieciej sposób modlitwy jest do dzisiaj w Kościele czymś nadzwyczajnym, gdyż od wieków oczekiwano od kobiet, zupeł- nie się nad tym nie zastanawiając, że*

przy modlitwie, czy to *Psalmami*, czy to w czasie mszy św., czy przy innych formach modlitwy, będą się modliły jakby w imieniu mężczyzny. Poza tym uderza u Gertrudy jej zwyczaj zmieniania biblijnych tekstów, by mogła się, jako kobieta, z poszczególnymi scenami utożsamiać (s. 67). Jak ostrzeżenie brzmią dla nas, zafascynowanych myślą Mistra Eckharta, uwagi skreślone przez A.M. Haasa w refleksjach „Aktualność Mistra Eckharta. Klasyk mistyki”: *Również Mistrz Eckhart jest w pełnym tego słowa klasykiem, bo spełniają się w nim następujące cechy; po pierwsze – jego dzieła zawsze można znaleźć na półkach księgarskich, po drugie – są one rzadko czytane i bardzo często cytowane, po trzecie wreszcie – jeśli już są czytane, to przeważnie są źle zrozumiane i fałszywie interpretowane* (s. 79). Autor pyta dalej, czy większość problemów związanych z recepcją dzieła mistra szkoły nadreńskiej nie jest związana właśnie z takim przyswojeniem klasyka. Wypada się też zgodzić ze stwierdzeniem J. Weismayera, który w artykule zamykającym cz. I, „Spojrzenie w odległe lustro. Średniowieczne traktaty o rozeznaniu duchów“, dostrzega w tamtej epoce, mimo dystansu czasowego, wiele rozwiązań, które i naszym czasom mogą pomóc w znalezieniu odpowiedzi na niełatwe pytania (s. 112).

Cz. III, „Duchowe perspektywy czasów nowożytnych“, oprócz analiz historycznych przynosi też refleksje na temat dzisiejszej praktyki duszpasterskiej. Taki właśnie charakter mają rozważania snute przez dwoje autorów, E. Fricka i M. Fühles: *Rola wyobraźni w ćwiczeniach duchow-*

nych. Obserwacje z praktyki psycho-terapeutycznej w perspektywie ignacjańskiej. Do ciekawych konkluzji dochodzi L. Lies w artykule „Zbawcza obecność Chrystusa. Ekumeniczna duchowość ofiary mszy św. wg Soboru Trydenckiego (1562)”: (Z naszych wywodów wynika), *jak bardzo duchowość reformatorska może być głębiej rozumiana dzięki katolickiemu ujęciu wiary. Prawdą jest też jednak twierdzenie odwrotne; wiara katolicka może być w sposób oczywisty, przez twierdzenia wyznania reformatorskiego, sprowadzona do własnych podstaw duchowych i do wierności własnym zasadom. Gdyż ekumenizm oznacza lepsze rozpoznanie własnego w kontakcie z drugim* (s. 174). Wydaje się, że właśnie dzisiaj, gdy ruch ekumeniczny uległ pewnemu zwolnieniu, właśnie takie spojrzenie na własną przeszłość może pomóc w przezwyciężeniu niepotrzebnych lęków, ale też uwolnić od nieuzasadnionych i przedczesnych euforii.

G. Hinricher, niedawno zmarła przeorysza Karmelu Berlińskiego, dzieli się doświadczeniami wyrosłymi ze zderzenia lektur autorów karmelitańskich z doświadczeniami XX w. Jej artykuł „Jezus i doświadczenie ciemności Boga. Rozważania na tle myśli Jana od Krzyża (1542-1591) i Teresy z Lisieux (1873-1897)“, otwiera perspektywy głębokie i wręcz paradoksalne: *Im głębiej jest człowiek dopuszczony do doświadczenia ciemności Boga, przez które przeszedł Jezus, tym głębiej zostaje mu dana możliwość uczestnictwa w byciu (Jezusa) dla ludzi. Owocem ciemności wiary jest życie dla siostr i braci* (s. 177). Cz. II zamykają uwagi

H. Gaspera o „Mistycy w neoscholastyce. Uwagi o M.J. Scheeben (1835–1888)” pokazujące, jak łączona zwykle z suchym intelektualizmem neoscholastyka skrywa w swych najwybitniejszych przedstawicielach nieznane pokłady duchowych wymiarów.

Cz. III jest propozycją poszukiwań interdyscyplinarnych pokazujących punkty stykowe duchowości z innymi naukami: „Na styku dyscyplin: filozofia, psychologia i duchowość w najnowszych czasach”. Artykuły zgromadzone w tej części zostały zdominowane przez problematykę psychologiczną. Pierwszy – pío-ra M. Bommera, „Pytania psychologii głębi w kierunku teologii – problem poczucia winy” – omawia poglądy takich autorów, jak S. Freud, C.G. Jung, V.E. Frankl, M. Boss i B. Staehelin, odsłaniając liczne powiązania z podstawowymi problemami teologii, zaś P. Imhof z dużą przenikliwością śledzi potknięcia ojca psychoanalizy w artykule „Metamorfozy w przestrzeni wolności. Od Freudowskiego ES do chrześcijańskiego ON”.

Coraz lepiej poznawana (również w Polsce) filozofia dialogu znalazła się w centrum uwagi E. Schillera, który wychodząc z założeń filozofii M. Bubera pokazuje w artykule „Dialog jako bliskość Boga. Poglądy żydowskiego filozofa Martina Bubera (1878–1965)”, jak wiele refleksja teologiczna może skorzystać z intuicji filozofii zrodzonej z głębokiego przemyslenia tradycji Księgi: *Bóg stworzył z miłości do człowieka przestrzeń, w której możliwa jest miłość rzeczy i bytów obecnych w świecie. W tym ujęciu stworzenie nie tylko nie*

jest przeszkodą, ale jest drogą do poznania Stworzyciela. W miłości do Niego, do „wiecznego Ty”, realizuje człowiek swoje bycie osobą (s. 300).

Cz. IV, „Obecność Wiecznego w religiach świata”, jest zwieńczeniem dotychczasowych poszukiwań i otwarcie szerokich perspektyw. Mowa tu o Biblii, o mistyce islamu, o kosmicznej mistyce Teilharda de Chardin, nie zabrakło też osobliwego przedstawienia paraleli filozofii M. Heideggera z drogą filozofii Zen. Zwraca tu uwagę artykuł H. Waldenfelsa „Mistyka i odpowiedzialność w religiach świata”. Wypada zgodzić się z autorem, że przy całym podziwie dla coraz większego zainteresowania problematyką duchowości i mistyki jedynym kryterium autentyczności tych zainteresowań pozostaje autentyczność zaangażowania w sprawę tego świata (s. 400).

Wydawca pomyślał też o krótkich i zwięzłych notach o autorach pozwalających na orientację w „naukowych biografiach” poszczególnych uczonych.

Stanisław Obirek SJ

BOHATEROWIE BOŻEJ POEZJI

Marek Sokołowski SJ

Od jesieni do jesieni

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
Warszawa 1991, ss. 152

Głoszenie słowa Bożego, przepowiadanie Ewangelii należy do pierwszych zadań i obowiązków każdego kapłana. Tradycja jezuicka odnoto-

wuje w tej mierze poczet wielkich nazwisk, poczynając od najświetniejszego, Piotra Skargi, przez innych kaznodziejów królewskich (Maciej K. Sarbiewski), po świętych misjonarzy (Andrzeja Bobola), by tylko nie liczyć tutaj przypomnieć. To wspinała historia, dziedzictwo w jego najlepszych przejawach.

Natomiast powszedniość – ta misiona i ta nam dana – z natury swej nicco szara, wymaga od wychodzących na ambony żmudnego trudu uprawy nie zawsze żyznej gleby, a i słuchających nierzadko wystawia na próbę cierpliwości. Tej ostatniej nie są poddawani – jak mniemam – słuchacze i czytelnicy ks. Marka Sokółowskiego, jezuita, duszpasterza akademickiego najpierw w Lublinie, a obecnie pracującego przy sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Warszawie. „Od jesieni do jesieni” to zbiór homilii, które wygłaszał w ubiegłym roku podczas niedzielnych mszy św. Znajdujemy tu kazania adwentowe i wielkopostne, refleksje na Boże Narodzenie i Zmartwychwstanie, myśli na niedziele zwykłe, wszystkie poprzedzone kilkoma ewangelicznymi zdaniami. Jest to książeczka niewielka, prosta i skromna, rzecz by się chciało właśnie – powszednia. Sercem pisana (autor, dla którego początek jest *jakby drugim Brewiarzem*, przywołuje tu słowa kapłańskiego wiersza: *Żeby On mówił przeze mnie, a mnie nie było*) dla młodych, ale i dla starych, tych zagubionych i tych pewnych siebie, roztropnych i pozbawionych tej cnoty, krótko mówiąc – dla nas wszystkich, którzyśmy w drodze, *bo człowiek ta istota w drodze powrotnej do Boga* (s. 89).

Że Ewangelia jest zawsze dla każdego, tu i teraz – to truizm. Że Ewangelia jest także początkiem – udowodnić nie będę. A jednak czasami najtrudniej jest uzmysłowić sobie (lub innym) prawdy najprostsze, wartości podstawowe wyrazić i przekazać zwykłymi słowami, każdemu dostępnymi i zarazem nie pozbawionymi piękna, poezji właśnie. Myślę, że jedno i drugie udało się autorowi omawianej tu książki. Rysuje on polski „krajobraz po (?) bitwie”: *Tak ochoczo naród ciągnął do wolności, że gdy już tam przybył, to zauważył, że jakoś ciężko iść dalej...* (s. 18). *Bar-dzo dziwne rzeczy dzieją się z polskimi rękami. Podnoszone w geście radości, z palcami ułożonymi w geście zwycięstwa. A potem chowane nie-dbale w kieszeniach albo sięgające po cudzą własność. Zaciśnięte w pięść przeciw wrogom, do niedawna jeszcze towarzyszom drogi* (s. 33). Pisze o ludziach: *Wysłuchuje Pan naszej modlitewnej troski o Polskę, co rodzi się całkiem nowa (...)* *Przychodzimy jak ewangeliczni bohaterzy. Zawsze jest wśród nas pobożny faryzeusz, jest pogardzany celnik (...)* *Którym z nich jestem ja?* (s. 42). Po kapłańsku przypomina: *Żyjemy w szarości, gdy zatracamy poczucie zła* (s. 45). Szuka rady: *Musimy na mapie świata odnaleźć swoje miasto (...)* *W gmatwaniu ulic wytyczyć swoją drogę. W tłumie odnaleźć swoje twarze. W hałasie rozpoznać przyjazne głosy. Założyć swój dom i dbać o niego* (s. 118). Mówi wprost o słabościach, ale i wskazuje miłosierdzie Boże. Na koniec przywołuje nadzieję: *Mówią, że jak jest głęboka przepaść, to na pewno między wysokimi szczytami* (s. 149).

W tej drodze przez kraj i ludzi,

którą podążamy wraz z autorem homilii, towarzyszy nam nie tylko poezja Ewangelii, ale i poezja tych, którzy wiele potrafili z niej zaczerpnąć (m.in. wiersze Norwida, Tuwima, ks. J. Twardowskiego, W. Oszańczy SJ). Oczywiście ks. Sokołowski nie tłumaczy nam, „co poeta miał na myśli”. *My mamy tylko przypominać sobie od czasu do czasu, że sprawa wiary to sprawa ludzi i dla ludzi (...) Mamy sobie tylko przypominać, po co każdy z nas do Pana przychodzi. Popatrzmy na siebie. Spójrzmy w swoje serca. Zauważmy, że to właśnie do nas Pan Jezus się uśmiecha, bo to my jesteśmy bohaterami tej Bożej poezji* (s. 29).

Dobrze, że są takie książki – powszednie. Chleb też jest powszedni.

Maria Magdalena Matusiak



NIE SKOŃCZONA HISTORIA

Teatr Dramatyczny
m.st. Warszawy

Szewcy
Stanisława
I. Witkiewicza

reżyseria – Maciej Prus
scenografia – Grzegorz Małecki
premiera w październiku 1991

Przez chwilę wydawało się, że upiorne wizje Witkacego przestaną

być aktualne. Że jego dramaty będziemy oglądać już tylko z taśm archiwalnych. Że autor „Pożegnania jesieni” pozostanie przede wszystkim dramaturgiem stanu wojennego.

Był chyba taki krótki okres, kiedy zachłystywaliśmy się nie tyle demokracją, ile naszymi wyobrażeniami i marzeniami o demokracji. A ponieważ Witkacy był odczytywany jako wizjoner totalitaryzmu, nie wypadało wręcz sięgać po jego dramaty po obaleniu reżimu. Bardziej aktualny wydawał się Gombrowicz. W jego utworach znajdowano odbicie problemów nurtujących inteligencję. Gombrowicz pomaga pytać o jej miejsce wśród innych grup społecznych, o jej rolę historyczną i aktualną, pomaga walczyć z narodowymi mitami, które dziś odradzają się bez opamiętania.

A cóż Witkacy? Pesymistyczne czasy? Wizjoner na optymistyczne czasy?

Myślę, że ani czasy nie nastrajają do optymizmu, ani też historiozoficzna wizja zawarta w „Szewcach” nie została skompromitowana przez historię. Nawet przeciwnie – rzecz można, iż została potwierdzona. Trzeba tylko odejść nieco od myślowych schematów, do których zostaliśmy przyzwyczajeni w pierwszej połowie lat 80. Stan wojenny wydawał się wtedy zakończeniem historii. W perspektywie, którą otwiera dziś dramat Witkiewicza, wygląda jak epizod. Przymierzanie wydarzeń historycznych do dramatycznej wizji w poszukiwaniu bezpośrednich odpowiedników nie jest zabiegiem najszczęśliwszym; łatwo popaść w prymitywny historyzm. Jednakże teatr ze swej istoty jest niejako zmuszony do podobnego postępowania. Każda premiera jest bowiem chcąc nie

chcąc aktualizacją dramatu. Rzecz w tym, by zachować odpowiednie proporcje między doraźnością a wpisaniem w tekst pewnym kwantum wartości, którego nie można bezkarnie naruszyć.

Sądzę, że M. Prus w swojej najnowszej realizacji „Szewców“ nie naruszył tych wartości, ale też nie zaufał do końca Witkiewiczowi, przekrawając *naukową sztukę ze śpiewkami* w bardzo znaczący sposób. Wskazuje na to już pierwsza lektura spisu osób w programie spektaklu. Nie ma w nim ani Hiperrobociarza, ani towarzyszy X i Abramowskiego. Radykalnej zmianie uległ więc finał sztuki.

Przyjmując za podstawę interpretację dokonaną przez Daniela C. Geroulda (a powołują się na nią twórcy w programie spektaklu) M. Prus zrezygnował z przedstawienia trzeciej rewolucji opisanej przez Witkacego. Rewolucji niwelistycznej, dokonanej przez technokratów, socjotechnicznych manipulatorów. Reżyser, jak można sądzić, dał się zwieść słowom, których Witkiewicz użył na określenie postaci TOWARZYSZY X i Abramowskiego. To prawda, że budzą nicodparte skojarzenia z komunistami, lecz przecież można było uniknąć tej prostej interpretacji znajdując odpowiednie środki teatralnego wyrazu.

Tak więc w spektaklu Prusa historia kończy się na konwulsjach powszechnej niemożności i nudy. W scenicznym świecie nie ma żadnej wartości, która nie zostałaby zakwestionowana. Ale też i reżyser nie utrudnia sobie zadania, posługuje się stereotypami, np. Gnębon Pucymorda jest tylko groteskową posta-

cią w szlacheckim kontuszu, chłopię *pana Wyspiańskiego* zupełnie anachroniczni. A może warto byłoby zedrzeć z Puczymordy kontusz i przyjrzeć się dzisiejszym wcieleniom idei narodowych. A może warto byłoby pokazać chłopów z „Wesela“ tak, jak by Prus wyreżyserował dziś dramat Wyspiańskiego.

„Szewcy“ Prusa to spektakl nie wykorzystanych możliwości. Nie tylko interpretacyjnych – także aktorskich. W Teatrze Dramatycznym nie ma wielkich gwiazd, jest za to zespół na wyrównanym niezłym poziomie. Taki zespół, który potrafi zagrać spektakl, nie stwarzając wrażenia, że każdy aktor pochodzi z innej bajki. Jedność konwencji gry aktorskiej to spory plus tego spektaklu, niestety zniweczony przez niestaranność. Po części winę ponosi reżyser, który nie wytłumaczył aktorom, co i dlaczego mówią. W rezultacie we wszystkich tych momentach, gdy nie rozumieją tekstu, starają się wyrzucić go z siebie jak najszybciej. A przecież u Witkacego nawet najbardziej bezsensowny bełkot jest znaczący, choćby przez to, że jest właśnie bełkotem. Jeśli nie dociera do widzów, przestaje znaczyć. A poza tym, wstyd powiedzieć, niektórym aktorom przydałyby się ćwiczenia z dykcji i emisji głosu.

Mimo wszystko jest to ważny spektakl. Nie tylko dlatego, że jest z niewielu w rozpoczynającym się sezonie. Przede wszystkim dlatego, że nawet jego niedostatki prowokują do dyskusji o tym, co się dzieje wokół teatru. Że stawia istotne pytania o sens tej historii, którą przeżywamy. Że nie próbuje ucieczki od problemów w estetyzowanie czy komercję.

Nie potępiam obu tych postaw, lecz potrzebuję też takiego teatru, jaki proponuje Prus.

W poprzednim sezonie M. Prus zrealizował na scenie Dramatycznego „Nie-Boską Komedję”. W jednym z wywiadów zapowiedział „Operetkę” Gombrowicza. Te trzy spektakle (jeśli dojdzie do wystawienia ostatniego) ułożyłyby się w konsekwentny cykl historiozoficzny, teatralną próbę analizy fenomenu rewolucji. Gdyby jeszcze były to przedstawienia udane i znakomite. Bo jeśli na ich obronę mamy jedynie argument, że nikt inny nie podjął takiej próby, to znaczy, że polski teatr znajduje się w kryzysie.

A może tylko szuka swojej tożsamości w świecie, w którym nastąpiło pomieszczenie idei i wartości. Jeśli bowiem przyjmiemy diagnozę sytuacji zaproponowaną przez Prusa w „Szewcach”, to czegoż lepszego możemy się spodziewać?

Andrzej Dziurdzikowski

ZBYT DŁUGIE CZEKANIE

Teatr Mały w Warszawie

Czekając na Godota *Samuela Becketta*

reżyseria – Antoni Libera
premiera w październiku 1991 r.

W Teatrze Małym pojawiła się ciekawa, warta obejrzenia premiera. „Czekając na Godota” – jeden z

ważniejszych XX-wiecznych dramatów uchodzący za wyjątkowo ponury – wystawiono jako komedię.

Ascetyczny pod każdym względem utwór sięga do korzeni teatralnej sztuki. Pozbawiony niemal całkowicie historycznych i społecznych odniesień jest obrazem ludzkiej kondycji, wielkim uogólnieniem.

Obraz ten w latach 50. uznano za nihilistyczny: całkowicie pozbawiony nadziei, a co gorsza wyrażający powszechnie panujące odczucia. Ogromne powodzenie sztuki było nawet niezależne od różnych przecież doświadczeń publiczności po obu stronach żelaznej kurtyny. Wstrząs, jaki dla całej Europy stanowiły doświadczenia czasów wojny, rozczerwanie powojennym światem zarówno zachodnim jak i tym, który zbudował socjalizm, stanowiły doskonałą pożywkę dla zafascynowanej śmiercią filozofii egzystencjalnej, z którą wszędzie utożsamiano dramat Becketta. Przyczyny rozczerwania światem mogły być różne, ale brak nadziei wspólnoty – tożsamy z odwlekającym się w nieskończoność czekaniem na Godota, jakie stało się udziałem bohaterów dramatu.

Polska prapremiera w reżyserii Jerzego Kreczmara z 1957 r. prezentowała Beckettowskie postaci w kostiumach cyrkowych kłownów dystansując się tym samym wobec dosłownie pojętych współczesnych odniesień, ale wydzwięk całości współgrał z nastrojami widzów. Pisano o *cyrku filozoficznym*, ale i o *koszmarze egzystencji*. Beckett na długie lata pozostał twórcą skrajnie pesymistycznego, przygnębiającego obrazu świata. Było to tak jasne, że nie podejmowano żadnych prób innej interpretacji.

Dopiero w latach 70. – kiedy widocznie oswojono się z Beckettowskim obrazem, a egzystencjalizm utracił swą popularność – pojawiły się przedstawienia odkrywające trudny humanizm tych sztuk. Nie uzyskały nigdy tej siły oddziaływania – zarażania swą wizją, ale stanowiły dowód zmagania teatru z wyzwaniem, które rzucił Wielki Dramaturg. Gdańskie przedstawienie Stanisława Hebanowskiego z 1970 r. odnajdywało scns w nierozdzielności pary dwóch bohaterów, którzy mimo gorczy i beznadziejności losu dokonywali wolnego wyboru wspólnego czekania na Godota, zdani na siebie, ale i sobie potrzebni. W nihilistycznej niegdyś wizji odnaleziono okrucieństwo nadziei. Obraz kondycji ludzkiej pozostawał jednak głęboko tragiczny.

Przedstawienie Antoniego Libery – kolejny, choć nie pierwszy od tego czasu, powrót utworu na polską scenę – odkrywa jeszcze jedno jego oblicze. Sam projekt obsady – czterech aktorów o zdecydowanych predyspozycjach komicznych – nasuwał już takie podejrzenia. I rzeczywiście. Spektakl wydobywa, w sposób wydaje się maksymalny, humor przedstawionej tu sytuacji. Na różnych piętach. Każdy z aktorów czyni to bowiem na swój sposób i na sposób swojej postaci, w zgodzie – wyjąwszy Jana Kobuszewskiego – ze znanym publiczności, bardzo wyraźnym i określonym emplotem.

Estragon Krzysztofa Kowalewskiego – wyobrażający biologiczną naturę człowieka, jeśli trzymać się podziału wprowadzonego przez samego reżysera, a zawartego w programie – jest klasycznie komediową postacią. Każde jego słowo i czyn-

ność mają osiągnąć najprościej pojęty efekt humorystyczny, czy zdejmując buty, czy szuka sposobu, by odwieść Vladimira od jego zamiarów. Ten potencjał zresztą z czasem się wyczerpuje, bo sytuacje, nieznacznie zmienione, wracają w tej sztuce cyklicznie, a śmieszyć – w taki właśnie gruby sposób – mogą tylko raz. Wkrada się monotonia kontrastująca z witalnością tej postaci. Ale może właśnie o to chodziło? Taki Estragon – mówiący dobitnie, daleki od cieniowania znaczeń, często dublujący swoje reakcje – jest idealnie biologiczny. Bardzo dynamiczny, sprawia wrażenie, jakby na scenie było dla niego za mało miejsca. Jego sposób reagowania dobrze wyraża agresywnie podana kwestia, którą pointuje wspomnienia Vladimira z pobytu w Vacluse: *Mówię ci, że przesrałem całe to zastrane życie tutaj! Tutaj! W Srocluse!*

Plastycznie para Vladimir-Estragon została zakomponowana jako komediowi antagoniści. Zrobiono to jednak z wyważeniem proporcji. Strój ich jest stary i zniszczony. Podoszywane kieszenie, brak skarpetek świadczą o kiepskiej kondycji właścicieli. Ale w obu przypadkach jest to rodzaj garnituru dopełnionego melonikiem. Duża, wyraźna sylwetka Estragona, na którego ubranie jest za ciasne i za krótkie, i szczupły, drobny Vladimir w zbyt szerokich spodniach. O ile jednak Estragon jest witalny i dosadny, Vladimir Wiesława Michnikowskiego śmieszy w sposób delikatny, przez swe melancholijne zagubienie. Bawi nas kontrast między stałym, metafizycznym niepokojem wyłączającym go z codzienności – bo ze wszystkich

postaci on najbardziej czeka i wypatruje Godota – a jego uwikłaniem w rutynę. Komizm tej postaci nie polega na dowcipie każdej sytuacji, którą współtworzy, ale na jej „filozoficzności”. Kojarzy się z nacechowanymi liryką i ciepłem kreacjami Chaplina, tragicznymi i śmiesznymi zarazem. Właśnie przez swą niejednoznaczność sceniczny Vladimir jest najbliższy stworzenia metafory ludzkiego losu. O tym być może myślał autor czyniąc bohaterami dramatu postaci w melonikach.

Vladimir i Estragon obecni cały czas na scenie są w zamyśle reżysera przedstawicielami gatunku ludzkiego. Pozzo i Lucky, którzy pojawiają się, by znowu powrócić – przez sam ten fakt określani w czasie – reprezentują istnienia poszczególne. Dlatego zachowują większą dosłowność i indywidualność zachowań. Mają do tego prawo, choć i oni muszą pozostać na pewnym pięttrze uogólnienia, aby Beckettowska metafora była w ogóle możliwa. Wyważenie tych spraw jest tu chyba najtrudniejsze.

W interpretacji Janusza Gajosa Pozzo jest postacią charakterystyczną, obnoszącą się ze sobą i czyniącą widowisko z każdej swej wypowiedzi. Dlatego już z założenia dominuje nad partnerami. Bogaty strój – krzykliwy i pstrokaty – ma przyćmić otoczenie. Aktor odnalazł siłę komiczną w nienaturalnym panoszeniu się postaci, której cały wysiłek jest skoncentrowany na podporządkowywaniu sobie innych. Jest to portret karykaturalny. Postać, która w pierwszych realizacjach sztuki mogła się kojarzyć z brutalnym oprawcą, tutaj staje się gargantuicznym prostakiem.

Prowadzi on na sznurze Lucky'ego – intelektualistę, który stracił panowanie nad swym erudycyjnym aparatem. Jest to – wbrew temu, z czym publiczność kojarzy Jana Korbusewskiego – postać tragiczna, podejmująca dramatyczną próbę uporządkowania myśli, zapanowania nad przerastającymi ją problemami. Ale jego monolog wskutek braku kryteriów wartościujących staje się jedynie szumem informacyjnym. Jeszcze gorzej przedstawia się jego pozycja. „Ptaszek w klatce” to zbyt subtelne okroślenie. Sytuacja stała się dosłowna i wynaturzona niczym sam Pozzo, dlatego Lucky jest już nie niewolnikiem w lokajskiej liberii, lecz zamierzającym automatem.

„Czekając na Godota”, niegdyś sztuka awangardowa, jest dziś pozycją klasyczną. Setki przedstawień i tysiące omówień, a nade wszystko partytury teatralne samego Becketta, stworzyły dla tej dramaturgii kanon interpretacyjny. Mamy do czynienia ze śmiałą próbą poszerzenia go, z eksperymentem mającym na celu sprawdzenie, jak dalece pojemna jest Beckettowska formuła. Czy można się śmiać z utworu uznanego niegdyś za nihilistyczny? Reżyser-beckettolog, znający jak nikt inny interpretacyjny kanon, zaufał tu aktorskiemu żywiołowi. Zaangażował aktorów lubianych, o bardzo wyraźnym i różnicowanym *emploi*, ufając, że właśnie oni będą mieli odwagę zagrać Becketta inaczej. Okazało się to możliwe i interesujące, choć trudno nie ulec wrażeniu, że każdy z wykonawców ciągnie w swoją stronę, a wskutek takiej próby sił dominują na scenie postaci witalne.

Przewartościowanie utworu jest

także funkcją czasu. Komediowy wydźwięk dramatu może wynikać z tego, że na Godota czekamy już długo. Z sytuacją tą oswojono się tak dalece, że nauczono bawić się nią. Kopniaki wymierzane sobie przez bohaterów w chwilach słabości

i triumfu już nie przerażają publiczności, a Pozzo prowadzący Lucy'ego na sznurze i strzelający z bata wzbudza przede wszystkim podziw dla wielkiej siły prostactwa.

Kalina Zalewska

Książki nadesłane

Nakładem własnym

ks. Józef Pyrek SDS, *Odnova i budowanie w przymierzu z Bogiem*

Kraków 1991

ks. Józef Pyrek SDS, *Uzależnieni jedynie od Boga. Refleksja nad nikotynizmem w kontekście powołania i życia chrześcijańskiego*

Kraków 1991

Norbertinum

Jan Drewnowski, *Rozkład i upadek sowietyzmu w Polsce*

Lublin 1991, wyd. I, nakł. 2000 egz.

Waldemar Michalski, *Będziesz jak piołun. Wybór wierszy*

Lublin 1991, wyd. I, nakł. 2000 egz.

Czesław Miłosz, *Ogród nauk*

Lublin 1991, wyd. I pełne krajowe, nakł. 3000 egz.

Józef Wzorek, *Drzewo Krzyża Świętego. Kościół OO. Dominikanów Lublin*

Lublin 1991, wyd. I, nakł. 3000 egz.

Pallottinum

ks. Adam Przybecki, *Po stronie nadziei. Notatki duszpasterza akademickiego z lat 1981-82*

Poznań 1991

Redakcja Wydawnictw KUL

Leokadia Małunowiczówna, *Roma Christiana. Podręcznik łaciny chrześcijańskiej*

Lublin 1991, wyd. III, nakł. 2000+25 egz.

Cyryl i Metody, *apostołowie i nauczyciele Słowian. Studia i dokumenty*

Lublin 1991, nakł. 3000 egz.

Wydawnictwo Głos

Adam Hlebowicz, *Kościół w niewoli. Kościół rzymskokatolicki na Białorusi i Ukrainie po II wojnie światowej*

Warszawa 1991, wyd. I

Wydawnictwo Krag

Jan Kott, *Pisma wybrane. T. 1: Wokół literatury, T. 2: Teatr czytany, T. 3: Fotel recenzenta*

wybór i układ Tadeusz Nyczek

Warszawa 1991

Wydawnictwo Znak

Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*

Kraków 1991, wyd. I, nakł. 18 500 egz.

Ogłoszenie

ARCHIWUM WSCHODNIE ogłasza KONKURS NA PAMIĘTNIK „KRESY WSCHODNIE POD OKUPACJAMI 1939–1945”. Chodzi zwłaszcza o opis dnia powszedniego pod okupacją (sowiecką, niemiecką, litewską), form biernego i czynnego oporu, zmian w stosunkach własnościowych, niszczenia polskich instytucji gospodarczych, kulturalnych, oświatowych czy kościelnych, osadnictwa z głębi ZSRR na Kresach, a także innych istotnych problemów według uznania autorów i widzianych przez pryzmat ich własnych doświadczeń. Nie publikowane prace (pożądane kserokopie ewentualnych dokumentów i reprodukcje zdjęć) opatrzone własnoręcznym podpisem należy NADSYŁAĆ DO 30 V 1992 R. pod adresem Centrum Dokumentacji AW, ul. Krakowskie Przedmieście 25, 00-071 Warszawa (tel. 26-24-41 w. 359) z dopiskiem „Kresy”. Wyniki konkursu zostaną podane w miesięczniku „Karta” w czerwcu 1992 r. Po ich ogłoszeniu wszystkie pamiętniki stają się własnością Archiwum Wschodniego (z zachowaniem praw autorskich), gdzie zostaną zabezpieczone i skatalogowane. Autorom najciekawszych pamiętników zostaną złożone oferty druku całości lub fragmentów. Nagroda I – 5 mln zł, II – 3,5 mln zł, III – 2 mln zł. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego rozdziału nagród.